

ERIC-EMMANUEL
SCHMITT

Trzy
Nagrody
Moliera

INTRYGANTKI

znak litera
nowa

Eric-Emmanuel Schmitt

Intrygantki

tłumaczenie

Wawrzyniec Brzozowski

znak *litera
nova*

KRAKÓW 2013

Noc w Valognes

OSOBY:

DON JUAN – *mężczyzna pozbawiony wieku*

KSIĘŻNA DE VAUBRICOURT – *kobieta piękna i dosyć leciwa*

ANGELIKA DE CHIFFREVILLE, *zwana też MAŁĄ* – *młoda dziewczyna*

KAWALER DE CHIFFREVILLE, *zwany również MŁODZIEŃCEM* – *jej
brat*

HRABINA DE LA ROCHE-PIQUET

PANNA DE LA TRINGLE

HORTENSJA DE HAUTECLAIRE, *zwana ZAKONNICĄ*

PANI CASSIN

SGANAREL – *służący Don Juana*

MARION – *młoda i ładna pokojówka Księżnej*

AKT I

Salon w pałacu położonym na prowincji – połowa XVIII wieku. Widać, że przestano tu bywać; meble są stare, obicia wytarte, tu i ówdzie okrywają je płócienne pokrowce; mnóstwo kurzu i pajęczyn.

Schody wiodące na piętro.

Jest noc. Myśli się o panującej wokół zimnej ciemności normandzkiej równiny, o niskim, bezksiężycowym niebie i wieżach dzwonnicy majaczących w ciemnościach.

SCENA 1

Wchodzi Hrabina w czerwonym stroju; prowadzi ją Marion, służąca Księżnej. Hrabina z niesmakiem konstatuje stan pomieszczenia.

HRABINA: Na pewno się nie pomyliłaś, moja droga? Jestem hrabina de la Roche-Piquet.

MARION: Zawiadomię Księżną panią o pani przybyciu.

HRABINA: Coś podobnego! Wiedziałam, że Księżna wielce jest oryginalna, ale żeby zdolna była umówić się w rupieciarni, tego nie podejrzewałam. Nakłonić mnie, bym opuściła Paryż, porzucając wszystko, słowa nie mówiąc mężowi ani moim kochankom, to jeszcze bym zniosła – jestem jej to winna w imię przyjaźni. Ale żądać, bym przybyła tutaj, w największą normandzką głuszę! Te niekończące się równiny, wisielcze drzewa, te niskie domki i do tego noc, która zapada znieścacka niczym topór kata. Kto to widział, żeby wieś umieszczać tak daleko od Paryża? (*Przesuwa palcem po warstwie kurzu*) Jesteś pewna, że to nie skład w oficynach?

MARION: Najzupełniej pewna, pani Hrabino – tam uznałabyś, żeś się

znalazła w piwnicach.

HRABINA: Boję się zatem wyobrazić sobie, co można pomyśleć, będąc w piwnicy.

MARION: Księżna pani nie mieszkała w tym domu od trzydziestu lat...

HRABINA: I miała świętą rację.

MARION: ... i nagle, trzy dni temu, postanowiła tu powrócić.

HRABINA: Nie miała racji. A ten osobliwy zapach, moja mała? Cóż to takiego?

MARION: Zaduch.

HRABINA: Jakie to dziwne! Kamień, drewno, tkaniny... Zazwyczaj ma się wrażenie, że to ludzie wydzielają zapachy, a tu proszę: tak samo z rzeczami, gdy się je zostawi w spokoju... (*przygląda się meblom*) Jakże potężnie nasi przodkowie musieli się nudzić... Dlaczego przeszłość zawsze zdaje się taka surowa?

MARION: Proszę wybaczyć, pani Hrabino, ale słyszę powóz.

HRABINA: Jak to? Ma nas tu być więcej?

Marion wychodzi. Hrabina, chcąc się ogrzać, zbliża się do kominka i dostrzega portret, niewidoczny dla publiczności.

HRABINA: Boże mój! Ten portret...

Przez chwilę zdaje się popadać w panikę, a potem zbliża się do obrazu i kontempluje go z wściekłą miną. Pogwizduje przez zęby.

HRABINA: A więc to tak!

Słychać odgłos gromu – na zewnątrz rozpętuje się burza.

SCENA 2

Wchodzi drżąca z zimna Zakonnica, za nią podąża Marion.

ZAKONNICA: Umieść mnie przy ogniu. Tak, tutaj, przed kominkiem. Już nie mogę, cała jestem mokra. (*zauważa Hrabinę*) Wybacz, pani, nie dostrzegłam cię. Jestem Hortensja de Hauteclair, czy raczej, z łaski Boga, siostra Bertylia od Ptaków.

HRABINA: Hrabina de la Roche-Piquet.

ZAKONNICA: Jakże szczęśliwa jestem, że mogę cię poznać, pani! Wciąż jeszcze jestem oszołomiona. To moja pierwsza podróż. Jest pani taka piękna. Och, jakże można zachować spokój, kiedy się jedzie powozem pośród tych wszystkich wstrząsów i podskoków. Strasznie muszę wyglądać, czyż nie?

HRABINA (*mierząc ją oziębłym spojrzeniem*): A jakie to ma znaczenie?

ZAKONNICA: Stwórca, czyniąc nas kobietami, niełatwe postawił przed nami wyzwanie. Jakże trudno zapomnieć o swym wyglądzie!

HRABINA: Na twym miejscu, siostrze, przyszłoby mi to nader łatwo.

ZAKONNICA (*z podziwem*): Jaki masz pani umysł przenikliwy! Nadmierna pokora jest oznaką pychy – człowiek mówi już tylko o sobie. Jestem

zarozumiała i głupia. (*zmieniając nagle temat*) Taka jestem wzburzona! Ten list od Księżnej de Vaubricourt... A ja nigdy nie dostaję listów! Potem przeorysza wzywa mnie w środku nocy, powóz czeka pod tylnymi drzwiami, woźnica cały na czarno, a wszystkie siostry śpią i nie mają pojęcia, co się ze mną dzieje...

HRABINA (*ironicznie*): Czyli jakby porwanie?

ZAKONNICA (*bez zastanowienia*): Tak właśnie. (*nagle zaniepokojona*) Musiała pani pomyśleć, iż jestem nader płocha?

HRABINA: Twoje odosobnienie daje ci do tego prawo, a płochosc, uważam, jest cnotą, która bardzo pasuje do kobiety. Osobiście jestem wielce gorliwa w tym względzie.

ZAKONNICA: Nie powinnam pozwolić, byś mówiła, pani, takie rzeczy.

HRABINA: Trzeba zatem było nie słuchać.

ZAKONNICA (*dostrzegając portret*): O mój Boże!

Burza na zewnątrz się wzmacnia.

HRABINA (*nic nie rozumiejąc*): Czyżbym zgorszyła siostrę?

ZAKONNICA: Tam... tam... tam... Ten portret!

HRABINA (*zaczyna rozumieć*): No proszę! (*zwracając się szorstko do Zakonnicy*) Siostra zna tego człowieka?

ZAKONNICA: Ja... ja... Ja nigdy go nie widziałam!

HRABINA: To czemu siostra krzyknęła?

ZAKONNICA: Nigdy... Nigdy go nie widziałam... W ogóle nie. W ogóle jest tu niepodobny. Wcale go nie znam. (*gra bardzo źle*) To widocznie to zimno, to gorąco, ta podróż... I kiedy się nagle usiądzie... (*zbiera nerwowo swoje rzeczy*) Absolutnie nie powinnam była wyjeżdżać. Wracam do klasztoru, jeszcze mnie tu śmierć spotka.

HRABINA (*bardzo łagodnie*): Tak wiele zadał ci bólu?

ZAKONNICA (*bez zastanowienia, jęcząc*): Och tak! Bardzo wiele... (*zdaje sobie sprawę, że się zdradziła*) Boże, co ja przez panią wygaduję... Proszę mi pomóc, muszę natychmiast wyjechać. Przekaż, pani, Księżnej, że mojego woźnicę wezwano nagle do klasztoru.

SCENA 3

Wchodzi Marion, a za nią Panna de la Tringle, która widząc, że Zakonnica zamierza odejść, chwytając jej bagaż i bez słowa wynosi go na piętro. Zakonnica jest zbyt zaskoczona, by zareagować.

PANNA DE LA TRINGLE: Witam panią. Witam siostrę.

HRABINA: Witam.

ZAKONNICA: Witam.

PANNA DE LA TRINGLE: Panie również mają spotkanie z panią de Vaubricourt?

HRABINA: Również. I żadna z nas nie wie dlaczego.

PANNA DE LA TRINGLE: Ja też nie mam pojęcia. (zwracając się do Hrabiny)
My się chyba znamy, pani Hrabino...

HRABINA: Owszem, spotkałyśmy się już. Zabierałaś głos w pewnych salonach, gdzie mnie wystarczyło się pokazać, Panno de la Tringle.

ZAKONNICA: Panna de la Tringle? Ta słynna Panna de la Tringle? Autorka *Diany i Apolla*, *Nieszczęsnego przeznaczenia* oraz *Gwiazd miłości*?

HRABINA (ironicznie): Tak, to ona. We własnej osobie.

PANNA DE LA TRINGLE: Tak, siostrze. Widzę, że moje książki dotarły nawet do spokojnych przystani klasztorów, co cieszy mnie niezmiernie.

ZAKONNICA (spuszczając wzrok): I tak się zdarza, ale w świecie kornetów wzbronione nam jest ich czytanie – traktują przecież o kochaniu. Ja zresztą znam jedynie *Gwiazdy miłości*, ale siostra Blanche dała się przyłapać z *Dianą i Apollem*. Nigdy już więcej jej nie zobaczyłyśmy. To znaczy książki, oczywiście, a nie siostry Blanche. To było takie piękne! Takie poetyczne! Tak niezwykle wzniosłe!

HRABINA: No właśnie. Te wszystkie wyżyny niedostępne dla ziemskiej miłości. Ta stałość, wierność, tyle przeszkód i nadziei, a wszystko po nic – nawet pocałunku, najmniejszej pieśczozy! Może i są to miłosne romanse, ale nudne niczym cnota. Ta panna nie wspomni nawet o uściskach kochanków, o ciele gorącym, o miłosnym żarze poznawania siebie... Bezwzględnie całkowicie brak jej wyobraźni... albo doświadczenia. Nie zdołałam doczytać do końca ani jednej z jej książek.

PANNA DE LA TRINGLE: Nie miałam pojęcia, że potrafisz pani czytać.

HRABINA: Prawdą jest, że wcale nie mam na to czasu. Widzisz, moja panno, nie zwykłam siadać przy biurku, aby przeżyć miłosną historię.

PANNA DE LA TRINGLE: Jak rozumiem, pani piszesz je na własnej swej skórze.

HRABINA: Tak właśnie – i jeszcze mi w tym pomagają!

ZAKONNICA (*przerazona*): Moje panie, moje panie! Spokój, tylko spokój... Nie zachowujmy się jak kobiety z ludu. Spróbujmy raczej zrozumieć, po co Księżna nas tu sprowadziła. Obawiam się, że to coś poważnego. Napisała do mnie, iż chodzi o sprawy życia lub śmierci...

PANNA DE LA TRINGLE: Mnie dała do zrozumienia, że idzie o honor kobiety. Przybyłam natychmiast.

ZAKONNICA: A pani, Hrabino?

HRABINA: Tylko tyle, iż chodzi o rzecz wielkiej wagi. Ale ja przyjaźnię się z Księżną i nie musiała mnie straszyć, bym tu pospieszyła. Ale do rzeczy: czyś zauważyła ten portret, moja panno? (*Panna de la Tringle zakłada okulary i w spokoju kontempluje obraz*) No i cóż?

PANNA DE LA TRINGLE: Proszę?

HRABINA: Cóż ty o tym myślisz?

PANNA DE LA TRINGLE: Och, niezbyt się znam na malarstwie, choć skądinąd przejawiałam niemałe zdolności do akwareli... Sądzę jednak, iż uczciwie mogę stwierdzić, że jest marny.

HRABINA: Brak podobieństwa?

PANNA DE LA TRINGLE: Och, nie o tym myślałam – chodzi mi o samą sztukę. Rysunek dość lichej, a i cała kompozycja mogłaby być lepsza. *(dodaje spokojnie)* Po prostu kicz. *(pozornie obojętnie)* Znasz, pani, tego, co widnieje na portrecie?

HRABINA: O tak, znam go dobrze. A ty?

PANNA DE LA TRINGLE: Nie, wcale.

HRABINA *(wpatrując się w obraz)*: A ja wciąż nie potrafię o nim zapomnieć.

Burza wzmaga się coraz bardziej. Panna de la Tringle i Zakonnica usiłują ukryć swoje emocje. Wchodzi Marion, a za nią Pani Cassin.

SCENA 4

MARION: Zechciej wejść tutaj, pani. Teraz, kiedy wszystkie panie już przybyły, Księżna niechybnie zaraz się pojawi.

PANI CASSIN *(lekką zmoczona deszczem, zbliża się, aby się przywitać)*: Witam panie... *(dostrzegając portret)* Ach!... *(mdleje na jego widok. Zakonnica podtrzymuje ją i sadza w fotelu)* On... On... To on!

HRABINA *(ironicznie, do Panny de la Tringle)*: Niesamowite, nieprawdaż, tak niezwykła wrażliwość na sztukę?

PANNA DE LA TRINGLE: Mówiłam pani przecież, że to fatalny obraz.

HRABINA: Ja uważam przeciwnie: moim zdaniem znakomity.

ZAKONNICA: Już dobrze, już dobrze... Tu są sami przyjaciele. Proszę się napić wody, to pani pomoże.

PANI CASSIN: Och, błagam panie o przebaczenie. To ta podróż, te wszystkie emocje...

HRABINA (*śmiejąc się drwiąco*): Tak, tak, oczywiście... Rozpoznała go pani?

PANI CASSIN (*usiłując zignorować pytanie Hrabiny*): Zmęczenie sprawiło, iż uchybiłam swoim powinnościom, pozwólcie panie zatem, że się przedstawię: nazywam się Cassin.

HRABINA: Pani de... ?

PANI CASSIN: Pani Cassin. Małżonka pana Cassin, jubilera z ulicy Royale w Paryżu. Królewskiego dostawcy.

HRABINA: No i proszę, nie miałam pojęcia, że Księżna prowadzi interes w swym własnym salonie. Ale w końcu jesteśmy na wsi, więc to nie ma znaczenia.

ZAKONNICA: Pozwól, pani, że dokonam prezentacji: pani Hrabina de la Roche-Piquet, Panna de la Tringle, słynna pisarka, i wreszcie ja, Hortensja de Hauteclair, która z łaski naszego pana Jezusa Chrystusa przemieniła się w siostrę Bertylę od Ptaków. Wiesz może, pani, dlaczego tu jesteś? My przybyliśmy tu, nie bardzo znając przyczynę.

PANI CASSIN: Żadnych nie otrzymałam wyjaśnień, jedynie liścik od Księżnej, w którym życzy sobie, abym była tutaj dziś wieczorem. I to

wszystko.

HRABINA: To oczywiste, ludziom z niskich sfer nie potrzeba wyjaśnień – wystarczy na nich gwizdnąć.

PANNA DE LA TRINGLE: Znajduję, że jesteś pani wielce przywiązana do swych przywilejów, Hrabino...

HRABINA: Jestem dobrze urodzona, nie muszę się więc mozolić, by usprawiedliwić swoje istnienie. Czy ja kiedykolwiek skalałam się pracą?

PANNA DE LA TRINGLE: Nie, pani – i to wielkie szczęście, bo gdyby ci płacili za to, czym się parasz, niezbyt pięknym słowem by cię określano.

HRABINA: Jak pani śmiesz...

ZAKONNICA: Moje panie, moje panie, zachowujmy się godnie, by zasłużyć na uwagę, jaką nas Księżna pani obdarzyła. Spróbujmy raczej zrozumieć, po co tu jesteśmy. Musi być jakaś przyczyna. Co nas może łączyć?

HRABINA: Wszystkie jesteśmy kobietami.

PANNA DE LA TRINGLE: To co? Wcale z tego nie wynika, by mnie na przykład z panią łączyło cokolwiek. Nie należę do tych, co przez cały dzień tylko stroją się i pacykują.

HRABINA: I wielka szkoda – bardzo by ci się to przydało.

PANNA DE LA TRINGLE: Ani nie śnię jedynie o tym, aby godność swą poświęcić na ołtarzu męskiego łoża.

HRABINA: Widać, że niewiele jej pani poświęciłaś.

PANNA DE LA TRINGLE: Ja oddałam moje życie sztuce i rozumowi.

HRABINA: Cóż, lepszy rydz niż nic.

PANNA DE LA TRINGLE: Napisałam czternaście powieści!

HRABINA: Czternaście razy dokładnie to samo.

PANNA DE LA TRINGLE: A prócz tego jestem autorką gramatyki greki klasycznej oraz nowego tłumaczenia Herodota.

HRABINA: Dobry pomysł. Lepiej się brać do nieboszczyków. Zmiękła już im ta kosteczka, co za życia miejsca sobie nie umie znaleźć. Możesz być pewna swej cnoty.

PANNA DE LA TRINGLE: Ja nie muszę walczyć, aby ją zachować.

HRABINA: Święta prawda. Grzech traci rezon na sam twój widok.

PANNA DE LA TRINGLE: Za to, gdy ciebie zobaczy...

HRABINA: No właśnie, nabiera ciała i robi się cały czerwony!

ZAKONNICA: Moje panie, moje panie, spokój, błagam! Tylko spokój! Co sobie Księżna o nas pomyśli?

SCENA 5

KSIĘŻNA (*pojawiając się u góry schodów*): Księżna pełna jest wyrozumiałości dla rodzaju ludzkiego. Powiedzmy, że straciła już wszelkie złudzenia, co

zresztą na to samo wychodzi. Dobry wieczór paniom. (*schodzi po schodach, pozostałe składają jej ukłon*) Boże, jakie wy, paryżanki, urocze staje się na wsi; takie świeże, dowcipne – doprawdy, sam kwiat miejskich dam. Ach, to zdrowie, życie w starych murach – to straszne. Zdaje się, że ten dom jeszcze bardziej się zestarzał, w jeszcze większą popadł ruinę. I ja bez wątpienia także.

ZAKONNICA: Ależ, Księżno...

KSIĘŻNA: Dziękuję, siostrze, dziękuję.

PANNA DE LA TRINGLE: Ależ, Księżno, piękno przecież tak niewiele ma znaczenia!

KSIĘŻNA: Nie mów tak, pani. Tak mówią brzydula, ludzie gotowi jeszcze ci uwierzyć. (*wytwornie*) Zechcą panie łaskawie usiąść.

Wszystkie siadają, oprócz Hrabiny, która jest zbyt zniecierpliwiona i zdenerwowana, żeby pozostać w miejscu.

Mija nieco czasu.

Księżna zdaje się nie zwracać uwagi na ciszę ani na skrupowanie swoich gości.

KSIĘŻNA: Okropna pogoda, nieprawdaż?...

ZAKONNICA (*z przesadą*): Uuu la la!...

KSIĘŻNA (*do Hrabiny*): Mnie osobiście pogoda jest doskonale obojętna, ale nauczyłam się, że w towarzystwie mówią o niej tylko po to, aby się na nią poskarżyć. (*odwraca się nagle do Zakonnicy i powtarza z naciskiem*) Okropna pogoda, nieprawdaż?

ZAKONNICA (*odruchowo*): Uuu la la!...

Hrabina ma dosyć takiej rozmowy.

HRABINA: Przypuszczam jednak, Księżno, że to nie dla tych pociesznych życiowych uwag zadałaś sobie trud, aby nas tu wezwać?

KSIĘŻNA: To cała ty, moja droga Aglaé – zawsze tak bezpośrednia, szczerza, nieuprzejma, popędliwa w mowie. Ale w rzeczy samej winna jestem paniom wyjaśnienie. Usiądź, proszę. (*Hrabina nie siada, czas mija*) Chodzi o to, że mój paw właśnie umiera.

ZAKONNICA: Pani...?

KSIĘŻNA: Mój paw. (*wyjaśniając pozostałym, które zdają się nie pojmować*) Wiecie panie, takie zwierzę całe w piórach. Bo musicie wiedzieć, że pióra nie rosną tylko w wazonach i na kapeluszach... (*do siebie*) Nigdy nie rozumiałam, jak kobiety mogą sobie wtykać w głowę to, co ten ptak nosi na swym kuprze...

HRABINA: Lepiej niż gdyby było na odwrót.

KSIĘŻNA (*pojednawczo*): Święta racja.

PANNA DE LA TRINGLE (*próbując coś z tego zrozumieć*): Pani paw umiera, Księżno?

KSIĘŻNA: No właśnie.

PANI CASSIN: Bardzo byłaś, pani, do niego przywiązana?

KSIĘŻNA: Znaliśmy się od dzieciństwa.

ZAKONNICA (*naiwnie*): Nie wiedziałam, że pawie żyją tak długo.

KSIĘŻNA (*udając urazę*): Dziękuję pani. (*zmieniając nagle ton*) W mojej rodzinie jest zwyczaj, że każde dziecko rodzi się wraz z pawiem. Taką już mamy tradycję. My oboje, czyli mój paw i ja, przyszliśmy na świat tutaj. To znaczy, on w parku, a ja w jednym z pokoi lewego skrzydła. (*znowu zmienia ton*) Tak, wyznać muszę, że zaniedbywałam mojego pawia od czasu, gdy stałam się dorosłą kobietą. Aż nagle, właściwie przypadkiem, pojawiłam się tu piętnaście lat temu. I zobaczyłam, że jest w okropnym stanie: utył, chromał, stracił mnóstwo piór i cierpiał na stawy, a jego ogon, kiedy go rozwinął, okazał się cały szczerbaty. Tamtego dnia użaliłam się nad nami obojgiem. Tak, zestarzeliliśmy się. Nasza świetność dawno już minęła. Muszę bowiem bez fałszywej skromności stwierdzić, że niegdyś był to naprawdę piękny paw. Wszyscy tak uważali. Zabrałam go zatem do Paryża, gdzie zamieszkał w moim ogrodzie. Ale ten ostatni tydzień był dla niego straszny. Jego stan się pogorszył, ledwie dyszy i, jak się zdaje, jest mu już wszystko jedno. Nie może nawet się poruszać ani śpiewać.

ZAKONNICA: To pawie śpiewają?

KSIĘŻNA (*rozbawiona*): Kiedy po raz pierwszy byłam w operze, myślałam, że to on ukrył się w kanale orkiestry.

ZAKONNICA (*bez zwiqzku*): Nieszczęsne stworzenie!

KSIĘŻNA: Nieprawdaż? Ale nie o siebie się lękam. Mój ojciec o pięć lat przeżył swego pawia – co zresztą uważam za wielką niesprawiedliwość, był bowiem śmiertelnie nudny, za to jego paw wspaniały. (*nagle, tragicznym tonem*) Zostało mu najwyżej kilka godzin!

HRABINA: To bardzo smutne, ale co my możemy na to poradzić? Wyznam, iż zupełnie nie znam się na pawiach.

KSIEŻNA (*z rozbawieniem*): Wiem, nie z takimi ptakami miewasz, pani, co dzień do czynienia. (*zmieniając ton*) Cóż, Aglaé – nadeszła godzina, by uregulować rachunki. Czas podsumować nasz żywot. I mam na myśli nas wszystkie. Mój konający paw uświadomił mi, że czas już zaprowadzić porządek w moich – w waszych – sprawach. I właśnie zamierzam wam w tym pomóc.

PANNA DE LA TRINGLE: Ale co my do tego mamy?

HRABINA: O czym ty mówisz, pani?

KSIEŻNA: On tu przybędzie. Złowiłam go. Powinien pojawić się tego wieczora.

Nocna burza wzmagą się w dwójnasób.

HRABINA (*zdając się rozumieć, o kogo chodzi, pyta głosem pełnym nadziei*): Kto taki?

KSIEŻNA: Ten, co widnieje na portrecie, na który każda z was, wchodząc, zwróciła uwagę i od którego odwracacie oczy przez cały czas, kiedy z wami rozmawiam. Ten, o którym bez przerwy myślicie, gdy ja wygaduję te wszystkie głupstwa – Don Juan.

HRABINA: Don Juan!

PANI CASSIN: O mój Boże!...

ZAKONNICA: Księżno...

KSIEŻNA: Właśnie z jego powodu zebraliśmy się tutaj, co natychmiast zrozumiała moja droga Aglaé. Bo też każda z pań zaproszonych dziś

wieczór stała się ofiarą Don Juana.

PANNA DE LA TRINGLE, ZAKONNICA I PANI CASSIN (*chórem*): Co? Ależ skąd! O czym ty, pani, mówisz?! Jakże ci nie wstyd, pani? Nic mnie nie łączyło z...

KSIĘŻNA: Dosyć tego gdakania. Dobrze wiem, że prawa natury ludzkiej wymagają, abyście z początku zaprzeczyły. Proszę jednak, okażcie siłę i oszczędźcie mi tych wszystkich protestów – przestańcie się wypierać i przyznajcie się. (*zmieniając ton*) Dziś wieczór pojawi się tu Don Juan. O niczym nie wie, myśli, że przybywa na bal. Ale my – pięć kobiet, które zhańbił, pięć zranionych kobiet, poddanych torturze pamięci, dla których przeszłość jest piekłem – my osądzimy go i wydamy wyrok. (*twardo*) Dzisiejszej nocy urządzimy sobie proces Don Juana.

ZAKONNICA: My mamy go osądzić?

PANI CASSIN: I potem go skazać?

HRABINA: Na co?

KSIĘŻNA: Na win odkupienie.

HRABINA: W jaki sposób?

KSIĘŻNA: Poślubi jedną ze swych ofiar, a potem pozostanie jej wierny i ją uszczęśliwi.

HRABINA: To śmieszne! On nigdy się na to nie zgodzi.

KSIĘŻNA: Zgodzi się.

HRABINA: To marzenie, Księżno.

KSIĘŻNA: Mam tu rozkaz aresztowania *in blanco* – król był mi to winien – i wystarczy, żebym wpisała imię Don Juana. Damy mu wybór: albo się poprawi, albo skończy w kazamatach.

HRABINA: Brawo, Księżno – wspaniała robota. A kogóż ma poślubić? Jak się domyślam, to również przewidziałaś?

KSIĘŻNA: Żadną z nas, nie musicie się lękać.

ZAKONNICA (*obłudnie*): Wolałabym już umrzeć!

KSIĘŻNA: Tak też myślałam. Wszystkie jesteśmy jego ofiarami – cała nasza miłość się wypaliła i pozostała tylko płonąca nienawiść. (*zmienia ton*) Tam, ponad naszymi głowami, przebywa młoda dziewczyna, która pragnie śmierci w kwiecie lat dwudziestu. Dwudziestu! Trzeba być doprawdy bardzo młodym, aby mieć w sobie tyle życia, by zapragnąć śmierci. Trzeba mieć młode ciało, sprawne mięśnie i twarde kości. Wiercie mi, że gdy brakuje już sił, gdy ciało coraz bardziej przypomina zwłoki, wcale nie ma się ochoty umierać. Człowiek czepia się resztek życia, tego samego życia, które tak się przeklinało, gdy miało się go pod dostatkiem. Ta dziewczyna ma dwadzieścia lat – dla nas to banalna historia: poznała Don Juana, uwiódł ją, a potem porzucił... Jak wszystkie inne... Jest moją córką chrzestną. I on ją poślubi.

ZAKONNICA (*dość sucho*): Korzysta z szansy, której nam poskąpiono.

KSIĘŻNA: Znam, sestro Bertyllo, dobrze znam gorycz dawania tego, czego samemu się pragnęło. Dobroć ma swoją cenę. (*boleśnie*) My? Nam już nikt

nie potrafi pomóc... Ale uratujemy tę małą, a przy okazji Don Juana. I dzięki temu śmierć mojego pawia nie będzie daremna. (*władczo*) A więc zgadzacie się?

HRABINA, ZAKONNICA, PANI CASSIN (*spoglądają na siebie, a następnie oświadczają chórem*): Zgadzamy się!

Wszystkie zwracają się w stronę Panny de la Tringle, która się nie odezwała.

KSIĘŻNA: Nie przyłączysz się do nas, pani?

PANNA DE LA TRINGLE: Na nic się nie przydam.

HRABINA: A to z jakiej przyczyny?

PANNA DE LA TRINGLE: Z tej, iż nie miałam szczęścia poznać Don Juana – ani też nieszczęścia, by się ze mną zaznajomił.

HRABINA (*nader uprzejmie*): Tak pani sądzisz?

PANNA DE LA TRINGLE: Ja nie sądzę, ja jestem tego pewna.

HRABINA: Ale w rzeczy samej, Księżno, skąd wiedziałaś, że Don Juan nas wszystkie uwiódł, a potem porzucił? Żeś pomyślała o mnie, to rozumiem – przypisują mi związki z każdym dwunogiem, jakiego ta ziemia nosi, byleby nie był pierzasty, czemuż by zatem nie on... Ale pozostałe panie?

KSIĘŻNA: Notes.

PANNA DE LA TRINGLE: W każdym razie, jeżeli o mnie chodzi...

KSIEŻNA (*nie zwracając na nią uwagi*): Sganarel, służący Don Juana, nabrał pożałowania godnego, nader za to użytecznego zwyczaju, by notować podboje swego pana w kajeciku oprawnym w zielony safian. (*pokazuje notes; pozostałe kobiety spoglądają na niego z lękiem*) Lubicie liczby? Sganarel je wręcz uwielbia. Don Juan pewnie tak samo. We Włoszech – sześćset czterdzieści! W Niemczech – dwieście trzydzieści i jedna. We Francji – setka. W Turcji – dziewięćdziesiąt jeden. Za to w Hiszpanii aż tysiąc trzy.

ZAKONNICA: Tysiąc trzy?!

KSIEŻNA: Tysiąc trzy!

HRABINA: Ile, powiadasz pani, we Francji?

KSIEŻNA: Sto. Sama się zdziwiłam. To i tak za dużo, ale w porównaniu z innymi krajami... Sto Francuzek przeciwko tysiącu i trzem Hiszpankom, wąsatym, biodrzastym, z tą ich niezdrową, zielonkawą cerą – to dla nas obraza. Pogadałam więc szczerze ze Sganarelem: „Dlaczegoż to – zapytałam – tak mało jest tu mych rodaczek? Czyżbyśmy były nacją koczodanów, garbatych, krzywonogich, obrazą dla natury?”. I wiecie, co mi na to odpowiedział: „O pani, Francuzki są piękne, ale nazbyt łatwe. Mój pan lubi, gdy kobiety mu się opierają. Francuzki mniej od innych są dlań pociągające, ponad cnotę bowiem przedkładają rozkosz. Natomiast Hiszpanki...”. Ale ja przecież wcale nie byłam łatwa do zdobycia...

ZAKONNICA: Ja też nie.

PANI CASSIN: Ani ja.

HRABINA: Ja jeszcze nie.

KSIĘŻNA (*z ironią*): A zatem człowiek ten był nagrodą za cnotę! I w ten oto sposób was odnalazłam – wasza obrona została tutaj zresztą nader szczegółowo opisana.

PANNA DE LA TRINGLE: Niemniej ośmielam się wątpić, że mnie tam pani...

Wchodzi Marion.

MARION: Proszę pani, przybył pan Don Juan!

PANI CASSIN: O mój Boże!

ZAKONNICA: Pozwólcie mi stąd odejść!

PANNA DE LA TRINGLE (*piskliwie*): Nic tu po mnie.

KSIĘŻNA: Dobrze, Marion, przyprowadź go tutaj. I nie słuchaj tego, co będzie ci opowiadał po drodze.

MARION (*wychodząc*): Och, proszę pani, on wygląda tak niegroźnie...

HRABINA: Niegroźnie? To musi być on!

PANI CASSIN (*poprawiając fryzurę*): Mój Boże, mój Boże...

ZAKONNICA (*wygładzając habit*): Chcę już jechać, chcę jechać, nie zdążę na jutrznię.

W tym czasie Hrabina i Panna de la Tringle poprawiają suknie.

KSIĘŻNA: No, moje panie, wszystkim wam udzielam nagany i przywołuję

do porządku. Co wy robicie? Poprawiacie suknie, fryzury, udajecie kokietki – chcecie mu się spodobać?

ZAKONNICA (*bez zastanowienia*): Dobrze ci mówić, pani, miałaś cały dzień, by się przygotować, a my prosto z karocy... A poza tym w twoim wieku...

KSIĘŻNA: Ależ, sostro! (*surowo*) Pilnujmy się, moje panie, pilnujmy się! Nie wahajmy się otwarcie zganić tę, która by grę podjęła z Don Juanem, próbując go uwieść. Musimy być solidarne. Strzeżmy się nawzajem! Zgadzamy się wszystkie? A oto i on.

Księżna nieświadomie poprawia swoją toaletę.

SCENA 6

Scenę przecina nagła błyskawica, oślepiając kobiety; jednocześnie słychać potężny grzmot. Wchodzi Don Juan.

DON JUAN: Nadszedłem cmentarzem. Księżyc ukazywał swoją ciemną stronę. Cisza w sam raz dla psa, który wyje, obwieszczając śmierć. Kiedym pchnął żelazną furtę, zaczęły pohukiwać sowy, zwiastując intruza, a szczury w pośpiechu ukryły się w grobach i przygasły świetliki – zdaje się, że im nieco zakłóciłem spokój. Śledziły mnie w mroku tysiące oczu: cmentarz jest taki pełen życia... (*po krótkiej przerwie*) Tak dziwnie pomyśleć, iż w ziemi, po której stąpamy, tak wiele jest pyłu, co niegdyś był człowiekiem. Że serca, które kiedyś biły, i wszystko, co się składa na ciało, krew, wnętrzności i męskie nasienie na powrót przemieniło się w glebę. Dziwna to wędrówka. Można zwątpić w śmierć. Albo też w życie. (*zwracając się do Księżnej*) Obejrzałem sobie, pani, posąg

twego prapradziadka, hrabiego de Lamolle – to nieruchome spojrzenie, ta groźna poza, wysokie czoło i dłoń na rękojeści miecza! W otworach jego oczu zamieszkały czarujące ptaki, teraz to dwa maleńkie gniazda rudzików... I oto nareszcie się do czegoś przydał. (*niespodziewanie zmienia temat*) Czyżbym paniom zakłócił zabawę?

KSIĘŻNA: Bynajmniej. To ty nadajesz jej ton. Za kogo zatem przebrałeś się na bal, Don Juanie?

DON JUAN: Za nikczemnego uwodziciela.

KSIĘŻNA: Niezwykle udany kostium. A gdybyś tak zdjął maskę?

DON JUAN: Pod nią jeszcze żywiej go przypominam. Można by uznać, iż to oryginał.

KSIĘŻNA: Cudownie! Jakże się wczuć potrafisz! Jak zręcznie udane! Liczymy, że zwiedzisz nas tak najlepiej, jak tylko potrafisz.

DON JUAN: Nie omieszkam. A pani i jej towarzyszki? Jakie są wasze stroje? Nie bardzo je pojmuję...

KSIĘŻNA: Te panie i ja przywdziałyśmy maski twoich dawnych ofiar.

DON JUAN: Och, i to specjalnie dla mnie! Jakże to subtelne. Jesteś, pani, najbardziej uprzejmą z gospodyń.

HRABINA: Tak, tak, Don Juanie – twe własne ofiary. Nieprawdaż, że bardzo je przypominamy?

DON JUAN (*do Księżnej*): Z tą panią też miałem kiedyś przyjemność? (*Księżna*

potwierdza gestem) Nader jest zjadliwa jak na ofiarę...

HRABINA: A zatem, Don Juanie, jesteśmy podobne? Odpowiedz wreszcie!

DON JUAN: Nie wiem. Do tej pory nie zdarzyło mi się nigdy spotkać żadnej z mych dawnych zdobyczy. Jak dobrze wiesz, pani, generałowie zadowolają się po prostu zwycięstwem – to sanitariusze zbierają potem trupy.

KSIĘŻNA: Ale rozpoznajesz te wszystkie twarze?

DON JUAN: Te maski? Zastanówmy się... (*przechodzi przed nimi jak handlarz koni*) Jak powinno wyglądać oblicze ofiary? Surowe, pełne nienawiści, usta ściągnięte w gorzkim grymasie wspomnień, a szczęki zaciśnięte w pragnieniu zemsty... Nic takiego tutaj nie dostrzegam. Rzekłbym, wręcz przeciwnie...

KSIĘŻNA: Cóż zatem widzisz?

DON JUAN: Widzę – i bardzo mi to schlebia – widzę nostalgię w miejsce goryczy, a na policzkach więcej wstydliwych rumieńców niżli wściekłości w zaciśniętych zębach. Widzę piersi zalotnych kobiet – kobiet, które aż drżą, opierając się o balustradę balkonu, aby lepiej widzieć i lepiej być widziane. Widzę... (*nagle zwraca się do Zakonnicy*) Jesteś pani pewna, że kostium, który przywdziałas, jest również przebraniem ofiary?

ZAKONNICA: Don Juanie! Nie poznajesz mnie?

HRABINA: Nagana, siostrze – usiłujesz ściągnąć na siebie jego uwagę.

ZAKONNICA: Ale...

HRABINA: Nagana, powiedziałam.

ZAKONNICA (*mruczy pod nosem*): Zazdrości, bo mnie rozpoznał.

KSIĘŻNA: Dosyć tych żartów, Don Juanie, porozmawiajmy poważnie.
Wiele minęło czasu od chwili, kiedy... Kiedy zdarzyło nam się spotkać...
I od tamtej pory nie ma dnia, abym...

DON JUAN: Łaskawe były to dla ciebie lata, Księżno. Jesteś równie piękna
jak wówczas.

KSIĘŻNA: Zamilcz, głuptasie. Dobrze wiem, że to nieprawda, choć skądinąd
miło to usłyszeć. Pochlebiasz mi. No cóż, ty też się nie zmieniłeś – wciąż
taki sam, równie giętki, w czerni...

HRABINA: Nagana!

KSIĘŻNA: Słusznie: zawrócił mi w głowie swoim komplementem! Oto, co
się dzieje, kiedy człowiek odzwyczaił się od trunków – wystarczy mały
kieliszek likieru, by się nagle znaleźć z podciągniętą spódnicą. Tak,
poznaję cię, Don Juanie – ten twój ton pochlebczy, spragnione usta
i maniery człowieka, któremu należy się wszystko. Diabeł zachował cię
w zdrowiu, byś nadal mu służył jako ambasador.

HRABINA: Nagana!

KSIĘŻNA: Nagana? Przecież go nie oszczędzam...

HRABINA: Nagana. On kocha, kiedy się go gnębi. Pieścisz, pani, jego
łotrowską pychę.

KSIĘŻNA: Mój Boże, jakże ciężko przemawiać nie jako kobieta po prostu...

HRABINA: Ja to potrafię! Pozwól mi, pani, go przesłuchać.

ZAKONNICA: Nagana!

HRABINA: Co?

ZAKONNICA: Nagana! Hrabina wciąż się wtrąca, bo próbuje zwrócić na siebie uwagę. Zupełnie jak siostra Emanuela, która zawsze ma najwięcej grzechów ze wszystkich – to nieznośne! (*do Hrabiny*) Do tego wciąż nas wszystkie upominasz, bo chcesz wszystkim sama pokierować.

DON JUAN: No proszę, świetnie znacie się na psychologii w tych klasztorach... Bez wątpienia dlatego, iż za zamkniętymi drzwiami kwitnie tam występki.

KSIĘŻNA: Don Juanie, odświeżę ci pamięć. Żadnej z nas nie rozpoznajesz?

DON JUAN (*spoglądając na Panią Cassin*): Rozpoznaję piękno na niektórych twarzach.

HRABINA: Nie poznajesz mnie, zdrajco?

DON JUAN: Nie, pani.

ZAKONNICA: Ani mnie?

DON JUAN: Nie, pani.

PANI CASSIN: Ani mnie?

DON JUAN: Nie.

KSIĘŻNA: Osobliwa amnezja. To musi być to – brak odpowiedzialności.

HRABINA: Nie mogłeś przecież zapomnieć...

ZAKONNICA: Takie chwile zdarzają się tylko raz w życiu...

PANI CASSIN: Ja pamiętam wszystko...

Wszystkie trzy powracają do przeszłości i zaczynają, niby we śnie, ciągnąć po kolei jakby jedną opowieść. Ma to w sobie coś ze wspólnej modlitwy.

Światło się rozjaśnia.

HRABINA: Mój ojciec wydał wtedy przyjęcie – jeden z tych obiadów, za których sprawą długie popołudnia mojej młodości stawały się jeszcze smutniejsze...

ZAKONNICA: I wtedy nagle ty się pojawiłeś. Nikt cię nie zapraszał, nikt cię nie oczekiwał, ale przyszedłeś. Przywitałeś się, uśmiechnąłeś... Do kogo się wtedy uśmiechałeś?...

PANI CASSIN: Ojciec powiedział: „Prosimy do nas, Don Juanie, nikt nie będzie gadał, że nie przyjęliśmy takiego jak ty gościa...”.

HRABINA: Byłeś taki jak teraz: odmienny, elegancki, cyniczny – słowem, czarny diament. Staralam się spoglądać gdzie indziej, ale widziałam tylko ciebie...

ZAKONNICA: Udawałeś, że mnie nie dostrzegasz. Udawałeś – mówię – bo jasne było, że cały czas mnie unikasz. A za każdym razem, gdy zahaczałeś o mnie spojrzeniem, czułam się coraz piękniejsza...

PANI CASSIN: Przy stole siedział też mój narzeczony. Spojrzałam na niego

i po raz pierwszy ujrzałam, jak wygląda naprawdę. Wydał mi się prostakiem. Wszystko – sposób, w jaki jadł, jego wielkie dłonie, grubiańska mowa – wszystko w nim zdradzało, że z pochodzenia jest wieśniakiem...

HRABINA: I właśnie w chwili, kiedy już straciłam wszelką nadzieję i sama zaczęłam uzalać się nad sobą, dokładnie w tejże chwili spojrzaleś na mnie...

ZAKONNICA: Co takiego było w twoich oczach? Twój wzrok ścisnął mnie za gardło, rozerwał suknię – i nagle zaczęłam stawać się kobietą. Nie wiem, jak to możliwe, iż nikt tego nie zauważył, ale powietrze wokół zastygło, twarze zaczęły się po kolei zacierać, aż w końcu już tylko my pozostaliśmy na świecie...

PANI CASSIN: Kiedy posiłek się skończył, wstałeś od stołu. Odbyłeś niby kilka rozmów, rzuciłeś parę komplementów, ale wszystko tylko po to, aby móc się do mnie zbliżyć. A kiedy wreszcie znalazłeś się tuż obok, tak blisko, że omal wpadliśmy na siebie, wsunąłeś mi bilecik w dłoń.

HRABINA: Nie wiem już, co bardziej mną wstrząsnęło – twój bilecik czy zetknięcie naszych rąk. W każdym razie mieliśmy już wspólną tajemnicę, zostaliśmy współnikami. Wyszłam, aby przeczytać liścik od ciebie...

ZAKONNICA: Był krótki, gwałtowny jak twe pożądanie: „Bądź pani dziś wieczór o dziesiątej godzinie przy tych kwitnących na niebiesko krzewach – albo jutro nie będzie mnie już na tym świecie...”.

PANI CASSIN: Schadzka...

HRABINA: Zakazana...

ZAKONNICA: W blasku księżycy...

PANI CASSIN: Rzecz jasna, od razu postanowiłam, że na nią się nie udam...

HRABINA: Mój rozum mówił: Nie!...

ZAKONNICA: Ale serce krzychało: Tak!

PANI CASSIN: Nastąpił czas oczekiwania. Och, te niekończące się godziny, dzielące mnie od chwili, gdy nie spotkam się z tobą...

HRABINA: A tam zacząłeś mnie uwodzić: „Najpiękniejsze w świecie oczy...”.

ZAKONNICA: „Najpiękniejsze w świecie usta...”

PANI CASSIN: „Te przepiękne, drobne dłonie...”

HRABINA: Pozwalałam ci na to, słuchałam, pełnymi nozdrzami wdychając twoje komplementy. Ale kiedy zacząłeś być bardziej natrętny, opierałam się. Nalegałeś. Czułam twoje samcze pożądanie, ale nauczono mnie mówić: Nie...

ZAKONNICA: Zdaje mi się, że wtedy uciekłam. To był jedyny sposób, aby ci się oprzeć. Pobiegłam skryć się w mojej sypialni. I kiedy już zamknęłam za sobą drzwi, zalałam się łzami...

PANI CASSIN: Mijały niekończące się minuty. A potem usłyszałam ciche skrobanie...

HRABINA: „Kto to?”

ZAKONNICA: „To ja, twój narzeczony”.

PANI CASSIN: Co się ze mną stało? Powinnam przecież była rozpoznać twój głos – i rozpoznałam. Powinnam była zrozumieć tve plany – i zrozumiałam. I otwarałam drzwi...

HRABINA: „Zgaś, proszę, świece, najśłodsza moja przyjaciółko – nie chciałbym urazić twego wstydu...”

ZAKONNICA: Tak powiedziałaś, jeszcze zanim wszedłeś...

PANI CASSIN: I tak zrobiłam. *(po chwili)* I wtedy...

HRABINA *(po chwili)*: I wtedy...

ZAKONNICA *(po chwili)*: I wtedy pocałowałeś mnie, przyciskając do siebie...
Straciłam dech... Rzuciliśmy się na łożo... I...

Nie potrafi dalej mówić, ale myśląc o tym, co się potem stało, ze zgrozą odczuwa przyjemność.

PANI CASSIN: I...

Jak wyżej.

HRABINA: I...

Wszystkie trzy nieruchomieją, pogrążone w takim samym wspomnieniu.

KSIĘŻNA: To musiało być straszliwie monotonne.

Słowa Księżnej przywracają je do rzeczywistości. Powraca poprzednie światło.

KSIĘŻNA *(do Don Juana)*: Spodziewałam się, panie, że masz więcej wyobraźni.

DON JUAN: Czemu chciałabyś, pani, aby wilk się zmieniał, gdy jagnięta

pozostają zawsze takie same?

PANNA DE LA TRINGLE (*nie wytrzymuje*): Te gorejące oczy, sekrety, nieszczerze odmowy, a do tego blask księżyca! Cóż za brednie!

ZAKONNICA: Dokładnie to samo, co w twoich romansach, Panno de la Tringle. Dokładnie to samo. I to dzięki temu właśnie tak je kocham czytać.

PANNA DE LA TRINGLE: Nie widzicie, jak on wami manipuluje? Im bardziej się torturujecie, tym większy odnosi triumf. Przestańcie! Przestańcie wreszcie – on i tak nas nie rozpozna.

DON JUAN (*spokojnie*): To nieprawda.

PANNA DE LA TRINGLE (*zmieszana*): Co niby?

DON JUAN (*bardzo spokojnie*): Nieprawda – ciebie, pani, rozpoznaję.

PANNA DE LA TRINGLE (*odruchowo*): Niemożliwe. To niemożliwe. Zresztą wszystko pan zapomniał. Sam pan to powiedziałeś. Tyle ich przecież było, tyle było tych kobiet... Jak miałbyś zapamiętać tę właśnie, a nie inną? (*niemal wpadając w histerię*) Nikt nie pamięta o moim nieszczęściu! Ono jest tylko moje, przeszłość rozplynęła się w nicości.

DON JUAN (*mówi, jakby ogarnięty wspomnieniami*): U źródła, w chłodnym cieniu zagajnika, śpiewała dziewczyna, otoczona młodzieńcami z sąsiedztwa. Przyciągała ich, jak ciepłe kraje wabią bociany. Ale ona – ona ich nie dostrzegała. Czekala wciąż na swojego księcia, wypełniona nieskalaną wiarą – zupełnie tak jak było w romansach, których już wtedy czytała zbyt dużo. Tymczasem dwóch, może nawet trzech z tamtych chłopców

chętnie oddałoby życie za miłość owej ślicznotki – niestety, nazbyt byli prozaiczni. Wyobraźcie ich sobie: mieli zwykłe nosy, a w nich po dwie dziurki, dłonie wyposażone w palce, nogi zakończone stopami, posilali się, w nocy spali, czasem się pocili... Zabawni ludzie! Nie warto o tym nawet mówić. Kiedy ją zobaczyłem, nadzwyczaj mi się spodobała – wyborny duch w jednym z najpiękniejszych ciał, jakie istnieją. Niespodziewana zdobycz. Tysiąc razy bałem się, iż mogę ją urazić, że ją spłoszę, bo duszę miała wrażliwą jak skrzydełka motyle.

PANNA DE LA TRINGLE (*z bólem*): To nieprawda, Don Juanie, to nie mogłam być ja. Kto w to uwierzy? Spójrz tylko na mnie. Ja miałabym być najpiękniejsza? Najwdzięczniejsza? Najzgrabniejsza? Ja, która bez przerwy objam się o wszystkie meble?

DON JUAN: To byłaś ty, Panno de la Tringle. Czy pisałaś tak głupie romanse, gdybyś to nie ty była tamtą dziewczyną?

PANNA DE LA TRINGLE (*komicznie nachmurzona*): Moje powieści wcale nie są głupie!

DON JUAN: Są, Panno de la Tringle. I pretensjonalne. Osobiście nigdy ich nie czytałem, ale wystarczy spojrzeć na osoby, które je uwielbiają, by wiedzieć, jak niewiele są warte.

PANNA DE LA TRINGLE (*zalewając się łzami*): Nienawidzę pana!

DON JUAN: Zacząłem się prowadzić niczym konkurent doskonały, zgadzając się na chusteczki, kwiaty oraz wstążki w miejsce pocałunków, o które prosiłem. Cierpliwości, serce moje, cierpliwości! To była, rzecz jasna, pułapka. I kiedy zaczęłaś wyć z głodu, ruszyłem do ataku:

poprosiłem cię o rękę. Zgodziłaś się oczywiście. Ale nie to było moim celem: chciałem, byś ty – cnotliwa, eteryczna, afektowana nudziara – oddała mi swoje ciało przed ślubem. I otrzymałem je.

PANNA DE LA TRINGLE: Więc pan, pan też to pamięta. Och, Don Juanie!... (*placze ze wzruszenia*) Pamiętasz wszystko. Pamiętasz Cabona, moją małą psinkę? Miał...

DON JUAN: Nie, absolutnie nie.

PANNA DE LA TRINGLE: Ależ tak! Miał...

DON JUAN: Nie nalegaj pani, bo jeszcze poznasz prawdę.

PANNA DE LA TRINGLE: Jaką prawdę? O czym ty mówisz, panie?

DON JUAN: O tym, że wymyśliłem tę bajeczkę na widok twojej fizjonomii, tych okularów, twojej skwaśniałej miny. Nie zostały mi po tobie najmniejsze wspomnienia, ale zgaduję ducha po obliczu. Czyżbym przypadkiem trafił?

Panna de la Tringle zalewa się łzami.

KSIĘŻNA: Jesteś nikczemny!

DON JUAN: Dziękuję.

HRABINA: Zaiste, mocny jesteś, Don Juanie. Serwujesz skrzętnie każdej z nas to, czego nie chce słyszeć, bo wiesz, że nienawiść łączy jeszcze mocniej od miłości. Lecz twoja maska opadła, pokrzyżujemy twe plany. Powiedz mu, Księżno.

KSIĘŻNA: Otóż, Don Juanie, to nie bal ma się odbyć dziś wieczorem – choć, najwyraźniej, ty bawisz się świetnie – ale proces.

DON JUAN (*rozbawiony*): Proces? Można wiedzieć czyj?

KSIĘŻNA: Twój.

DON JUAN (*wybuchając śmiechem*): A sąd? A prokurator?

KSIĘŻNA: To właśnie my.

DON JUAN (*błaznując*): Ach, to dlatego jesteście w sukniach. Ale halki to już doprawdy zbyt wiele. A kto mnie pozywa, gdzie ofiara?

KSIĘŻNA: Zbyt wiele jest ofiar, aby się zmieściły w tej skromnej posiadłości. Byłyśmy zmuszone dokonać wyboru.

DON JUAN (*składając dworski ukłon*): Księżno, jesteś niedościgniona! Nikt nie potrafi zgotować takiego przyjęcia jak ty – dziękuję ci zatem z całej duszy.

KSIĘŻNA: Proces odbędzie się dziś w nocy.

DON JUAN: A egzekucja o świcie?

KSIĘŻNA: Egzekucja potrwa dłużej, niż pan to sobie wyobrażasz.

DON JUAN: Tortury?... Uwielbiam!

HRABINA: Wierz mi, że za kilka godzin będzie ci mniej do śmiechu.

DON JUAN (*do Księżnej*): A jak to miło z twojej strony, pani, żeś specjalnie

sprowadziła tu tak malownicze osoby. Skąd pani bierzesz tak doskonałe pomysły?

ZAKONNICA: Nędzniku, paw Księżnej właśnie żegna się z tym światem!

DON JUAN: Hi, hi, hi – a ta szczególnie warta jest wszystkie pieniądze. Miałaś pani rację, że ją skądś wygrzebałaś.

KSIĘŻNA: Śmieję się, śmieję się z całej duszy, Don Juanie, ale ja przez to nie zmienię mego zdania. (*nagle całkowicie zmienia ton*) Mówi ci coś nazwisko de Chiffreville? Powtarzam: Chiffreville. (*Don Juan nagle przestaje się śmiać*) No proszę, już się nie śmieje. (*Don Juan blednie*) I blednie. (*siada, cały drżący*) Siada, cały drżący. (*przesuwa trzęsącą się ręką po czole*) Przesuwa trzęsącą się ręką po czole. Cóż to za aktor wyśmienity! Doceniamy twój popis – te damy i ja – ale nie musisz przesadzać, to się na nic nie zda. Mała Angelika jest tutaj, na piętrze. Jest tu od chwili, gdyś ją uwiódł i porzucił oraz zabił jej brata w pojedynku. Tak, tak, wiem, że walka była uczciwa, a on sam prosił ją, by ci przebaczyła. Jest chora, Don Juanie, bardzo ciężko chora. Jej przypadek nie ma nazwy w medycynie, ale my, kobiety, łatwo potrafimy go rozpoznać – to miłość pozbawiona nadziei. Ale ty ją poślubisz.

HRABINA: I pozostaniesz jej wierny.

PANNA DE LA TRINGLE: I nie opuścisz jej aż do śmierci.

ZAKONNICA: I będziesz miał z nią dzieci.

PANI CASSIN (*zarazem promiennie i ze smutkiem*): I uczynisz ją szczęśliwą...

KSIĘŻNA: A jeżeli nie... Jeżeli nie, ten nakaz aresztowania spełni swe zadanie. Wpiszę weń twoje imię, Don Juanie. Cała policja królestwa

będzie ci deptać po piętach – a dobrze wiesz, panie, że bardzo jest sprawna. A potem w spokoju będziesz mógł dokonać żywota w Bastylii.

HRABINA: Ślub albo więzienie, nad czym się tu zastanawiać?

PANNA DE LA TRINGLE: Wątpię, czy w tej wieży będziesz mógł pouwodzić sobie strażnika.

HRABINA: Najwyżej jakieś myszy – zdaje się, że tam są.

PANNA DE LA TRINGLE: Ależ skąd! Wyłącznie szczury.

HRABINA: I robactwo!

PANNA DE LA TRINGLE: W każdym razie brak ci będzie spódniczek.

ZAKONNICA: I słońca.

PANI CASSIN: I wolności.

ZAKONNICA (*triumfująco i jędzowato*): I tylko Bóg ci pozostanie!

PANNA DE LA TRINGLE: Będziesz mógł go prosić o wybaczenie...

HRABINA: Ale jako że pan w niego nie wierzysz, Bóg ci go raczej nie udzieli.

KSIĘŻNA: Starczy tego, moje panie. (*do Don Juana*) Odbędzie się więc proces, a potem poślubisz tę małą.

DON JUAN (*przerywa milczenie*): Zgadzam się.

KSIĘŻNA: Co proszę?

DON JUAN: Zgadzam się. Zrobię to, czego żądacie.

PANNA DE LA TRINGLE: Poślubisz ją, panie?

DON JUAN: Tak.

PANI CASSIN: Nie uciekniesz?

DON JUAN: Nie.

ZAKONNICA: Ale...

DON JUAN: Zrobię wszystko. Zgadzam się na wszystko. (*zdaje się walczyć z emocjami. Próbuje zbanalizować sytuację*) Ale nie widzę tutaj nic do picia...

KSIEŻNA (*odruchowo*): Marion! Szampana!

DON JUAN (*biorąc kielich i wznosząc go w stronę Księżnej*): Ostatni kielich skazańca.

Jego uśmiech znika.

Don Juan cofa się w głąb sceny, gdzie pije w zamyśleniu.

Kobiety natychmiast zbierają się na pierwszym planie wokół Księżnej, tworząc zaimprovizowany kwintet. Szepczą w zadziwieniu.

ZAKONNICA: Przystał na to!...

PANI CASSIN: Nawet nie dyskutował!...

ZAKONNICA: To jest... To jest...

PANNA DE LA TRINGLE: Niewiarygodne.

KSIEŻNA (*ponuro*): No właśnie: niewiarygodne.

Upływa nieco czasu.

HRABINA (*przerywając milczenie*): Księżno?

Wszystkie spoglądają na nią z nadzieją w oczach.

KSIĘŻNA: Tak?

HRABINA: Czy on aby naprawdę nie zakochał się w tej małej?

KSIĘŻNA (*zaczyna się śmiać, a potem się zastanawia*): Nie.

PANNA DE LA TRINGLE (*jak wyżej*): Nie.

ZAKONNICA (*jak wyżej*): Nie.

PANI CASSIN (*jak wyżej*): Nie.

Zapada cisza. Widać, jak w ich głowach kielkuje pewna myśl.

HRABINA: Jaka ona jest? (*Księżna wzrusza ramionami*) Mam na myśli wygląd.

KSIĘŻNA (*zmęczonym głosem*): Zachwycająca. Blondynka, świeża cera, długie włosy...

HRABINA: A duchowo?

KSIĘŻNA: Tak samo. Nieskalana dusza, dobre serce, nader lotna...

HRABINA: Wychowanie?

KSIĘŻNA: Znakomite. Wielka ogłada, dystans, mnóstwo wdzięku.

HRABINA: A fortuna?

KSIĘŻNA: Większa, niżli trzeba.

HRABINA (*uspokojona*): Niczym się zatem nie wyróżnia.

KSIĘŻNA: Zaiste, absolutnie niczym. (*wszystkie nabierają pewności*) Same widzicie – to nie to...

W czasie, gdy szepczą z przodu sceny, Don Juan pisze jakiś liścik. Wzywa gestem Marion. Kobiety tego nie widzą.

KSIĘŻNA: Nie o to chodzi... (*ogólne zaniepokojenie*) Nie o to... Ona ma dwadzieścia lat.

PANNA DE LA TRINGLE: I co z tego?

HRABINA: Nie jest pierwsza!

PANI CASSIN: Ani ostatnia!

ZAKONNICA: Są inne!

KSIĘŻNA: Tak, macie rację, to nie o to idzie.

HRABINA: Czyli to podstęp! Kolejny podstęp! On jest królem fałszywych obietnic.

KSIĘŻNA: Nie, to by było za grubymi nićmi szyte. Zbyt proste. Poza tym zna normandzką policję – wie, że nie zdołałby uciec. (*złowieszczo*) Moje panie, musimy rozwiązać ten problem. Tak czy inaczej zwyciężymy. (*żadna z pozostałych nie wydaje się tym szczególnie zachwycona. Księżna zwraca się w stronę Don Juana*) Don Juanie?

Tuż przed tym, zanim kobiety odwróciły się w jego stronę, Don Juan wręcza liścik Marion i coś szepce jej do ucha.

Marion szybko ukrywa bilecik za dekoltem.

KSIĘŻNA: Zechcą panie przejść do sąsiedniej sali. Czas zająć się rozprawą.

DON JUAN (*nazbyt uprzejmie*): Poprzedzam panie czy też postępuję z tyłu?

KSIĘŻNA: Przede wszystkim nas drażnisz.

Don Juan idzie przodem, kobiety za nim.

SCENA 7

*Kobiety wraz z Don Juanem wychodzą. Księżna zatrzymuje się, pochłonięta jakąś myślą.
Rozmyśla przez chwilę, po czym wzywa Marion.*

KSIĘŻNA: Marion!

MARION: Tak, proszę pani?

KSIĘŻNA: Powiedz mi bez obaw, moja mała, tylko mów szczerze: czy kiedy przed chwilą byłeś z Don Juanem, czynił ci awanse? Próbował cię uwieść?

MARION: Nie, pani. Siedział w najciemniejszym kącie i czekał w spokoju.

KSIĘŻNA: Rozumiem. Ale nie rzucił przypadkiem jakiegoś słowa, spojrzenia, nie wykonał gestu, który...

MARION: Nie, pani.

KSIĘŻNA: Marion, stań tutaj... Cofnij się. (*wpatruje się w Marion*) Powiedz mi, uważasz, że jesteś ładna?

MARION (*czzerwieniąc się*): Dziewczyny są takie brzydkie.

KSIĘŻNA: Zdarza ci się, że ktoś cię uwodzi?

MARION: Mężczyźni to bestie.

KSIĘŻNA: A on nie próbował? Niczego ci nie obiecywał?

MARION: Nie, pani.

KSIĘŻNA: To dziwne. To wszystko jest bardzo dziwne... (*wychodząc do sąsiedniej sali*) Przynieś nam likiery, Marion. Te rosyjskie, które rozbudzają człowieka... To będzie długa noc.

Wychodzi z pokoju.

Zostawszy sama, Marion wyciąga bilecik zza dekoltu, wymachuje nim i biegnie ku schodom, wykrzykując radośnie:

MARION: Panno Angeliko! Panno Angeliko!

Wbiega po schodach.

Zapada ciemność.

AKT II

To samo miejsce kilka godzin później. Gdzieś palą się z rzadka świece.

SCENA 1

W salonie jest tylko Sganarel – kobiety zajmują się procesem w sąsiedniej sali. Sganarel siedzi po turecku na podłodze, paląc fajkę i wpatrując się w ulatujący dym. Od czasu do czasu przez zamknięte drzwi słychać podniesione głosy. Powinno się odczuwać, że Sganarel znajduje się w strefie w miarę spokojnej, z dala od niebezpieczeństw tego świata.

Nagle otwierają się z hukiem drzwi prowadzące do sąsiedniej sali; pojawia się w nich Hrabina, pchając przed sobą Don Juana; Don Juan wcale się nie opiera i zdaje się być dość zadowolony. Za Hrabina podąża Zakonnica, Panna de la Tringle oraz Pani Cassin – wszystkie są bardzo podniecone.

HRABINA (*w drzwiach*): Ależ tak, zapewniam was, że lepiej, aby go tam nie było.

ZAKONNICA: Ale dlaczego? Powinnyśmy go wysłuchać.

HRABINA: Wysłuchać? Ty cały czas wlepiasz w niego oczy. (*odwraca się w stronę Don Juana*) Don Juanie, nastaję, by przeprowadzić proces bez ciebie, bo inaczej nigdy nie uda się nam go skończyć. Jak tylko się odzywasz, te panie, które już pozbawiłeś cnoty, tracą do tego rozum.

PANI CASSIN: Ale ma prawo się bronić.

PANNA DE LA TRINGLE: Nalegam z całą mocą, żeby wysłuchać jego zeznań w całości.

HRABINA: Nie, on zbyt dobrze mówi. Wystarczy, by otworzył usta, a już ma was w garści. Kobiety są zupełnie jak króliki: łapie się je za uszy. *(popychając je jak stadko owiec)* No dalej, dalej, wracamy! *(do Don Juana)* Poczekasz tu, panie, aż cię wezwiemy.

Wypycha je, wychodzi i zamyka drzwi, pozostawiając Don Juana sam na sam ze Sganarelem.

SCENA 2

Sganarel przez cały czas pozostaje obojętny. Don Juan leniwie zapada w fotel obok niego.

DON JUAN: Co robisz, Sganarelu?

SGANAREL: Moja fajka zagłębiła się w snach, panie. Wysyła je pod sufit i tam je rysuje dla tych, co potrafią odczytać splątane ścieżki naszej przyszłości.

DON JUAN: I co tam widzisz?

Sganarel na skutek zbyt intensywnego wpatrywania się w kłęby dymu przyprawił się o zeza, musi więc teraz mocno wstrząsnąć głową, aby jego oczy wróciły na właściwe miejsce.

SGANAREL *(sentencjonalnie)*: Cóż, przyszłość rysuje się raczej burzliwie.

DON JUAN *(rozbawiony)*: To oczywiste, tu panują przeciągi!

SGANAREL *(robi dziwne miny; odgrywa kogoś, kto śledzi coś z uwagą, dowiadując się przy tym rzeczy nader ważnych)*: Och... Ach... Coś podobnego! Nie?... Eh...

DON JUAN *(po chwili)*: Ty nigdy się nie nudzisz, Sganarelu?

SGANAREL: (*przerywając nagle swoje obserwacje*): Jak niby mam to robić w naszym wspólnym życiu, którym ty kierujesz, panie?

DON JUAN: Ale kiedy jesteś sam?

SGANAREL (*zdecydowanie*): Wtedy śpię.

DON JUAN (*do siebie*): Sen... Dokąd się udajemy, kiedy śpimy, i skąd wracamy każdego poranka, gdy budzimy się z opuchniętymi oczyma i zmierzwionym włosiem, bardziej jeszcze zmęczeni niż przed udaniem się na spoczynek? Sam nie wiem, czego nienawidzę bardziej, snu czy jawy... Snu, bo się z sobą rozstaję – jawy, bo znów się z sobą spotykam... Straszne to nieustanne przebywanie we własnym towarzystwie... Wciąż te same pragnienia, te same granice i to jedno pytanie: kim ja właściwie jestem?... Nie rozstaniesz się z sobą, nawet jeśli udasz, że cię nie ma. (*nagle zwraca się do Sganarela*) A ty, Sganarelu, nigdy nie zastanawiasz się, kim jesteś?

SGANAREL (*śmiejąc się*): Ja? Kim ja jestem? Racz mnie nie rozśmieszać, panie... Kim jestem? Ależ nikt tego lepiej wiedzieć ode mnie nie może...

DON JUAN (*sarkastycznie*): Słucham więc, Sganarelu. Kim jesteś zatem?

SGANAREL: Jestem mną i to mi się podoba, bo kiedy się bliżej oglądam, wszelkie znajduję powody, aby się docenić. Prawda, iż natura przydaje niekiedy obliczom więcej subtelności, ciała zaś wytworności, ale mnie dała za to fizjonomię wzbudzającą zaufanie i powierzchowność dosyć pociągającą. Co do rozumu, mam go więcej, niżli potrzeba, aby być służącym, ale go wystarczy, bym też cierpiał z tegoż powodu. Żadna z tajemnic ludzkich nie jest mi całkiem obca, ale nie drążę jak ty, panie,

w nieprzeniknionych mrokach. Kiedy moja głowa już się napracuje, pozwalam jej odpocząć i nie aplikuję jej nadto forsownej gimnastyki. To mogłoby jej więcej szkód przynieść niż ukontentowania.

DON JUAN: W sumie zatem wszystko jest w porządku?

SGANAREL: Nie mogłoby być lepiej.

DON JUAN: Nie pojmuję tedy, Sganarelu, czemuś związał się z tak niedobrym panem, najgorszym łotrem, jakiego ta ziemia nosiła, szaleńcem, psem, diabłem, Turkiem, heretykiem?

SGANAREL: Niebo postawiło mnie na twojej drodze, panie, abym użyty ci mógł nieco rozsądku.

DON JUAN: Byłby to jedyny dar, jaki mi uczyniło.

SGANAREL: Nie należy tego lekce sobie ważyć. Dobrze jest mieć przy sobie osobę prawą o nieposzlakowanym sumieniu. A do tego, jeśli osoba ta nie jest tobą i możesz jej nakazać milczenie, kopiąc ją po prostu – jak to ze mną często czynisz, panie – jest to nader praktyczne.

DON JUAN: Nieposzlakowane sumienie? Rozśmieszasz mnie, Sganarelu. Uważam, że ty szczególnie współwinny jesteś zła, które czynię. Nie tylko nie starasz się mu zapobiec, ale gdy się już nim nacieszysz, opisujesz wszystko w swoim kajeciku...

SGANAREL: Jakim kajeciku? Ja, w kajeciku? Przeszukaj mnie, panie, nic takiego nie posiadam.

DON JUAN: Nie zaprzeczaj – doniesiono mi o nim. Bo też udostępniasz go

innym, a tym samym wywołujesz tak szerokie echo mych wyczynów, iż reputacja ma więcej zawdzięcza tobie aniżeli mnie samemu. Słuchasz mi, Sganarelu, więcej niżli prosty sługa. Zaprzeczysz temu?

SGANAREL (*śmiejąc się*): Ja bez wątpienia też tu i ówdzie mam nieco wymiętą duszę... Wiedz panie, że jestem zachwycony, dowiedziawszy się, iż bardziej skomplikowany jestem, niż myślałem. Sam widzisz, jaki człowiek bywa niedomyślny.

DON JUAN (*również się śmieje*): Czyli nie wiesz, kim jesteś, ale wielce się sobie podobasz. Taka jest prawda. Kochasz się, kimkolwiek jesteś.

SGANAREL: A jaka by z tego wynikała korzyść, by zostać własnym swoim wrogiem? Cóż człowiek mógłby na tym zyskać?

DON JUAN (*ponuro*): Nic. Ale człowiek nie ma wyboru.

SGANAREL: Mam zatem rację. Bezsprzecznie, panie, zawsze dobrze jest podyskutować z tobą, bo przecież w kuchniach i stajniach nie znajdę godnych mnie rozmówców. Ale teraz, pozwól, muszę powrócić do mego zajęcia. To nasze gadanie wystraszy mi anioły.

Znów zaczyna przybierać pozę osłupiałego wróza.

DON JUAN (*w widoczny sposób starając się uciec od swoich myśli*): Co tam widzisz, Sganarelu?

SGANAREL: Kobiety. Mnóstwo zaskoczonych kobiet. A potem ciebie, panie, całkiem samotnego. Tak samo ze mną. Zostajemy rozdzieleni.

DON JUAN: Zatem twój dym nie mówi ci prawdy. Nie wie, iż mam się

ożenić? Że wielki uwodziciel idzie na emeryturę?

SGANAREL: Mój dym nie przypuszcza, aby tak się właśnie stało.

DON JUAN: A ty?

SGANAREL: Och, ja!...

DON JUAN: Jakie jest twoje zdanie?

SGANAREL: Obawiam się tego.

DON JUAN: Masz na to nadzieję?

SGANAREL: Obawiam się tego.

DON JUAN: Nie myślisz, że to jakiś fortel?

SGANAREL: Taka była moja pierwsza myśl, ale gdy się pana zna, wiadomo, iż pierwsza myśl nigdy nie jest dobra. Ożeni się pan z nią.

DON JUAN: Powinno cię to cieszyć.

SGANAREL: Bez wątpienia.

DON JUAN: A zatem?

SGANAREL: Ba...

DON JUAN: Więc jak?

SGANAREL: Jakoś nie potrafię. Jasne, iż zawsze sobie tego życzyłem, planowałem nawet. Powtarzałem sobie, że „młodość przeminie, grzech

się rozplynie” i tym podobne sentencje, godne, żeby je na talerzach grawerować... A teraz poślubiasz, panie, tę małą, a mnie ogarnia niepokój. Zadaję sobie pytanie, czy to o nią właśnie chodzi...

DON JUAN: A niby o kogo?

SGANAREL: Widzisz, panie, od kilku tygodni tak sobie myślę, czy w końcu jakiejś nie poślubisz – jakby jakiś powiew weselny unosił się nad nami. Cóż, padło na nią. Coś mi się jednak zdaje, że to nie ta kobieta zostanie twoją żoną.

DON JUAN: Bredzisz, Sganarelu.

SGANAREL: Nie przypuszczam. Kiedy bowiem bredzę, ty się, panie, śmiejesz.

DON JUAN (*ponuro*): Mam swoje powody, aby ją poślubić.

SGANAREL: Starczy tego, panie. Przestań wreszcie udawać – wiesz dobrze, że od miesiący Don Juan nie jest już Don Juanem.

DON JUAN: Milcz, zaczynasz mnie nudzić.

SGANAREL: Ranisz mnie do głębi. I po to tutaj jestem – ja, twoje sumienie. Bo Bóg zapomniał cię nim obdarować, gdy przychodziłeś na świat. Wiesz przecież, panie, znakomicie, że już od miesiący nie zapisałem ani jednego nowego imienia w moim kajeciku.

DON JUAN: No proszę, przyznałeś, że go masz.

SGANAREL: Mogłem to zrobić, do niczego już bowiem nie służy. Żadnego nowego imienia, koniec z rozpustą, rządy objęła cnota, a Don Juan zapadł

w sen.

DON JUAN: Kobiety we Francji wcale mi się nie podobają.

SGANAREL: Czy kiedykolwiek przedtem przeszkadzało ci to je zdobywać? Ile już widziałem szpetnych, włochatych, szczerbatych wyrzutków niewieściego rodu, których sam widok zgasiłby żar cnotliwego osiemnastolatka – ale ciebie, panie, nic nie mogło powstrzymać, jeżeli tylko coś złego mogłeś uczynić.

DON JUAN: Przesadzasz, Sganarelu, ostatnio była przecież mała Guérin, ta Dumeslée, no i ta Champétrie... A do tego jeszcze służąca w oberży Pod Trzema Lisami, która...

SGANAREL: Nieprawda, panie! Nieprawda! Twierdziłeś, że je posiadałeś, a do niczego nie doszło. Jestem poważnym historykiem i sprawdzam rzecz u źródeł. Nie dotarłeś do celu, jeśli idzie o te damy, i to nie dlatego, żeby się broniły – przeciwnie, nigdy nie wybierałeś równie łatwych ofiar – ale dlatego, boś się wymigiwał w ostatniej chwili. Tak właśnie – ty się wymigałeś. Jedna z nich użalała się nawet przede mną. I teraz, nieszczęsne stworzenia, wszystkie nabrały przekonania, iż są nader paskudne i nieładnie cuchną. Świat stanął na głowie.

DON JUAN: Ale...

SGANAREL: Stawiam ci zatem pytanie, które ty sam tak bardzo lubisz zadawać: po co? Po co przed tym uciekać? I dlaczego udawać, że wszystko jest jak dawniej? Dlaczego wmawiać coś, czego już nie ma? I to jeszcze mnie! Don Juan wyprowadzający w pole swojego sługę – tego jeszcze nie było!

DON JUAN: Milcz! Nie słyszysz hałasu? (*Sganarel rozgląda się, co się dzieje*) To ona? Dostała mój liścik?

SGANAREL: Tak, to nadchodzi twoja pani emerytura.

DON JUAN: Znikaj stąd... Szybciej...

Sganarel wychodzi. Don Juan zostaje na chwilę sam.

SCENA 3

Wchodzi Mała i zatrzymuje się na progu. Jest bosa, ma na sobie koszulę nocną. Don Juan stoi twarzą do publiczności.

MAŁA: Don Juanie?...

DON JUAN: Tak.

Don Juan zaczyna się odwracać.

MAŁA: Nie! Nade wszystko nie odwracaj się, panie! Pozostań, jak jesteś. Ja... Ja mam na sobie nocną koszulę.

DON JUAN: Jakoś mnie to nie przeraża.

Ponownie chce się do niej odwrócić twarzą.

MAŁA: Nie! Tak jest dobrze! Nie ruszaj się, panie. Tak. Nie powinienes mnie oglądać. Schudłam. Jestem bardzo blada.

DON JUAN (*cierpliwym, rozbawionym tonem*): Jak długo mam czekać? Spodziewasz się, pani, że w najbliższych minutach przytyjesz i się opalisz?

MAŁA (*po chwili*): Don Juanie...

DON JUAN: Tak?

MAŁA: Jesteś Orfeuszem, a ja Eurydyką – przybyłeś, aby wyrwać mnie z otchłani piekieł, gdzie się po śmierci znalazłam. I teraz rodę się na nowo. Wzbijamy się ku światłu. Pozwól mi się przyzwyczaić. Zbliżamy się już do powierzchni.

DON JUAN: W tym rzecz: bądźmy powierzchowni, a pocujemy się lepiej. A jeżeli się odwróczę?

MAŁA: Proszę! Jeśli to zrobisz, umrę po raz drugi, ale tym razem na dobre. I nie będziemy mogli się kochać.

DON JUAN: Zgoda. Ale czy mamy się kochać plecami?

MAŁA: Twoje plecy... Już nie tak proste jak kiedyś... I nie tak zdecydowane... Ty też, ty też cierpiełeś. Jak wiele wyczytać potrafię z twych pleców!

DON JUAN: Tylko że ja nie bardzo zgadzam się z tym, co moje plecy opowiadają za moimi plecami.

Odwraca się niespodziewanie.

MAŁA (*krzyczy, chowając twarz w dłoniach*): Jestem odrażająca!

DON JUAN: Jeśliby to była prawda, nie mówiłabyś o tym. (*po krótkiej chwili*) Pozwól na siebie popatrzeć... Nie, moja panno, nie jesteś odrażająca. Nie bardziej niż dawniej.

MAŁA (z prostotą): Miło to usłyszeć. (*Don Juan odwraca się od niej*) Don Juanie?...

DON JUAN: Tak?

MAŁA: To na pewno ty?

DON JUAN: Czyżbyś straciła również wzrok ostatnimi czasy? Bardzo musiał być ciężki ten twój pobyt w piekle... (*po chwili*) Naprawdę przypominam siebie. Szczególnie od tyłu.

MAŁA: Którego siebie? Z którym z Don Juanów mam teraz do czynienia... Z tym, co mnie pokochał, czy tym, co mnie porzucił?

DON JUAN: Jest tylko jeden. Oj, kobiety, kobiety!... Te wasze złudzenia, płynące z egoizmu! Ktoś wam schlebia i wyznaje miłość? To znaczy, że mówi prawdę! Porzuca was, odchodzi, nie kocha was już? To znaczy, iż sam siebie oszukuje! (*niemal groźnie*) Nie przyszło ci do głowy, że uwodziciel szuka tylko tego, co już dostał, kiedy głupio pozwoliłaś mu się uwieść? Nie ma powodu, żeby pozostawał dłużej – mięso nie jest już pierwszej świeżości.

MAŁA: Jeżeli znów gdzie indziej zaczął, jeśli bez końca błądzi, objając się o kolejne kobiety, to znaczy, że nie znajduje tego, czego szuka, bo nie wie nawet, czego poszukuje.

DON JUAN: A czegoż miałyby szukać, czego nie może znaleźć?

MAŁA: Cóż za pytanie!... Miłości, rzecz jasna.

DON JUAN: No i padło to słowo – „miłość”. Wszystko już zostało powiedziane. Nieszczęsna, kiedy ci stuknie szósty krzyżyk, to tak jak

teraz mówisz „miłość” – z takim samym spojrzeniem, wiarą, uniesieniem – wypowiesz słowo „Bóg”. Tylko kobieta może takie rzeczy wygadywać...

MAŁA (*stawiając mu czoło*): Tylko mężczyzna może tak kpić! Dla was to dyshonor przyznać, że posiadacie serce, serce spragnione, serce złamane! Tak jakby siusianie na stojąco wykluczało uczucia!

DON JUAN: Nabrałaś dydaktycznego zacięcia? To jakiś uboczny efekt choroby?

MAŁA: Choroby? Jakiej choroby?

DON JUAN: Czyżby mnie źle poinformowano? Podobno byłaś w gorączce, niemalże w agonii...

MAŁA: To nie z powodu choroby, tylko z rozsądku. Nie miałam już powodu, by żyć.

DON JUAN: Trzeba było sobie zadać nagłą śmierć. To skuteczniejsze niż gasnąć powoli.

MAŁA: Nie dbam aż tak bardzo o siebie, żeby się zaraz zabijać. (*rzuca się nagle w ramiona Don Juana, obejmując go*) Och, Don Juanie... To ty, to naprawdę ty... (*chwieje się na nogach*) Wróciłeś...

Don Juan pozwala jej na to.

DON JUAN (*spogląda na nią jakby z czułością*): To zabawne...

MAŁA: Co?

DON JUAN: Jest coś męskiego w twoich oczach. Zupełnie jak we wzroku twego brata.

Kiedy się obejmują, Księżna zagląda ostrożnie do pokoju – widzi ich, sama nie będąc widziana. Przechodzi ostrożnie tyłem sceny i gdzieś znika.

MAŁA (*radośnie, nieomal szczebiocąc*): Och, Don Juanie, Księżna oczywiście udzieliła mi lekcji, ale nie mogę już wytrzymać. Powiedz, czy to prawda, że mam zostać twoją żoną?

DON JUAN (*śmiejąc się*): Oszczędzasz mi, moja panno, oświadczyn. Tyle już razy w życiu prosiłem o rękę. I zawsze nieszczerze.

MAŁA: Tym razem robisz to naprawdę?

DON JUAN: Naprawdę.

MAŁA: Nie odejdiesz już?

DON JUAN (*z dziwnym spokojem*): Już nie odejdę.

MAŁA: Ach, mój Don Juanie!... (*daje się ponieść*) Wszystko przemyślałam, kiedy cię nie było. Powiedziałeś, że wrócisz, i najpierw w to wierzyłam, potem zwątpiłam, potem chciałam umrzeć, zdradzić cię, by się zemścić, ale zaczęła powracać nadzieja o wiele mocniejsza od mego cierpienia i na powrót zaczęłam wierzyć. Widzisz, nie potrafię czekać i to właśnie było mą chorobą. (*wpatrując się w niego*) Nie myliłam się więc, ufając, że mnie kochasz.

DON JUAN: Nie opowiadaj głupstw. Nie kocham cię nic a nic. Żenię się z tobą i to wystarczy.

MAŁA (*cofając się*): Ty mnie...

DON JUAN: Nie.

MAŁA: Przecież trzeba kochać, żeby wziąć ślub...

DON JUAN: Nie.

MAŁA: Ale nie w przypadku Don Juana!

DON JUAN: Przede wszystkim w tym przypadku! Och, zapomniałem – jesteś, panno, specjalistką od mojej osoby i wiesz lepiej ode mnie, kim jestem, co robię i jaka czeka mnie przyszłość. To ty jesteś jej autorką. Ale czemuż by nie? Jeśli sprawia ci to przyjemność, możesz sobie wierzyć, że Don Juan jest zakochany! Ja też postaram się w to uwierzyć. Małżonkowie powinni darzyć się zaufaniem... Ale ty bledniesz...

MAŁA (*wstrząśnięta*): Ty mnie naprawdę nie kochasz...

DON JUAN: Ależ tak, sama to powiedziałaś.

MAŁA: Poślubisz mnie, nie kochając?

DON JUAN (*twardo*): Gdyby nawet tak się stało, co to zmienia?

MAŁA: Jeżeli mnie nie kochasz, ja... Ja nie zgadzam się na ślub z tobą, panie. Zabiję się.

DON JUAN (*śmiejąc się*): Dajże spokój, czy ja wyczyniam jakieś historie? (*kładąc na ustach palec jak dorosły, który opowiada dziecku bajkę*) Powiem ci, moja panno, dlaczego absolutnie musisz za mnie wyjść. (*macha ręką w stronę niewidocznego sądu*) Jeśli się nie zgodzisz, są gotowe urządzić ci proces.

(*Angelika nie rozumie*) Tak, tak! To potwory! Moja rozprawa odbywa się właśnie dzisiejszej nocy. Ale wyrok wiadomy jest z góry: jestem winny. A wiesz, jaka mnie czeka kara? Właśnie ty. I tak mam szczęście, mogłoby być gorzej.

MAŁA: Proces, kara... Co ty, panie, wygadujesz? Moja matka chrzestna...

DON JUAN: Twoja matka chrzestna, nieszczęsna dziewczyno, to kobieta nader niebezpieczna. Wybór, którym mnie szantażuje, wygląda tak: albo ty, albo Bastylia. (*po chwili, obłudnie*) Nic ci nie powiedziała? Nie mylę się? Myślisz więc, że... Och, biedna mała! No nie, to doprawdy skandal!

MAŁA: Ale... Ale ona mi mówiła, że poślubisz mnie, panie, bez dyskusji...

DON JUAN (*zakłopotany*): Nie powinna była, ja kalkuluję prędko.

MAŁA: Więc czemu się zgodziłeś? By zyskać na czasie, zanim zdołasz uciec?

DON JUAN: Nie zamierzam uciekać.

MAŁA: Dlaczego?

DON JUAN: Co to dla ciebie zmienia? Po prostu biorę cię za żonę. Tylko fakty się liczą, nieprawdaż?

MAŁA: Nie fakty, Don Juanie, ale uczucia! Więc dlaczego? (*pod wpływem nagłego olśnienia cofa się ze zgrozą*) Don Juanie, przejrzałam twoją grę! Udawałeś, że się zgadzasz, aby tamte kobiety zostawiły cię w spokoju, a teraz starasz się obrzydzić w moich oczach, żebym to ja cię odrzuciła. Chytry manewr – ślubu nie będzie z mej winy, nie z twojej. Brawo!

(*przepełniona bólem*) Czemu raz jeszcze czynisz mi tę krzywdę, którą raz już zrobiłeś? Co chcesz osiągnąć?

DON JUAN: Dlaczego wbiłaś sobie w głowę, że do czegoś dążę? Niczego nie chcę osiągnąć, po prostu biorę: zrywam jabłka z drzewa, a potem je zjadam. A kiedy pragnienie wraca, powtarzam rzecz od nowa. Ty nazywasz to poszukiwaniem? Na pewno uważasz, że mam zbyt duży apetyt – moje usta chciały spróbować wszystkich owoców, wszystkich innych ust, tak różnych, tak odmiennych, pełnych, wilgotnych, delikatnych, zamkniętych, rozwartych, zaciśniętych ust skromnisi, niecierpliwych kobiety namiętnej, pełnych warg podlotka. Wszystkich ich pragnąłem. Mężczyźni zazdroszczą mi, moja mała, bo robię to, na co oni nie mają odwagi, a kobiety mają mi za złe, że daję im rozkosz. Wszystkim!

MAŁA: Brednie! Mężczyźni cię nienawidzą, bo im kradniesz żony oraz siostry, a kobiety za to, że je porzucasz, obsypawszy wpierw najładniejszymi obietnicami. Żaden z ciebie święty ani bohater – nie łudź się, Don Juanie. Jesteś tylko oszustem: nędznym, małym oszustem w miłości.

DON JUAN: To ty gadasz bzdury! Wszystkie lękacie się rozkoszy i macie rację: tylko ktoś mocny może sobie na nią pozwolić. Wyobraź sobie, co też by się działo, gdyby powiedziano całemu światu: „Porzućcie swoje motyki i igły! Od dziś naszą monetą jest rozkosz. Bierzcie ją tu i teraz, nie wstyďte się – dalej, więcej, dalej!”. I cóż by się stało? Nikt by już nie pracował w pocie czoła, nikt by już nie walczył. Ludzie nic by nie robili, zajęci jedynie własną przyjemnością. Nie byłoby już ślubnych lub nieślubnych dzieci, ale jedna wesoła dzieciarnia z trzydziestoma

sześcioma matkami i dobrą setką ojców! Koniec z własnością, koniec z dziedziczeniem, koniec z przekazywaniem dóbr i przywilejów płynących z urodzenia, bo przecież krew natychmiast całkiem by się wymieszała, wędrując wraz z męskim nasieniem. Życie w wesołym burdelu, gdzie nie byłoby klientów ani burdelmamy, jedynie same dziewczęta! Wyobrażasz sobie ten rozgardiasz? A przemysł? A handel? A rodzina? Fortuny? Nie byłoby już biednych, bo bogactwa nie mierzyłoby się pieniądzem tylko rozkoszą, a każdy człowiek wystarczająco jest wyposażony, aby móc jej zaznać. (podsumowując) A więc, moja mała, oszczędź sobie opowieści, które słyszałem już ze sto tysięcy razy – tych wszystkich bzdur o poszukiwaniu, o pogoni za czymś... Człowiek szuka wtedy, jeżeli nie znalazł! To frustraci szukają, szczęśliwi nie muszą. A ja zawsze dostaję to, czego pragnę od innych – moją rozkosz!

MAŁA: Ludzie to nie jabłka, które zrywa się z gałęzi. Czują ból, kiedy się ich gryzie. Gdybyś pozostał wierny...

DON JUAN: Wierny! Wolność w ciasnej klatce – nazywają to wiernością.

MAŁA: Ta twoja wolność! Twoje prawo do zdrady!

DON JUAN: Zdrada! Zdrada! Wciąż to krzyczycie z pianą na ustach. Ale to wy, kobiety, więcej w sobie macie fałszu. Trzeba wam obiecać przywiązanie do grobowej deski, byście nam zechciały dać pięć minut rozkoszy. A przecież wszyscy wiedzą, że to tylko układ – słowa w zamian za kilka czynności. I nie ma w tym zdrady, to tylko mowa, a zdrajcą jest ten, kto udaje, że tego nie rozumie.

MAŁA (z oburzeniem): Wszystko potrafisz zbrukać, Don Juanie, kobiety, słowa!

Dobry jesteś tylko w tym, co złe.

DON JUAN: Czemu zatem mnie kochasz? Mogłaś lepiej wybrać – ty, taka „dobra”, tak „szlachetna...”.

MAŁA (*nagle rozeźlona, z uporem*): Nie jestem ani dobra, ani szlachetna. I nigdy nie byłam.

DON JUAN (*rozbawiony*): Spokojnie, moja mała, jesteś tylko dzieckiem.

MAŁA (*stawiając mu czoło*): No właśnie. A ty powinieneś wiedzieć, co bierze górę w dziecięcej naturze – egoizm. (*w złości*) A jeśli ja, ja też jestem taka sama jak ty, panie? A jeśli ja też Kocham uwodzenie? Myślisz, że tylko mężczyźni kolekcjonują laury? Czy wyobrażasz sobie, Don Juanie, wspanialszy wyczyn niż zostać tą, która cię przy sobie zatrzyma? Mogłabym oczywiście tak jak ty tracić siły na bieganie za mężczyznami, żeby ich wszystkich usidlić, ale to bez sensu – wolę upolować jedną piękną zdobycz niż złowić wiadro kiełbików. Wyobrażasz to sobie: Don Juan, ten, który porzucił wszystkie swe kobiety – i to ja go trzymam w garści! Ty staniesz się mą zdobyczą! Będziesz niósł moją chorągiew! Wszyscy będą mówić: „To jej udało się złowić Don Juana w małżeńskie pęta!”. Cóż za reklama! (*zachwycona*) Będą mnie nienawidzić, bo nie masz triumfu bez nienawiści.

DON JUAN (*sztyderczo*): A broń, którą zamierzasz mnie ujarzmić, to łzy, choroba, lamente i cierpliwe czekanie?

MAŁA: Każdy ma swoją własną i swe własne plany – ja też mam swoją strategię! Chcesz, bym biła w dzwony i strzelała z armat? Nie będę przecież sięgać po broń mężczyzn, kiedy zwyciężyć cię chcę jako

kobieta. Słabo znać musisz moją chrzestną matkę, jeżeli uważasz, że mocna jest i niebezpieczna... To przemiła i sentymentalna starsza dama, która w rzeczy samej posiada pewną cenną właściwość – gdy jej podsunąć pomysł, łatwo wierzy, iż sama nań wpadła. Jest energiczna, ale – jak to się mówi? – łatwo ulega wpływom. Taka właśnie jest.

DON JUAN: O czym ty mówisz?

MAŁA: Mówię o tym, Don Juanie, że udając chorobę i szaleństwo, nietrudno mi było sprawić, aby w jej głowie zaświtała myśl o zemście, którą znakomicie potrafiła obrócić w czyn – oddajmy jej sprawiedliwość. Ale czyż wielkim wodzem nie jest przede wszystkim ten, który potrafi uczynić, aby go słuchano? (*bardzo sucho*) Nie masz zresztą racji, wyśmiewając moją taktykę: jest nadzwyczaj skuteczna – poślubisz mnie, panie. (*po chwili, z naciskiem*) Bo przecież mnie poślubisz?

DON JUAN (*zakłopotany*): Tak.

MAŁA (*twardo*): Zważ, iż oświadczyłam ci się oficjalnie, wszystko jest jak trzeba.

DON JUAN: Starasz się udawać mocniejszą, niż jesteś.

MAŁA: Och, widzę, że rozpiera cię ta wasza męska duma. „Kobiety są słabe” – wielki błąd, Don Juanie, bo to właśnie słabość jest głównym źródłem naszej siły. To niewidoczna broń, której istnienia nie podejrzewa żaden mężczyzna. Jesteś taki nieokrzesany.

DON JUAN: Zbyt wiele tłumaczysz, a to znaczy, że kłamiesz.

MAŁA: Poślubiasz mnie, Don Juanie! A co ja potem robię? Znikam

pewnego pięknego poranka, zostawiając ci słówko: „Dziękuję za wszystko, gdzie indziej mam ciekawsze rzeczy do zrobienia”. A po południu znajdujesz mnie w ramionach stangreta. Triumf nad Don Juanem, po tym jeszcze, jak się go poniżyło do roli męża – czy to nie byłoby następne zwycięstwo?

DON JUAN: Byłoby to zwycięstwem, gdyby twoje postęпки sprawiały mi ból. Ale to, że się z kimś prześpisz albo mnie opuścisz, najmniejszego nie przyniesie efektu. Będziesz cieszyć się wolnością.

MAŁA (*zbita z tropu*): Co?

DON JUAN: Jeżeli tylko zechcesz, zawrzemy układ – dodatek do ślubnego kontraktu. Wątpię bowiem, by znajdował się w nim punkt, który głosi, że będziesz miała prawo sypiać z kim tylko zechcesz, a ja nigdy nie powiem na to ani słowa.

MAŁA (*szycerzo*): Rozumiem. Chcesz ode mnie w zamian wyciągnąć taką samą obietnicę.

DON JUAN: Ależ skąd. Ja ze swojej strony przysięgam nigdy już nie sypiać z innymi kobietami.

MAŁA: Absurd! Nie będziesz zazdrosny?

DON JUAN: Nie leży to w mojej naturze.

MAŁA: Stracisz honor! Staniesz się rogaczem najsłynniejszym w całej Europie!

DON JUAN: Gdybym nadal wierzył w honor, nie powierzałbym go damskim

pantalonom. (*mija krótka chwila. Wpatruje się w Małą, która zdaje się nagle popadać w przygnębienie*) O co chodzi? Spuszczasz z tonu? Będąc wyrozumiąłym mężem, odbieram ci twój triumf? Przykro mi, ale nie odejdę, nie będę cię zdradzał, nie wystawię cię na żadne obmowy. Wszyscy będą myśleli, że to małżeństwo z miłości.

MAŁA (*zrezygnowana, przestaje grać*): Nienawidzę cię! Nienawidzę!

DON JUAN (*szydlerczo*): No cóż, generale, obawiam się, że większe są twe ambicje aniżeli środki.

MAŁA (*płacząc, na skraju wytrzymałości*): Och, Don Juanie, dlaczego? Dlaczego obiecujesz mi małżeństwo i wierność bez miłości? Dlaczego?

DON JUAN (*melancholijnie*): Powiedzmy, że chodzi o to, by czemuś położyć kres. Rozkosz mnie znużyła, uwodzenie zmęczyło. Poznałem tylko rozkosz. Może szczęście również nie jest takie złe. Słodcz owoc gnijącego niespiesznie...

MAŁA (*krzyczy, ogarnięta bólem*): Więć odejdz!

Wybucha szlochem.

DON JUAN (*nagle poruszony*): Nie płacz.

MAŁA (*dzielna i godna współczucia*): To nic, to nie smutek, to nie moja dusza płacze... To tylko oczy...

DON JUAN (*spoglądając na nią dziwnym wzrokiem*): A więc mnie kochasz.

MAŁA: Tak, Don Juanie, kocham cię i dziś tego żałuję – i żałowałam tego

tysiące razy, bo ta miłość sprawia, że jestem nieszczęśliwa, a do tego wcale nie chce mnie opuścić.

DON JUAN: Ale przecież...

MAŁA: A masz, panie, taką moc, aby mnie pokochać, kiedy mnie nie kochasz? Bo ja nie posiadam takiej, która by mi pozwoliła przestać kochać ciebie. To nie od nas zależy. *(po chwili)* Te moje nadzieje...

DON JUAN: Tak?

MAŁA: Miałam nadzieję... Wierzyłam, że mnie kochasz, tylko nie zdajesz sobie z tego sprawy... Kochasz nieświadomie...

DON JUAN *(łagodnie)*: Wyjaśnij mi to, proszę.

MAŁA *(której mówienie o tym troszkę poprawia humor)*: Widzisz, Don Juanie, od razu poznałam twoją naturę: zadajesz ból ze strachu, żeby ci go nie zadano. Dla ciebie „kochać” zawsze będzie znaczyć „kochać za bardzo”... Więc pomyślałam, że może się mnie boisz.

DON JUAN *(łagodnie)*: Bać się małej dziewczynki?

MAŁA: Nazwałeś mnie małą dziewczynką, ale o ludzkim sercu wiem o wiele więcej od ciebie. W moim nieszczęściu poczyniłam w tej materii postępy.

DON JUAN: Twoje serce nie doświadczyło tego, co poznało moje.

MAŁA: Twoje serce? Twoje serce od bardzo dawna dusi się w kagańcu. Gdyby go poluzować, nie przemówiłoby, tylko zaczęło wyc z bólu.

DON JUAN: Więc może lepiej go nie uwalniać.

MAŁA: Rzemienie wrzynają się w nie, wciąż jeszcze krwawi. To powolna agonia, Don Juanie.

DON JUAN (*dziwnie poważnie*): Wiem.

MAŁA: Mam zręczne palce i potrafiłabym delikatnie je uwolnić. (*jak dziecko*)
Ale musiałabym choć troszkę uwierzyć, że mnie kochasz – inaczej nic z tego.

DON JUAN: Zastanów się, maleńka, skąd miałbym wiedzieć, że cię kocham, jeżeli nie wiem, co to miłość?

MAŁA: Nie trzeba znać miłości, żeby ją rozpoznać. (*nagle się rozjaśnia*)
Widziałeś kiedyś, panie, ryby?

DON JUAN: Tak.

MAŁA: A ptaki?

DON JUAN: Tak.

MAŁA: Ten, kogo kochasz, ukazuje ci się jak ryba w wodzie albo ptak w przestworzach. Zawarł układ z ziemią: nie musi już z trudem przebywać drogi – on się prześlizguje; nie upada, tylko układa się lekko. Jest jak rusałka, tyle że na ziemi.

DON JUAN: I co dalej?

MAŁA: Zawarł też inny układ, ważniejszy tym razem – układ z wszechświatem. Dogadali się, że świat ukazywać mu będzie zawsze to, co najpiękniejsze, a on ze swej strony potrafi podziwiać owe

wspaniałości. Gdy jesteś przy nim, korzystasz z tego wszystkiego, trwa wieczne święto – słońce nigdy nie pali za mocno, deszcz nigdy nie jest zbyt zimny, ogrody zawsze pachną pięknie, kamienne ławy wydają się miękkie. Cała natura kocha go i pieści.

DON JUAN: I co dalej?

MAŁA: Jego twarz niepodobna jest do żadnej innej. W tym również tkwi tajemnica. Gdy kogoś nie darzymy miłością, dostrzegamy, jak zbudowane ma ciało, widzimy architekturę kości, ich zgrubienia, tam gdzie brzydko wypychają skórę – te wszystkie zmarszczki, czerwone plamy, obwisłości, zwycięskie wągry i niezbyt to wszystko jest pociągające. Ale ciało ukochanego to zupełnie inna sprawa – jest niematerialne. Ono nigdy nie jest z krwi i kości, uczynione jest z marzeń.

DON JUAN: I co dalej?

MAŁA: Kiedy go nie widzisz, czujesz się chory, brzydki i zmęczony, a gdy tylko go zobaczysz, wstępuje w ciebie życie. I znów powraca poranek.

DON JUAN: I co dalej?

MAŁA: Wszystkie zegary wariują: spóźniają się, gdy na niego czekasz, biegną do przodu, kiedy on jest z tobą.

DON JUAN: I co dalej?

MAŁA: Wszystko przeżywasz dwa razy. Pierwszy raz dla siebie, drugi raz dla niego, gdy mu o tym opowiadasz. Stajesz się poetą.

DON JUAN: I co dalej?

MAŁA: Nie jesteś już samotny. Coś zwiążuje cię z życiem niczym pępowina, która łączyła cię z matką, zanim przyszedłeś na świat. Koniec z niezależnością. Stałeś się niewolnikiem. Nie należysz już do siebie. Ale te więzy dają wyzwolenie.

DON JUAN: I co dalej?

MAŁA: Znikają wątpliwości.

DON JUAN: I co dalej?

MAŁA: Dalej po prostu nie ma żadnego „dalej”. Koniec z nadzieją, koniec z tęsknotą – wszystko znalazło się na swoim miejscu. Jesteście razem. To jest rodzaj wiary.

DON JUAN: Trochę tak, jakby uwierzyć w Boga?

MAŁA: Dokładnie tak. Bo ja właśnie to nazywam Bogiem. Pełen ciepła świat, wypełniony sensem.

DON JUAN: Jesteś znakomitą nauczycielką.

MAŁA (*skromnie*): Cała moja wiedza pochodzi od ciebie. (*po chwili*) Poczujesz już kiedyś coś takiego, Don Juanie?

DON JUAN (*twardo*): Tak. (*Angelika zamierza rzucić się w jego ramiona*) Jeżeli mnie dotkniesz, niczego już więcej nie powiem.

MAŁA: Czujesz to wobec innej?

DON JUAN: Cóż za pytanie, maleńka... Obiekt mojego uczucia był bardzo podobny do ciebie.

MAŁA: To było w tym kraju?

DON JUAN: To było w tym kraju.

MAŁA: Na tej ziemi?

DON JUAN (*wznosząc z dziwnym wyrazem twarzy oczy ku niebu*): Na tej ziemi.

MAŁA: Kilka miesięcy temu?

DON JUAN: Kilka miesięcy temu.

MAŁA: Ile?

DON JUAN: Pięć miesięcy i dwadzieścia osiem dni.

MAŁA: Tyle czasu upłynęło od dnia, gdyśmy się spotkali.

DON JUAN (*smutno*): Ach, więc ty też liczyłaś?

MAŁA (*szczęśliwa*): Ja też!

DON JUAN: Biedna małeńka.

MAŁA: Więc nie mam się już na co skarżyć. Bóg mnie wysłuchał. Otworzył się niebiosy. (*zbliża się do Don Juana, ale on się odsuwa*) Odpychasz mnie?

DON JUAN (*cofając się*): Jestem bardzo nieszczęśliwy, Angeliko.

MAŁA: Rozumiem cię, Don Juanie, dobrze to znam.

Don Juan wychodzi, ale Angelika nie zdaje sobie z tego sprawy; mówi nadal, myśląc, że stoi za nią. Odwróciła się od niego, chcąc ukryć swoje skrepowanie.

MAŁA: Widzisz, ukochany, na początku szczęście jest równie mocne jak cierpienie; jest tak rozdzierające, że aż boli... To śmiertelny cios dla dumy, gdy człowiek zdaje sobie sprawę, jak bardzo stał się od kogoś zależny... Trzeba dopiero zgodzić się na miłość. Dobranoc, Don Juanie. Będę śnić o tobie.

Wychodzi delikatnie, przekonana, że zostawia go wraz z jego bólem.

SCENA 4

Przez jakiś czas na scenie nic się nie dzieje, a potem słychać stukanie w ścianę. Cisza. Znowu stukanie. Pojawia się Marion i zwinnie podbiega do biblioteki. Porusza jedną z pochodni przyczepionych do ścian; biblioteka odsuwa się, ujawniając sekretne, mroczne przejście, w którym ukrywa się Księżna.

KSIEŻNA (*wychodząc, klaszcze mocno w dłoń*): Mam ją, Marion! Wreszcie ją mam!

MARION: Kogo? Pannę Angelikę?

KSIEŻNA: Ależ skąd, tę przebrzydłą pajęczycę! Przypierała mnie do muru cały czas, kiedy tam byłam. Wpierw długo spoglądałyśmy sobie w oczy, potem biegała po mnie w górę i w dół, abyśmy się mogły lepiej poznać, aż w końcu usadowiła mi się na głowie, żeby usnuć pajęczynę pomiędzy mną a murem! A ja nie mogłam drgnąć ani nawet pisnąć...

MARION: Nieszczęsna pani, przecież tak bardzo lękasz się pajaków.

KSIEŻNA: Teraz już się ich nie boję, Marion. W ogóle. Te pająki są niczym plebs – ma się o nich straszne wyobrażenie, zanim się z nimi człowiek bliżej zapozna. Ale kiedy już wiesz, jakie są, jak uczciwie pracują, odzyskujesz spokój. No cóż, Marion, musiałam dożyć swego wieku, ale

powiadam ci: w ogóle już nie boję się pajaków!

MARION: Niemniej tego pani zabiła.

KSIĘŻNA: Cóż, ktoś musiał zapłacić za tamte, które mnie w życiu wystraszyły.

SCENA 5

Pani Cassin wsuwa głowę przez drzwi i zauważa Księżnę.

PANI CASSIN (*do pozostałych, stojących za drzwiami*): Tutaj jest.

HRABINA (*wchodzi zdenerwowana*): Wreszcie! Gdzieś ty się podziewała, Księżno?

ZAKONNICA (*wbiegając*): Co się tu dzieje? Gdzie jest Don Juan?

PANNA DE LA TRINGLE: Moje panie, dość już odwlekliśmy konfrontację – czas skończyć przygotowania i rozpocząć wreszcie proces.

KSIĘŻNA: Wszystko uległo zmianie, proszę pań. (*kobiety zastygają nieruchomo*)
Moje ucho posłużyło mi zamiast rozumu, dzięki czemu poznałam pewne nowe fakty, co całkowicie zmienić musi nasze poczynania. (*ponuro*)
Obawiam się, że popełniłyśmy wielki błąd.

Siadają obok siebie, tyłem do publiczności i twarzą do Księżnej, która zaraz do nich przemówi.

Nagle zapada ciemność.

AKT III

Ten sam pokój. Świt jeszcze nie nadszedł.

SCENA 1

W pokoju oświetlonym blaskiem świec znajduje się wszystkie siedem kobiet. Atmosfera jest napięta i dramatyczna. Gdzieś widać resztki śniadania, filiżanki z mlekiem i czekoladą.

Marion sprząta naczynia i wychodzi.

HRABINA: A kiedy wyzionął ducha?

KSIĘŻNA: W nocy.

HRABINA: Kto go znalazł?

KSIĘŻNA: Łowczy. Dosłownie przed chwilą. Natknął się na zwłoki, gdy wyszedł na obchód.

PANI CASSIN: Gdzie był?

KSIĘŻNA: W alejce, pod oknami lewego skrzydła. Byłam tam – to straszne... Taki był niegdyś piękny... A teraz połamany, rozbity, niekształtny... I ta krew, która zdążyła już zaschnąć mu na skroni...

HRABINA: Ale jak to się mogło zdarzyć?

KSIĘŻNA: Nie wiem. Musiał wyskoczyć z okna swojego pokoju, roztrzaskał się o ziemię...

Płacze.

PANI CASSIN: Tak bardzo go kochałaś, pani?

KSIĘŻNA: Aż do dzisiejszego ranka nie zdawałam sobie z tego sprawy. No cóż, miał w końcu piękne życie... Ale nie potrafił latać.

ZAKONNICA: Nie potrafił latać?!

KSIĘŻNA (*z komicznym oburzeniem*): Nie, siostró! Pawie nie fruwają, a mój nie różnił się w tym względzie od innych. To tylko małe, biedne stworzenia, wyłącznie dekoracyjne, które wynaleziono do ozdoby naszych parków. Bez wątplenia nieszczęsny ptak nie miał o tym pojęcia... Chciał pewnie spróbować – nagła zachcianka staruszka... (*dramatycznie*) Chyba że to było samobójstwo!

HRABINA: No nie, Księżno, zaraz te wielkie słowa! Uspokój się. Nikt nie jest wieczny, a szczególnie ptaki.

SCENA 2

ANGELIKA (*niecierpliwie*): Don Juan tu nie przyjdzie, chrzestna matko?

PANNA DE LA TRINGLE: Mamy czas, moja mała. Teraz sobie rozmawiamy.

ANGELIKA: Ale ustaliłyśmy...

HRABINA (*do Angeliki, niemal agresywnie*): Bardzo dobrze wyglądasz jak na ciężko chorą...

ANGELIKA (*z lekkim dygnięciem, powstrzymując uśmiech*): Zechciej, pani, wybaczyć, naprawdę mi przykro. (*do Księżnej*) Więc co z Don Juanem?

KSIĘŻNA: Masz rację, trzeba go będzie zawołać... (*w nagłym ataku szloch*) Żeby przynajmniej mój paw nie zginął bez powodu...

Placze.

ZAKONNICA (*współczująco*): Księżno...

Zaczyna pochlipywać wraz z Księżną.

HRABINA: Muszę przyznać, Księżno, że zadziwiasz mnie niekiedy swymi refleksjami. Między innymi – zechciej mi, pani, wybaczyć – wciąż nie pojmuję związków pomiędzy tym, czym się właśnie zajmujemy, a twym pawiem...

KSIĘŻNA (*nagle się rozjaśnia*): Nie szukaj ich, moja dobra Alaé, bo wcale ich nie ma. To mój uwiad starczy. Uwiad starczy, po prostu! I dziękuję Bogu, że pozwolił mi dożyć wieku, gdy można sobie pogłędzić bez wyrzutów sumienia. Tak bardzo za tym tęskniłam! Kiedy masz dziesięć lat i gadasz byle co, nikogo to nie dziwi, bo tak to jest z dziećmi; kiedy koło dwudziestki wygadujesz głupstwa, oklaskują twój żywy dowcip, abyś tylko była pięknie zbudowana. Ale po trzydziestce masz zasznurowane usta albo cię mają za głupią. Zgrzybiałość przywróciła mi bezkarność. Po prostu mówią: „Stara ma w głowie kompocik” i nikt nie ma do mnie pretensji. Bywa nawet, że ktoś posuwa swą życzliwość tak dalece, iż zachwyca się moim wiekiem – przypisując mi zresztą tak podeszły, że do niego sporo mi jeszcze brakuje. Gdyby im wierzyć, powinnam pamiętać świętego Ludwika. I na koniec najuprzejmiejsi z nich, dodawszy mi uprzednio lat dwadzieścia, zachwycają się: „Ależ ona wcale na to nie

wygląda! Jak ona znakomicie się trzyma”. I teraz ja, przez długie lata zmuszona mówić niczym uczennica pana Kartezjusza, pograżam się w ciemnościach, we mgle... No proszę, jeszcze trochę, a zostanę poetką!

PANNA DE LA TRINGLE (*gniewnie*): Obrażasz, pani, literaturę, którą reprezentuję.

KSIĘŻNA: Po pierwsze, reprezentujesz pani tylko siebie, Panno de la Tringle...

ANGELIKA (*niecierpliwie*): Nie myślisz, chrzestna matko, że Don Juan...

KSIĘŻNA (*zdając się nie słyszeć*): Po drugie zaś, mylisz się – podziwiam głęboko mężczyzn i kobiety, którzy mają odwagę zidocić wcześniej od innych, bo kimże w gruncie rzeczy jest poeta? Przedwczesnym sklerotykiem. Ja nigdy nie miałam powołania – zawsze robiłam to samo co wszyscy.

Panna de la Tringle próbuje jej odpowiedzieć, gdy nagle rozlega się huk gromu, jak wtedy, gdy Don Juan pojawił się w pierwszym akcie. Jednocześnie pokój ogarnia przerażające zimne światło, wprawiając kobiety w drżenie. Wszystkie zwracają instynktownie wzrok ku szczytowi schodów, wykrzykując jednym głosem:

KOBIETY: Don Juan!

SCENA 3

Ale zamiast Don Juana pojawia się Sganarel, za którym idzie Marion. Sganarel spogląda na kobiety ze zdziwieniem. Don Juan pojawia się za nimi – wyniszczony, wyczerpany, z opuszczonymi ramionami, garbi się, a rysy twarzy ma zaostrome z niewyspania. Angelika podbiega do niego.

ANGELIKA: Don Juanie, co się z tobą dzieje?

Don Juan spogląda na nią ze zdziwieniem, jakby budził się ze snu albo dopiero co podźwignął z choroby.

DON JUAN: Ależ nic takiego...

Wpatruje się w nią i coś zdaje się go onieśmielać w twarzy Angeliki. Odwraca głowę i siada, chwiejąc się ze zmęczenia. Kobiety patrzą na niego bez wyrozumiałości, nieomal z pogardą. Lekkie zawieszenie akcji.

ANGELIKA: Matko chrzestna, czy ten proces jest konieczny?

KSIĘŻNA: Tak, moja mała.

ANGELIKA: No ale jeśli Don Juan mnie kocha...

HRABINA (*poprawia ją*): On tylko żeni się z tobą...

ANGELIKA: Kocha mnie i mnie poślubia. Nie możemy go uwolnić od tych szykan?

PANNA DE LA TRINGLE: Przede wszystkim skąd ci przyszło do głowy, że on cię kocha?

ANGELIKA: Sam mi to powiedział, pani.

ZAKONNICA: A której nie powiedział?

HRABINA: Mówi „kocham cię” jak szermierz, który przyjmuje pozycję obronną. To początek pojedynku, nie pojęłaś tego?

KSIĘŻNA: Właśnie jeżeli cię kocha, ten proces jest absolutnie konieczny.

ANGELIKA: Zadałyście mu ból.

KSIĘŻNA: Miejmy nadzieję.

ANGELIKA: Jesteście podłe! Nie myślicie o naszym szczęściu.

HRABINA: Wasze szczęście, moja mała, obchodzi mnie tyle, co orgazm u ważki. To nie dla ciebie zorganizowałyśmy ten proces, tylko dla siebie!

KSIĘŻNA: Aglaé, pomimo wszystko, szczęście Angeliki...

HRABINA: Szczęście, Księżno, szczęście! Jeden z tych nowomodnych pomysłów! A czy my myślałyśmy tylko o własnym szczęściu? Ona (*wskazuje na Zakonnice*) poślubiła Pana Boga, ta znów (*wskazuje na Pannę de la Tringle*) literaturę, ja zaś poświęciłam się rozpuście!

PANI CASSIN: A ja jestem szczęśliwa.

HRABINA: Nie dziwię się! Ideał kantorka za sklepem – dla pani szczęście zalatuje kapciami i garnkiem z rosółem.

PANI CASSIN (*mówi dalej bardzo dobitnie*): Jestem szczęśliwa i niczego nie mam za złe Don Juanowi. Wziął mnie... bo mu się oddałam. Wierzyłam jego miłosnym wyznaniom, ale wiem, że on w nie też przez krótką chwilę wierzył. A kiedy zniknął, zachowałam najlepszą i jedyną rzecz, jaką mi pozostawił – wspomnienie o nim.

HRABINA (*nerwowo*): Zamilcz, pani! Tylko ci, co mają słabą pamięć, mogą mieć wspomnienia! Dla mnie to wszystko jest wciąż żywe. On nie odszedł dwadzieścia lat temu ani nawet wczoraj – opuścił mnie tego poranka! Moje ciało jeszcze czuje zmęczenie, a pościel nadal jest ciepła!

Księżna wstaje i zmierza pewnym krokiem w stronę Don Juana.

KSIĘŻNA: Nasz proces uległ pewnym zakłóceniom, Don Juanie.

Zebrałyśmy się tu, by osądzić i skazać zło wcielone, odziane w spodnie...

DON JUAN: I co?

KSIĘŻNA: Chciałyśmy to zrobić. Nadal tego chcemy. Ale to niemożliwe.

DON JUAN: Dlaczego?

KSIĘŻNA (*wskazując na niego palcem*): Ten człowiek nie jest Don Juanem. To oszust, uzurpator!

Don Juan uśmiecha się jakby z ulgą. Angelika, Sganarel i Marion zamierają, kompletnie ogłupiali.

SGANAREL (*zbliżając się ku Księżnej*): Pani, mylisz się! To Don Juan, mój pan, zapewniam się.

KSIĘŻNA: Jesteś ślepy, sługo. Zbliź się więc i przyjrzyj człowiekowi, którego uważasz za swojego pana. Spójrz na te przygarbione ramiona – pod jakim opadły ciężarem? Prawdziwego Don Juana nic nie jest w stanie przytłoczyć. Widzisz ten wzrok zatopiony w myślach? Wygląda jak ktoś pogrążony we wspomnieniach – a Don Juan przecież nie posiada pamięci. Widzisz tę siatkę, którą czas zaczyna rzeźbić na jego obliczu, te linie zmarszczek, łączące powieki z uszami, a uszy z kącikami warg?

SGANAREL (*zdziwiony, próbując jednak usprawiedliwić swego pana*): Od tak dawna już nie spał, pani...

KSIĘŻNA (*podpowiada mu z ironią koniec zdania*): ... jak my wszyscy.

SGANAREL: Jak my wszyscy...

KSIĘŻNA (*zdecydowanie*): No właśnie! To niemożliwe, Don Juan nie podlega

prawom czasu.

Kobiety, zaniepokojone, zbliżają się i stają obok Don Juana.

DON JUAN (*dziwnie się uśmiechając*): Zmieniłem się, to prawda.

ZAKONNICA: Zdrajco! Nie masz prawa się zmieniać!

KSIEŻNA: A więc nasz proces także ulec musi zmianie. Nie ściga się zwierzyń, kiedy jest już martwa. Wczoraj zarzuciłyśmy ci, że jesteś Don Juanem. Dziś oskarżamy cię o to, że przestałeś nim być. Rozprawa może się rozpocząć.

Angelika odruchowo staje pomiędzy nimi.

ANGELIKA: Zamilczcie wszystkie. Don Juan chce się związać ze mną.

KSIEŻNA (*spoglądając smutno na Angelikę*): Moje biedne dziecko...

ANGELIKA (*agresywnie*): Nie ma powodu, aby mnie żałować. (*odwracając się do Don Juana*) Powiedz im! Sam im to powiedz! (*Don Juan spogląda na nią w milczeniu*) Powiedz im! One mi nie wierzą.

KSIEŻNA: Don Juanie, jesteś zakochany w Angelice?

DON JUAN (*smutno, odwracając spojrzenie od Angeliki*): Nie. (*Angelika jest porażona wiadomością. Don Juan zwraca się do niej łagodnie*) Ale nie płacz, spróbuję... Jeżeli tego właśnie pragniesz.

HRABINA: „Spróbuję... jeśli tego właśnie pragniesz!” – uwolnijcie mnie od tego koszmaru!

KSIEŻNA: Wstań, Don Juanie, i przysięgnij, że będziesz mówił prawdę

i tylko prawdę.

DON JUAN: Powiem wszystko, czego tylko sobie życzyce.

KSIĘŻNA: Nie, nie obiecuj nam własnej prawdy, tylko prawdziwą prawdę.

DON JUAN: Przysięgam.

Wtrąca się Pani Cassin.

PANI CASSIN (*dyskretnie, ale z naciskiem*): Księżno, powinnyśmy na tym poprzestać. W tajemnicy kochamy nie prawdę, ale tajemnicę.

KSIĘŻNA: Ja chcę ją poznać.

PANI CASSIN: Ale kiedy nie będzie już cieni, kiedy wszystko zostanie powiedziane, stracisz go, pani, do końca. My wszystkie go stracimy.

ZAKONNICA: Jako uwodziciel na zawsze dla nas pozostanie bogiem, a ten tutaj – nie wiadomo, co on sobie myśli.

KSIĘŻNA: Don Juanie, wybierz sobie adwokata spomiędzy tych pań.

Don Juan zbliża się do Pani Cassin i całuje ją w dłoń z galanterią. Pani Cassin wyraża zgodę uśmiechem.

HRABINA: Potrzeba ci, panie, adwokata, a ta tutaj jest niema.

KSIĘŻNA: Główna linia oskarżenia jest jasna: nie byłeś, panie, wierny niewierności. Wzywam więc Sganarela, aby złożył przed nami zeznanie. (*Sganarel podbiega do niej.*) Sganarelu, od kiedy Don Juan nie jest już Don Juanem?

SGANAREL (*do Don Juana*): Nie obawiaj się, panie, dobrze cię będę bronił.

Wierzę w ciebie – wiem, że jesteś równie zły jak przedtem.

DON JUAN: Sganarelu!

SGANAREL (*lirycznie*): Znam wszystkie twe podłości, panie, i pokażę im, jak bardzo czarne jest twoje serce, odkryję przed nimi cały gnój twojej duszy! To proste: gdyby nawet prawdziwy Don Juan nie istniał, umiałbym go sam wymyślić.

KSIĘŻNA: Sganarelu, zwracaj się do sądu.

SGANAREL: Dostojne panie, mój pan pozostał nikczemnikiem – jest równie podły jak przedtem. Zaraz to udowodnię, bo czy w tejże chwili nie jawi się w waszych oczach wyjątkowo odrażająco?

PANNA DE LA TRINGLE: Muszę przyznać, że...

SGANAREL (*triumfalnie*): Czyli to on! Oszukał was! On tylko udaje kogoś innego – to prawdziwy Don Juan! Nie odszedł od was, wciąż was oszukuje.

HRABINA: Mów dalej, sługo, to interesujące.

DON JUAN: Przestań, proszę, dalej będę mówił sam.

HRABINA: Nie ma potrzeby – oczerniając cię, może cię wybielić.

KSIĘŻNA: Sganarelu, zechciej się zadowolić odpowiedzią na pytania. Twoje wywody są zbyt przemyślane, aby choć trochę mogły być prawdziwe. (*podaje mu jego kajecik*) Co się wydarzyło pięć miesięcy i dwadzieścia osiem dni temu?

ANGELIKA (*wychodząc z odrętwienia*): Ależ...

KSIĘŻNA: Sprawdź, co zapisałeś.

ANGELIKA: Ależ, matko chrzestna!

KSIĘŻNA (*nadal do Sganarela*): Spróbuj sobie przypomnieć, co się wydarzyło...
Przedtem... A może potem...

Don Juan wstaje, chcąc wkroczyć do akcji. Księżna powstrzymuje go gestem.

KSIĘŻNA: Będziesz, panie, mówił, gdy nadejdzie twa kolej.

SGANAREL: Ach tak, przypominam sobie... Zeszła jesień, to było
o zmierzchu... Nie, raczej już zapadła noc...

W tejże chwili ciemnieje światło padające na scenę procesu. Zapada półmrok. Słychać głos niewidocznego Sganarela.

SGANAREL: Szliśmy przez pogrążone w mrokach Valognes, powracając
z nie pamiętam już jakiej miłosnej przygody. Czy to była dziewczica, czy
mężatka, nie wiem – z trudnością odczytuję me zapiski. Krótko mówiąc,
zapowiadała się spokojna noc, a my nieszczęścia i łyzy pozostawiliśmy za
sobą. I wtedy nagle...

SCENA 4

Otwiera się dekoracja z tyłu sceny, ukazując pustą, mroczną przestrzeń, w której widać sylwetki dwóch maszerujących mężczyzn; w oddali widnieje jeszcze trzecia, nieruchoma. Sganarel, trzymający w ręku latarnię, znajduje się teraz w głębi sceny, w przeszłości. Nagle zaczyna drżeć i wskazuje Don Juanowi nie do końca jeszcze rozpoznawalny kształt.

SGANAREL: O Boże... Tam, panie... Zjawa!

DON JUAN (*nawet nie patrząc*): Znowu!

SGANAREL: To straszne... Wyciąga do nas rękę... To musi być zemsta...

DON JUAN: I co widzisz tym razem? Bóg to czy też szatan?

SGANAREL: Tam... Tam...

DON JUAN: Zauważyłem, Sganarelu, że zależnie od epoki mistycy mają wizje Chrystusa nagiego albo w opasce po pępek. W gruncie rzeczy dlatego powinniśmy wam wierzyć, wam, nawiedzonym – nie jesteście w stanie niczego nowego wymyślić!

SGANAREL: Tam... Tam... Ten posąg!

DON JUAN: No i cóż ten posąg?

SGANAREL: On się rusza...

DON JUAN (*w końcu spogląda w tamtą stronę*): Poruszający się posąg to niezwykle rzadkie – pewnie musiał zeskoczyć z cokołu. (*zbliża się*) Cieszę się, że się dowiedziałem, iż posągi potrafią się ruszać, jeżeli bowiem zbyt długo pozostaje się w bezruchu, czuje się nieodpartą potrzebę wielu drobnych gestów, które nagle okazują się nieodzowne – musisz obetrzeć nos, podrapać się, poprawić genitalia, wygładzić ubranie... (*widać teraz dokładniej sylwetkę nieruchomego Młodzieńca. Don Juan wrywa latarnię Sganarelowi*) Jakież to osobliwe. To prawda, on wyciąga rękę.

Przygląda się.

SGANAREL: Nie dotykaj go, panie. Nie wolno.

DON JUAN: Ale przecież podaje mi rękę.

SGANAREL: Spali cię, panie.

DON JUAN: To takie proste.

Ujmuje dłoń Młodzieńca, który natychmiast zaczyna się poruszać, wybuchając śmiechem.

MŁODZIENIEC: Brawo, przyjacielu! Nie jesteś tchórzem.

DON JUAN: Widzisz, Sganarelu, a do tego jeszcze potrafi mówić. Nader miły posąg.

SGANAREL (*z gryźliwie*): Zaczniemy od tego, że posąg, który się porusza i mówi, nie jest posągiem.

DON JUAN: A czym?

SGANAREL: Człowiekiem.

DON JUAN (*do Młodzieńca*): Jesteś, panie, człowiekiem?

MŁODZIENIEC: Nie wiem.

DON JUAN: To znaczy, że jesteś.

MŁODZIENIEC: Wybaczcie, przyjaciele. Nie chciałem wcale udawać nadprzyrodzonej osoby albo i demona. Zabawiałem się po prostu w bycie automatem.

SGANAREL (*niezadowolony*): Automat? A cóż to znowu za stwór?

MŁODZIENIEC: To pozór człowieka. W środku wszystko ma fałszywe, nie posiada ani serca, ani mózgu, ani trzewi, żadnych organów ani też flaków, tylko zębate kółka, sworznie oraz bloczki. Żywi się tylko smarem i o niczym nie myśli. To tylko mechanizm.

SGANAREL: Diabelska robota!

DON JUAN: Oto cały Sganarel! Przed chwilą miał cię za boskiego posłańca, teraz znów za wysłannika diabła! Teologia tak mu zamąciła w głowie, że nagły przeskok od bieli do czerni jest teraz dla niego finezyjną zmianą. Nim postanowił oddać się rozmyślaniom, zaprawdę nie był aż tak głupi. Nazywam się Don Juan.

MŁODZIENIEC: Kawaler de Chiffreville. Mam tę wadę, że wolę wino od smarów dla mej maszynerii. Stąd też moje żarty na koniec wieczoru... Troszkę za bardzo kocham wino.

DON JUAN: Nigdy nie kocha się za wiele, gdy kocha się naprawdę. Nadużycie jest wówczas wskazane. A czym się zajmujesz, kawalerze?

MŁODZIENIEC: Ucieczką.

DON JUAN: Uciekasz?

MŁODZIENIEC: Często.

SGANAREL: Przed policją?

MŁODZIENIEC (*śmiejąc się*): Przed samym sobą. Ale nie mogę jakoś zgubić moich śladów i zawsze się łapię. Tylko wino pozwala mi na chwilę zmylić trop, ale każdego poranka klik! – i znów skazany jestem na siebie

jak dzień długi.

SGANAREL: Znałem pewnego człowieka, który był trochę do ciebie podobny, panie. Lękał się własnego cienia.

MŁODZIENIEC: Nie, cień do ciebie nie należy, to tylko światło ci go użycza. Wystarczy podskoczyć, by oderwał się od twoich stóp – albo też żyć w ciemnościach. Otóż ja, zamiast się wznieść lub zamieszkać w mrokach, piję. Każdy ma swoją noc!

DON JUAN (*rozbawiony*): Ale czego tak w sobie nienawidzisz?

MŁODZIENIEC: Och... (*nie odpowiada*) A gdybyśmy tak, przyjaciele, podążyli razem do najbliższego źródła zapomnienia? Ja zapraszam.

Trzyma Don Juana za rękę. W głębi sceny zapada ciemność.

SCENA 5

W pokoju, w którym odbywa się proces, powraca słabe światło – panuje półmrok.

HRABINA: To wszystko? Tak po prostu spotkał brata tej panny?

PANNA DE LA TRINGLE: Och, to wszystko jest takie zwyczajne...

KSIĘŻNA: Mów dalej, Sganarelu.

SGANAREL: Tak, pani. (*powraca do swojej opowieści*) I tamtego wieczora mój pan, który najbardziej w świecie nienawidził towarzystwa mężczyzn – chyba że pozwoliłoby mu to zdobyć nową kochankę – mój pan otóż

przyjął zaproszenie od owego kawalera. Siedział z nim i słuchał – bo Don Juan nie pije, jak wszystkie osoby nieufne. A potem odprowadził go do domu, gdzie oddał go w ręce siostry.

SCENA 6

Światło znowu gaśnie, ściana w głębi się rozsuwa. Ukazuje się wnętrze gospody Pod Trzema Lisami: prosty stół, na którym znajduje się butelka i dwa kielichy. Don Juan siedzi samotnie przy stole. Czeką.

GŁOS SGANARELA: I powracał...

GŁOS ANGELIKI (*retrospekcja z drugiego aktu*): Widziałeś kiedyś, panie, ryby? A ptaki? Ten, kogo kochasz, ukazuje ci się jak ryba w wodzie albo ptak w przestworzach – jest nieważki.

GŁOS SGANARELA: Każdego wieczoru...

GŁOS ANGELIKI: Zawarł też inny układ, ważniejszy tym razem – układ z wszechświatem. Dogadali się, że świat ukazywać mu będzie zawsze to, co najpiękniejsze.

GŁOS SGANARELA: I czekał na niego...

GŁOS ANGELIKI: Wszystkie zegary wariują: spóźniają się, gdy na niego czekasz, biegną do przodu, kiedy on jest z tobą.

GŁOS SGANARELA: Jakby nic innego nie miało już znaczenia.

GŁOS ANGELIKI: Wszystko przeżywasz dwa razy. Pierwszy raz dla siebie, drugi raz dla niego, gdy mu o tym opowiadasz. Stajesz się poetą.

Don Juan nadal czeka samotnie. Gaśnie oświetlające go światło.

SCENA 7

Chwilowy powrót do sceny procesu.

ZAKONNICA (*naiwnie*): Jakaż piękna przyjaźń!

SGANAREL: Raczysz żartować, siostró! Kilka dni później Kawaler już nie żył. Co mój pan mógł powiedzieć lub zrobić takiego, że Kawaler zatrzaskał ostatecznie drzwi za sobą? Co to była za zbrodnia? Jaka potworność? Nigdy nie poznałem prawdy. Kawaler nagle zniknął. Don Juan szukał go wszędzie, w jego domu, w koszarach... Na próżno – Kawaler stał się niewidzialny.

Światło przygasa jak poprzednio. Scena procesu znajduje się w półmroku, podczas gdy ściana w głębi otwiera się, wyzwalając wspomnienia.

GŁOS SGANARELA: Nadszedł wszakże wieczór, gdy mieliśmy pewną wizytę i Don Juan oddał się rozpuście...

ZAKONNICA (*w czasie, gdy przygasa światło*): To straszne!

HRABINA: Nie mów tak, jesteś zachwycona.

ZAKONNICA: Ależ, pani! Wciąż myślisz tylko o tym, o czym ja myślę!

SCENA 8

Widać ciemny pokój, w którym stoi wielkie, pościelone na biało łóżko. Siedzi na nim wyczerpany i przygnębiony Don Juan. Wchodzi Angelika w płaszczu z kapturem, cała dygoce ze zdenerwowania.

DON JUAN: Pani?

ANGELIKA: Och, Don Juanie, pomóż mi, błagam! Tylko ty możesz jeszcze coś zdziałać. Chodzi o mojego brata...

DON JUAN (*z nagłym niepokojem*): O twojego brata?

ANGELIKA: Od czasu, gdy przestałeś go odwiedzać, wyczynia coraz to większe głupstwa. Uparł się, wbrew zdrowemu rozsądkowi, zaręczyć z niewidomą córką rodziny z pobliskiego dworu, a jednocześnie paraduje wszędzie z jakąś rudą dziwką, która przechadza się zawsze z małą marionetką w dłoni...

DON JUAN: To Fiammetta! Znana nierządnica.

ANGELIKA: Jest zawsze półnaga, obłapiają się publicznie, włóczą po wszystkich spelunkach, gdzie tylko leje się wino. Skandal ciągnie się za nimi po ulicach. Don Juanie! Jesteś moją jedyną nadzieją!

DON JUAN: Wspomina czasem o mnie?

ANGELIKA: Nigdy. A przedtem tyle o tobie mówił, panie. (*dorzuca wstydliwie*)
Podobnie jak ja.

DON JUAN (*z boleścią, sam do siebie*): Uczynić mi coś takiego! Mnie, który ofiarowałem mu swą przyjaźń, swój czas... Tak wiele dać, a w zamian dostać...

ANGELIKA (*łagodnie*): Kochasz go, Don Juanie?

Od tej kwestii Don Juan całkowicie zmienia swoje zachowanie. Wstaje, niepokojący, zły, wybuchając gorzkim śmiechem.

DON JUAN: Czy ja mam czas kochać twego brata? I co on takiego zrobił, by na to zasłużyć?

ANGELIKA: Tak się o niego troszczyłeś...

DON JUAN (*coraz bardziej groźny*): Podstęp, moja piękna, to tylko podstęp. Po prostu fortel, by osiągnąć cel. Podnózek, aby wspiąć się wyżej. Twój brat służył jedynie jako środek do celu.

ANGELIKA: A co chciałeś zdobyć?

DON JUAN: Ciebie, moja piękna, ciebie! Mężczyzna zawsze zdąża do kobiety, czy to żona, czy siostra – bo za matkami nie przepadam... To ty jesteś celem mojej drogi, miła. Właśnie ty! Bo umieram z miłości do ciebie.

ANGELIKA: Nie wierzę ci, Don Juanie... To twoje spojrzenie... Boję się ciebie...

DON JUAN: Co niby takiego jest w moim spojrzeniu?

ANGELIKA: To... to przypomina nienawiść...

DON JUAN: To pożądanie, maleńka – to wzrok wilka! (*wskazując na łóżko*)
Chodź, poczekamy tutaj na twój brata.

ANGELIKA: Nie, nie chcę... Wolę na niego czekać w domu.

DON JUAN: Do diabła z twoim bratem, to nie jego pragnę. Chcę ciebie.

(rozkazująco) Chodź tu natychmiast!

Całuje ją.

ANGELIKA: O Boże... O mój Boże...

DON JUAN: Twój Bóg ma cię gdzieś. Tak samo jak mnie i cały świat. Możemy kopulować jak szczury, on tego nie zauważy. Jest ślepy. Wiecznie zdycha, kiedy trą się o siebie skóry i flaki. Ten twój Bóg to trupiarnia – cuchnie, pierdzi z bezsilności! Chodź!

Przewraca ją na łóżko.

Na całej scenie zapada niemal kompletna ciemność.

GŁOS SGANARELA: I z pianą na ustach, wściekłością w sercu i krwią nabiegłymi oczyma Don Juan zmusił do miłości małą Angelikę. Ale o poranku, za sprawą przyzwyczajenia oraz zmęczenia, rzucił kilka niemal czułych słówek i dziewczyna mogła uwierzyć, że spędziła najpiękniejszą noc w swym życiu.

SCENA 9

Blade światło. Łóżko zniknęło. Puste pole o świcie. Mgła. Pojawiają się dwie sylwetki – Kawaler de Chiffreville i Don Juan.

MŁODZIENIEC (*ze szpadą w dłoni*): Są już twoi świadkowie?

DON JUAN: Jeszcze nie.

MŁODZIENIEC: Moi też jeszcze nie nadeszli.

DON JUAN: Kawalerze...

MŁODZIENIEC (*przerywając mu*): Spójrz, Don Juanie: świta! Mój pierwszy świt na trzeźwo. To bardzo piękne, taki wschód słońca. Jest jak ściana po umyciu, kiedy znowu staje się biała.

DON JUAN: Kawalerze, odstępmy od pojedynku!

MŁODZIENIEC: Zhańbiłeś moją siostrę!

DON JUAN: Naprawię to, poślubię ją...

MŁODZIENIEC (*z dziwną determinacją*): Jeszcze jeden powód, żeby walczyć.

DON JUAN: Ależ zmażę moją winę, powiadam. Twoja siostra mnie kocha...

MŁODZIENIEC: Biedna idiotka!...

DON JUAN: Twoja siostra, która mnie kocha, przyszła do mnie, kiedy byłeś w ramionach Fiammetty...

MŁODZIENIEC: Ty nie kochasz Angeliki!

DON JUAN: W najmniejszym stopniu.

MŁODZIENIEC: Zemściłeś się na niej za mnie.

DON JUAN: Za co miałem się zemścić?

MŁODZIENIEC: *En garde*, Don Juanie! Broń się!

DON JUAN: A twoi świadkowie?

MŁODZIENIEC: Nie mam świadków. Ty też nie. Odwołałem ich. Broń się!

DON JUAN: *En garde!*

Stoją naprzeciw siebie w pozycji szermierczej. Żaden nie decyduje się zacząć. Czas mija.

DON JUAN: Czemu przestałeś przychodzić na spotkania, gdy cię zapraszałem?

MŁODZIENIEC: Z pewnością ci powtórzyli, że nie miałem czasu.

DON JUAN: Nie chcesz mi chyba wmówić, że wojskowe życie w garnizonowym mieście nagle...

MŁODZIENIEC: A cóż ty o tym możesz wiedzieć?

DON JUAN: To prawda. (*mija czas*) Ale Fiammetta, ta wulgarna dziwka? Dlaczego nie chciałeś spędzać ze mną wieczorów Pod Trzema Lisami jak przedtem?

MŁODZIENIEC: Jestem ci coś winien, Don Juanie?

DON JUAN: Tak myślałem... Ale ta Fiammetta, dziewczyna z rynsztoka, która nawet ci się nie podoba?

MŁODZIENIEC (*ostro*): Bez wątpienia dawała mi coś, czego ty, przyjacielu drogi, nie mógłbyś mi dostarczyć mimo całej swojej życzliwości. A może chciałbyś zastąpić piękną rudą ladacznicę w mych ramionach? Kto to wie? Posunąć przyjaźń do tego, by ze mną dzielić łożę, pozwolić całować swoje wargi? Co mi na to odpowiesz?

DON JUAN: Nic.

MŁODZIENIEC: Tak też myślałem. Niechaj więc żyje Fiammetta!

DON JUAN: Nie kochasz jej, nie pożądasz!

MŁODZIENIEC: Ja jej nienawidzę!

DON JUAN: A więc dlaczego?

MŁODZIENIEC: A ty czemu chcesz odkupić winę, poślubić moją siostrę, związać się z moim domem?

DON JUAN: Nie wiem. Takie ogarnęło mnie pragnienie...

MŁODZIENIEC: Czego?

DON JUAN: Nie będę się bił.

MŁODZIENIEC: Będziesz, inaczej nadzieję cię na rożen.

DON JUAN: Nie wierzę ci.

MŁODZIENIEC: Jestem dziś trzeźwy, strzeż się!

DON JUAN: To mnie rzeczywiście niepokoi. Po raz pierwszy lękam się śmierci. Och nie, nie swojej – twojej. Twoje życie balansuje na ostrzu, na ostrzu mojej szpady... Nie będę się bił.

MŁODZIENIEC: Broń się!

DON JUAN: Zgoda. (*po chwili*): Nie udawaj gorszego, niż jesteś.

MŁODZIENIEC: Nienawidzę cię, Don Juanie!

DON JUAN: Jakoś nie chce mi się w to wierzyć, Kawalerze – nie dostrzegam w twoich oczach nienawiści, a jedynie smutek. I jeszcze... tak, teraz jeszcze... jakby nadzieję. Tak, widzę nadzieję... Kawalerze...

Niespodzianie Chiffreville rzuca się na ostrze szpady Don Juana, który nie ma czasu zareagować. Śmiertelnie ranny, pada na ziemię.

DON JUAN (*wstrząśnięty*): Ja... Ja... nic nie zrobiłem... Ja...

MŁODZIENIEC (*mówi z trudem*): Wiem. Powinienem był się napić, aby odzyskać odwagę, ale bałem się, że potem nie trafię. Mam nadzieję, że to wystarczy, bym umarł.

DON JUAN (*na kolanach, podtrzymując jego głowę*): Dlaczego nie chcesz żyć?

MŁODZIENIEC: Trzeba zabijać sparszywiałe psy.

DON JUAN: Nie jesteś sparszywiałym psem.

MŁODZIENIEC: Ale zmierzam ku temu. Sprawilem ci ból w tych ostatnich dniach i mógłbym ci go zadać jeszcze więcej...

DON JUAN: Nie czujesz do mnie nienawiści....

MŁODZIENIEC: Widzisz, gdy moja siostra i ja byliśmy jeszcze dziećmi, pewnego razu poszliśmy na spacer z jednym ze służących i napotkaliśmy zbłąkanego psa. Ten służący, wielką miłością darzący zwierzęta, pragnął go zatrzymać. Ja i siostra sprzeciwialiśmy się, bo pies był brzydki, łysy i bezzębny, a do tego śmierdział. A przy tym najzyczliwszą miał naturę ze wszystkich stworzeń – przyjacielski, czuły, żadnych nie czuł uraz, a widząc nas, tak machał ogonem, że aż trząsał się cały. Ale był brzydki i go nie chcieliśmy. Dawał nam swoją miłość i w zamian dostawał od nas

razy; przywiązał się do nas, a my przywiązaliśmy go do muru – im był dla nas lepszy, tym bardziej byliśmy dlań podli. I pewnego dnia znienacka ugryzł moją siostrę, mnie zaś nazajutrz. To miłość bez wzajemności sprawiła, że odpowiedział wściekłością i zaczął się rzucać na wszystkich – on, najlepszy z psów. Mieliśmy więc pretekst, żeby go w końcu zabić, bo stał się niebezpieczny.

DON JUAN: Ależ ja gotów byłem odpowiedzieć mą przyjaźnią.

MŁODZIENIEC: Przyjaźnią – może. Ale co z moją miłością?

DON JUAN: Kawalerze!

MŁODZIENIEC: Nic nie mów, Don Juanie. Gadałbyś tylko głupstwa. *(po chwili)* Wiesz... Fiammetta... Nigdy jej nawet nie dotknąłem palcem – płaciłem jej, aby uwierzono w naszą rozwiązłość... Chciałem tylko was zwieść... *(po chwili)* Cenisz wielce rozkosze ciała, a przeznaczenie zsyła ci miłość w formie, której pożądać nie możesz. To straszna kara! Stworzony byłem do kochania, ale nie tam, gdzie należy, ani nie tak, jak trzeba. Ukarano mnie za to. Dlaczego? Co ja zawiniłem? *(zaczyna mówić gorączkowo)* Ale on istnieje, Don Juanie – Bóg istnieje. On jest tym właśnie, co czułem do ciebie.

DON JUAN: Jeżeli więc Bóg jest tutaj, w tobie, we mnie, w twoim sercu, w moim, dlaczego chcesz umierać? Ta cała jatka...

MŁODZIENIEC: By nie żyć obok ciebie, nie mogąc... *(robi gest, jakby chciał dotknąć Don Juana, ale cofa rękę)* I po to jeszcze, bym mógł ci powiedzieć... Byś ty też mi powiedział... Bo ty też mi powiesz... Powiesz mi, Don Juanie?...

DON JUAN: Tak, mówię ci to teraz.

MŁODZIENIEC: Och tak, powiedz mi, ale nie słowami – one wędrowały już po wszystkich ustach. Opowiedz mi o tym spojrzeniu. (*Don Juan wpatruje się w niego intensywnie*) Prawdę mówiłeś – widać, żeś nie czynił tego nigdy przedtem... Spróbuj raz jeszcze. (*Don Juan spogląda mu w oczy*) Teraz mogę umrzeć.

*Don Juan, na kolanach, przytula głowę Kawalera, tworząc wraz nim osobliwy obraz piety.
Zapada ciemność. Don Juan z Młodzieńcem znikają w przeszłości.*

SCENA 10

Powrót do salonu – ściana w głębi się zamyka. Kobiety trwają w zamyśleniu, Angelika z lekka pochlipuje.

KSIĘŻNA (*kładąc dłoń na ramieniu Angeliki*): Płacz, moja mała, płacz – łzy niosą ukojenie.

DON JUAN (*jakby kończył opowiadanie Sganarela*): Poznałem tylko miłość cielesną, znałem jedynie wojnę. Myślałem, że delectuję się rozkoszą, a to było tylko podniecenie. (*mówi właściwie do siebie*) Uwielbiałem zwyciężać – i to wszystko. Kiedy je brałem w ramiona i osaczałem sobą, kiedy w nie wchodziłem, przez kilka krótkich sekund czułem, jak mi ustępują i uważałem się za zwycięzcę. A potem była tylko smutna mechanika, by osiągnąć spełnienie. Kochałem się tak, jak matematyk prowadzi swe rachunki – z konieczności. Ale nienawidziłem, gdy sięgały szczytu. Widziałem je, jak przestawały być sobą – z czerwonymi plamami na szyi i policzkach krzyczały w ekstazie, drżały, rzucały się, falowały, płakały

ze szczęścia, podczas gdy ja ruszałem się niczym jakiś sprężynowy mechanizm. Mniej może miarowo, ale równie zażarcie. To wszystko było nieludzkie. Niczego nie doznawałem, a gdy wydawały z siebie krzyki, czułem, jakbym stał się ich niewolnikiem. A potem odchodziłem. (*po chwili*) Od zawsze czekałem... Czekałem, aż któraś z nich mnie zatrzyma, zachowa przy sobie. Patrzyłem na nie, mówiłem: „Odchodzę” – i zawsze odejść mogłem bez przeszkody...

KSIĘŻNA: A on...

DON JUAN: A jego straciłem... Nie myślałem, że napotkam miłość inną niż w spódnicy. (*odwraca się do płaczącej Angeliki*) Angeliko, czy zechcesz zostać moją żoną?

HRABINA: Przestań.

DON JUAN: A więc jego śmierć okaże się daremna?

PANI CASSIN (*łagodnie*): Nie poślubia się wspomnień.

DON JUAN: On pierwszy sprawił, że opuściłem mą skorupę – i teraz, kiedy już pokazał mi drogę, mam do niej powrócić? Poświęcił się, bym pozostał takim samym głupcem jak przedtem? Ja chcę kochać.

PANNA DE LA TRINGLE: Nie ją.

DON JUAN: Ona cierpi...

HRABINA: Znalazł się święty! Don Juan udaje świętego! Dawniej potrafił wyniuchać cierpienie, a teraz zgasła świecę! Gdzie twój habit, braciszku?

DON JUAN (*kontynuuje*): Ona mnie potrzebuje.

ANGELIKA: Nie.

DON JUAN: Chciałbym, żebyś była szczęśliwa.

ANGELIKA (*rozdzierając*): Ale ja nie chcę mężczyzny, który pragnie, bym była szczęśliwa! Chcę egoisty, prawdziwego egoisty – i żeby był zaborczy i zazdrosny. I żeby mnie kochał dla siebie, wyłącznie dla siebie – jedynie po to, by za moją pomocą osiągnąć własne szczęście.

DON JUAN: Ale to przecież nie jest miłość.

ANGELIKA: Moja miłość jest taka. Egoistyczna. I takiej samej pragnę w zamian.

Zapanowawszy nad sobą ostatecznie, Angelika wstaje i kieruje się w stronę schodów.

ANGELIKA: Odejdź, panie. Teraz wiem, dlaczego byłeś gotów mnie poślubić. Ale przyczyna jest dla mnie nazbyt szlachetna i napędza mnie odrazą. Wolę już być nieszczęśliwa – to mój sposób na szczęście.

Don Juan spogląda na nią ze smutkiem.

DON JUAN: Angeliko...

Angelika przystaje na progu schodów i odwraca się do niego.

DON JUAN (*powoli*): Mógłbym cię pokochać...

Angelika chowa twarz w dłoniach, by ukryć ból, po czym odchodzi.

SCENA 11

Nagle Zakonnica nie wytrzymuje.

ZAKONNICA: Bóg to jednak cholerna świnia!

KSIĘŻNA (*wstrząśnięta*): Ależ, siostró!

ZAKONNICA: Bóg to cholerna świnia!

PANNA DE LA TRINGLE: Siostró, opanuj się!

ZAKONNICA: Nienawidzę go! Minęło dziesięć lat od czasu, gdy go poślubiłam i co mi przez ten czas ofiarował? Nic! Nic nie zaradził na moją głupotę i brzydotę. Nie ulżył mi, zabierając choćby jedno z pragnień, które nieustannie mnie dręczą – wręcz przeciwnie, można by pomyśleć, że jeszcze je podsyca. Bóg wybaczenia? Przecież to ja jestem zmuszona wciąż wszystko mu wybaczać: to jego milczenie, jego nieobecność, obojętność, to moje uwięzienie w klasztorze i nudę. (*porywczo*) Więc przybądź do nas, do haremu niebiańskich oblubienic, a obejrzysz sobie swoje stare kochanki, które nie zaznały pyłu gościńca od pół wieku – zamknęły się w klasztorze, by móc z tobą przebywać, ale ty zawsze masz coś lepszego do roboty i nigdy się tam nie pojawiaasz. Zobacz sobie te pomarszczone jabłka, których nikt już nie zechce! Kiedy mówią o Bogu, mają w głosie czułość kobiet bitych i zdradzanych przez całe życie.

KSIĘŻNA: Siostró!

ZAKONNICA: Popatrzcie tylko, co on nam uczynił, nam wszystkim. (*wskazuje na Don Juana*) I co z nim robi teraz! Oszustwa, wieczne oszustwa! Bóg zachęca nas do miłości bliźniego tylko po to, żeby tym boleśniej potem ją odebrać. (*gniewnie*) Sprawia mu przyjemność zabawa w wędkarza! (*naśladuje*

łowienie wędką niczym obłąkana) „No, moja mała rybko, spójrz tylko na tego pięknego robaka!”. *(wykonuje nagły gest podrywania wędkę)* I hop! Wyciągamy ją z wody, żeby sobie zdechła w zimnym, pustym świecie. *(spogląda w niebo ze złością)* On się tam na górze bawi jak szalony!

Zakonnica wybiega nieoczekiwanie.

SCENA 12

Panna de la Tringle zbliża się do Don Juana, trzęsąc się z wściekłości.

PANNA DE LA TRINGLE: To znaczy, że pokochasz następną nieznajomą, którą spotkasz?

DON JUAN: Tak.

PANNA DE LA TRINGLE: Miłością absolutną?

DON JUAN: Tak.

PANNA DE LA TRINGLE: Miłością wieczną?

DON JUAN: Tak.

PANNA DE LA TRINGLE: Jak w moich romansach?

DON JUAN: Tak.

PANNA DE LA TRINGLE *(wrzeszczy)*: Ty kretynie, moje powieści są głupie!

Wymierza mu siarczysty policzek. Don Juan znosi to po stoicku. Panna de la Tringle odsuwa się od niego, drżąc ze zdenerwowania. Pani Cassin usiłuje ją uspokoić.

Hrabina, nagle łagodna i spokojna jak nigdy dotąd, podchodzi do Don Juana, kładzie mu dłoń na ramieniu i mówi uwodzicielsko:

HRABINA: Zostaw je, żadna z nich cię nie rozumie. One wszystkie mają się za ofiary, jedynie ja rozpoznałam mistrza. Kiedy odszedłeś, wcale nie płakałam. Najpierw się zastanowiłam, a potem punkt po punkcie przyswoiłam sobie twój katechizm. Nauczyłam się, że w miłości nie ma miłości – są tylko zwycięzcy i ofiary... Nauczyłam się, iż zwycięstwo nic innego nie ma na celu jak tylko zwycięstwo, że nie istnieje żadne potem... Nauczyłam się, że rozkosz smakuje mdło, jeżeli nie jest doprawiona złem, że po pieszczotach zawsze następuje policzek, a pocałunek zapowiada ukąszenie... Nauczyłam się, że łapie się mężczyzn za ogon, ale rani się ich w serce... Wszystko to zawdzięczam tobie – oto moja wierność. Pójdź ze mną...

DON JUAN: Za późno. Jestem uleczony.

HRABINA (*marzy dalej*): Jeszcze powrócisz: ryba musi się utopić, gdy ją wyciągnąć z wody. (*bierze swój płaszcz i zmierza ku wyjściu*) Bądź spokojny, czekając na ciebie, będę czynić zło za nas oboje: Będę zdradzać, oszukiwać, wypatroszę wszystko, co zostało jeszcze z niewinności, aż wreszcie naga stanę przed szatanem, z ciałem okrytym prawdziwą chwałą – syfilityczną wysypką.

DON JUAN: Tylko wysypką? Nie przypuszczałem, że jesteś tak skromna.

HRABINA (*wyznaczając mu spotkanie*): Zatem, Don Juanie, do zobaczenia w piekle.

Wychodzi, Panna de la Tringle spontanicznie podąża za nią.

SCENA 13

Don Juan odwraca się w stronę Pani Cassin oraz Księżnej, która uśmiecha się lekko.

KSIĘŻNA: Marion, zgaś świece.

MARION: Ależ, pani, jest jeszcze ciemno...

KSIĘŻNA: Pst! Zgaś świece, świt już się zbliża.

Marion gasi po kolei świece. Przez chwilę omal w ogóle nie ma światła, aż pojawia się dzień, który szybko ogarnia całą scenę.

KSIĘŻNA (z rozmarzeniem i melodyjnie): Powiadają, iż świeżo narodzeni nic prawie nie widzą przez pierwsze tygodnie na tym świecie; że nie odróżniają kształtów ni kolorów, aż do dnia, gdy dłonie ojca rozsuna zwiewną zasłonę kołyski i dziecko zobaczy uśmiech matki. A potem, kiedy już dorosną, czasami znowu się zdarza, że jakaś kobieta czy mężczyzna rozsuwają zasłonę, nadając światu kształty i kolory. Kawaler de Chiffreville to uczynił. Dokąd zamierzasz się udać?

DON JUAN: Nie wiem, pani. Pragnę opuścić siebie.

KSIĘŻNA: To bardzo blisko.

PANI CASSIN: To bardzo daleko. Życzę ci szczęścia, Don Juanie.

Dzień nie wstał jeszcze całkowicie. Marion rozsuka zasłony, za oknami widać narastające światło. Don Juan zarzuca pelerynę i zabiera się do wyjścia. Przez chwilę zdaje się wahać.

DON JUAN: Powiedz mi, proszę, Księżno, jak to się nazywa, kiedy pośród łez, krzyków, konwulsji, bólu i krwi człowiek przygotowuje się do wyjścia, aby wyruszyć w nieznane, udać się na spotkanie innych ludzi?

KSIĘŻNA: Narodziny.

DON JUAN: A jak nazwać to, że lęka się wtedy, iż zmiążdży go światło, wszyscy go zawiodą, miotać nim będzie oddech tego świata, a do tego drży na samą myśl, że jest tylko zadyszany pyłkiem zagubionym we wszechświecie?

KSIĘŻNA: Odwagę. *(po chwili)*: Odwagi, Don Juanie!

Don Juan oddala się w narastającym świetle.

Pani Cassin, Marion oraz Księżna podchodzą do wysokich okien, na których tle wyglądają jak chińskie cienie.

KSIĘŻNA: Spójrzcie tylko na to – na ten powstający dzień: jaki on niesie w sobie niepokój, jak on mać wszystko. W świetle świec profile rysowały się ostro, uczucia były tak proste, dramaty zasupłane w węzły, które można przeciąć lub rozsypać. Ale Don Juan wybrał dzień – narodził się człowiek.

PANI CASSIN *(smutno)*: Człowiek? Raczej człowieczek...

KSIĘŻNA *(z uśmiechem)*: Każdy człowiek jest tylko człowieczkiem.

Widać sylwetki kobiet pod światło i Don Juana, który powoli znika w oddali. Sganarel, wstrząsany szlochem, siedzi na brzegu sceny, oszalały z żalu.

SGANAREL: Księżno, on mi wszystko zapłacił! Wszystkie pieniądze, które był mi winien...

Gość

OSOBY:

(W kolejności ukazywania się na scenie)

SIGMUND FREUD

ANNA FREUD, *jego córka.*

NAZISTA

NIEZNAJOMY

Akcja, która mieści się w jednym akcie, przebiega w czasie rzeczywistym. Jest wieczór 22 kwietnia 1938 roku – to znaczy pomiędzy Anshlussem Austrii przez wojska hitlerowskie (11 marca) a wyjazdem Freuda do Paryża (4 czerwca).

Scena przedstawia wiedeński gabinet doktora Freuda przy Berggasse 19. Jest to surowy salon ze ścianami wyłożonymi ciemną boazerią oraz z ciężkimi, podwójnymi zasłonami na oknach, błyszczące brązy. Pokój zdominowany jest przez dwa meble: szezlong oraz biurko.

Owa całkowicie realistyczna dekoracja zanika u góry, przeradzając się ponad półkami biblioteki w piękne gwiaździste niebo, na którego tle widać tu i ówdzie sylwetki najbardziej znanych budowli Wiednia. Gabinet uczonego otwiera się na nieskończoność.

SCENA 1

Freud układa powoli w bibliotece książki, które jakaś nieznana siła zrzuciła na podłogę. Jest stary, ale spojrzenie ma bystre – w jego oczach dostrzec można wściekłość. W przypadku tak energicznej osoby starość wydaje się pomyłką. Przez całą noc będzie dyskretnie pokastywał, od czasu do czasu pozwalając sobie na grymas bólu – cierpi już z powodu zżeranej rakiem gardła.

Anna zdaje się jeszcze bardziej wyczerpana od ojca. Spoczywa na szezlongu, trzymając w rękach książkę, i ziewa, usiłując czytać. Jest to kobieta surowa, trochę w stylu sawantki; jeden z pierwszych prototypów kobiet intelektualistek z początku XX wieku, co łączy się z tym wszystkim, co zdaje nam się teraz nieco śmieszne – ale Anna nie wygląda karykaturalnie, dzięki swemu dziecięcemu spojrzeniu i rysującej się na twarzy głębokiej, wielkiej miłości do ojca.

FREUD: Idź się położyć, Anno.

Anna przecząco kręci głową.

FREUD: Na pewno musisz być śpiąca.

Anna znów kręci głową, powstrzymując ziewanie.

W tym momencie zza okna rozlega się coraz głośniejszy śpiew przechodzącej ulicą grupy nazistów. Freud odruchowo odsuwa się od okna.

FREUD (do siebie): Gdyby oni przynajmniej źle śpiewali...

Głowa Anny opada na książkę. Freud przechodzi za oparcie szezlongu i czule obejmuje ją od tyłu ramionami.

FREUD: Moja mała musi już pójść spać.

ANNA (*rozbudzając się, ze zdziwieniem*): Gdzie ja byłam?

FREUD: Nie wiem... W jakimś śnie.

ANNA (*nadal zdziwiona*): Dokąd odchodzimy, kiedy zasypiamy? Gdy wszystko gaśnie i człowiek przestaje nawet marzyć? Gdzie wtedy błądzimy? (*łagodnie*) A co byś powiedział, tato, gdybyśmy się tak obudzili z tego wszystkiego – z Wiednia, twojego gabinetu, tych ścian i przede wszystkim z nich... Gdybyśmy zdali sobie sprawę, że to tylko senna mara... Gdzie wtedy byśmy się znaleźli?

FREUD: Wciąż jesteś małą dziewczynką. Dzieci są naturalnymi filozofami – nic, tylko stawiają pytania.

ANNA: A dorośli?

FREUD: Dorośli to naturalni idioci – dorośli odpowiadają.

Anna znów ziewa.

FREUD: No już, idź się położyć. (*nalegająco*) Jesteś już duża.

ANNA: A ty już nie jesteś.

FREUD: Co?

ANNA (*z uśmiechem*): Nie jesteś już duży.

FREUD (*również się uśmiecha*): To prawda, ja już jestem stary.

ANNA (*łagodnie*): I chory.

FREUD (*powtarza jak echo*): I chory. (*zdaje się mówić do siebie*) To takie nierzeczywiste... Wiek to abstrakcja, tak jak liczby... Pięćdziesiąt, sześćdziesiąt, osiemdziesiąt dwa?... Co to w ogóle znaczy? Liczba nie ma ciała, nie ma zmysłów, zawsze dotyczy kogoś innego. Człowiek w głębi duszy nigdy nie pojmuje arytmetyki.

ANNA: Nie myśl o liczbach – one i tak o tobie nie zapomną.

FREUD: My się, Anno, nie zmieniamy – to świat się zmienia: ci ludzie, którzy coraz bardziej się tłoczą i spieszą, coś tam sobie szepczą. Zimy stają się coraz mroźniejsze, a lata cięższe do zniesienia, rosną schody, kurczy się druk w książkach, zupy są coraz mniej smaczne i miłość też traci swój smak... To musi być jakiś spisek przeciw tobie, bo przecież w środku wcale się nie zmieniłeś. (*nagle zaczyna błaznować*) Bo widzisz, Anno, nieszczęście starości polega na tym, że atakuje ona tylko ludzi młodych! (*Anna ziewa*) Natychmiast idź do łóżka.

ANNA (*przestraszona śpiewem*): Jak oni to robią, że tak wielu drze się na ulicach?

FREUD: To nie są wiedeńscy. Niemcy przywożą swoich całymi samolotami i wyganiają ich na chodniki. (*z naciskiem*) W Wiedniu nie ma nazistów.

Freud zaczyna dość mocno kaszleć. Anna marszczy brwi.

ANNA: Nie, w Wiedniu nie ma nazistów... Ale to tutaj byłam świadkiem grabieży i upokorzeń jeszcze gorszych niż w Niemczech. Widziałam, jak SA ciągnie po ulicy jakiegoś robotnika z żoną i zmusza ich, żeby wyczyścili z chodnika stary napis popierający Schuschinga. A tłum wrzeszczał: „To jest praca dla Żydów! Nareszcie mają odpowiednie

zajęcie!”. „Dziękujemy Führerowi, że dał tym Żydom pracę w sam raz dla nich!” A gdzieś obok tłukli sklepikarza na oczach jego żony i dzieci... Trochę dalej na chodniku leżały ciała Żydów, którzy wyskoczyli przez okno, słysząc, jak SA wspina się po schodach... Masz rację, tato, nie ma wiedeńskich nazistów, ale trzeba ukuć nowy termin dla tego plugastwa.

Freud ma napad kaszlu jeszcze bardziej dokuczliwy niż poprzedni.

ANNA: Tato, podpisz ten papier, żebyśmy mogli wyjechać.

FREUD: On jest haniebnny.

ANNA: Dzięki temu, że w twojej sprawie interweniują z zagranicy, mamy szansę oficjalnie stąd wyjechać. Za kilka tygodni pozostanie już tylko ucieczka. Nie czekaj, aż i to będzie niemożliwe.

FREUD: Ależ Anno, a solidarność?

ANNA: Solidarność z nazistami?

FREUD: Z naszymi braćmi, naszymi tutejszymi braćmi. Z tymi, których okradają, poniżają, zamierzają unicestwić. To nienawistny przywilej – móc stąd wyjechać.

ANNA: Wolisz być martwym Żydem czy żywym? Podpisz to, tato, proszę...

FREUD: Zastanowię się. Idź już spać.

Anna kręci przecząco głową.

FREUD: Uparta natura.

ANNA: Natura Freudów.

FREUD (*spoglądając przez okno, zmienia ton, porzucając czułą więź łączącą ojca z córką*):
Traktujesz mnie, jakbym był skazany na śmierć.

ANNA (*natychmiast*): Tato...

FREUD: I masz świętą rację – oboje jesteśmy skazani na śmierć, przy czym ja odjeżdżam z najbliższym transportem. (*odwraca się od okna i podchodzi do Anny*) To nie naziści i to, co czeka Austrię, jest powodem, że przesiadujesz ze mną co wieczór. Przyczepiłaś się do mnie, jakbym miał zniknąć w każdej chwili. Drżysz za każdym razem, gdy zakaszlę – ty już mnie oplakujesz. (*całuje ją w czoło*) Ale nie bądź zbyt słodka. Nie bądźcie z mamą zbyt czule, bo jeszcze... bo jeszcze się przyzwyczaję... A wtedy trudniej będzie mi odejść.

Anna, rozumiejąc go, wstaje z miejsca.

ANNA: Dobranoc, tato. Chyba jednak jestem śpiąca.

Zbliża się i nadstawia czoło. Freud podchodzi, by ją pocałować.

SCENA 2

Słysząc gwałtowne walenie do drzwi. Stukot butów na korytarzu.

Nazista, nie czekając, aż mu otworzą, wdziera się do środka.

NAZISTA: Gestapo! (*rzuca do tyłu, zwracając się do swoich ludzi*) Wy zostajecie tutaj.

W oczach Freuda widać wściekłość.

Nazista, nie spiesząc się, odwraca się w jego stronę.

NAZISTA: Mała przyjacielska wizyta, doktorze Freud... (*spogląda na bibliotekę*)

Widzę, że zaczęliśmy odkładać książki na miejsce. (*siląc się na subtelną ironię*)
Przykro nam doprawdy, że ostatnim razem zrobiliśmy taki bałagan...

Zrzuca kilka tomów na podłogę.

FREUD (*podobnym tonem*): Ależ bardzo proszę. To wielka przyjemność mieć do czynienia z prawdziwymi erudytami.

Nazista obrzuca książki podejrzliwym spojrzeniem.

ANNA: Coście z nimi zrobili tym razem? Spaliliście je, jak wszystkie dzieła mojego ojca?

FREUD: Nie doceniasz postępu, Anno – w średniowieczu to ja spłonąłbym na stosie, a teraz zadowala ich spalenie moich książek.

NAZISTA (*cedzi przez zęby*): Nigdy nie jest za późno, żeby to naprawić.

Anna wykonuje instynktownie gest, jakby chciała ochronić ojca.

FREUD (*nadal ironicznie, nie pozwalając się przestraszyć*): Znaleźliście to, czego szukacie? Pisma antynazistowskie, nie mam racji? Nie było ich w książkach, które zabraliście? (*Nazista objawia gestem niecierpliwość. Na twarzy Freuda pojawia się wyraz zrozumienia*) Muszę panu coś wyznać: nie mogliście ich tam znaleźć, bo... (*zniża głos*) bo te najważniejsze są schowane... Tak, tak, powiem panu... (*Nazista zbliża się, pełen zainteresowania, Freud się nie spieszy*) Są ukryte... (*wskazuje na własną głowę*) tu!

ANNA (*wskazując na swoje serce*): I tu!

Nazista mierzy ich groźnym spojrzeniem.

NAZISTA: To ten żydowski humor, jak sądzę?

FREUD (*nadal prowokująco*): No właśnie, zupełnie zapomniałem, że jestem Żydem – to hitlerowcy mi o tym przypomnieli. I dobrze zrobili. To niezwykła gratka, gdy jest się Żydem i ma się okazję stanąć przed nazistami. Gdybym zresztą nawet nie był już Żydem, chciałbym nim zostać. Z wściekłości! Strzeżcie się: dzięki wam zaczną się mnożyć powołania.

Nazista strąca z premedytacją kilka kolejnych książek.

FREUD: Anno, przynieś pieniądze.

NAZISTA (*nagle odprężony, z uśmiechem drapieżnika*): Jak dobrze mnie pan rozumie, doktorze Freud!

FREUD: To nie jest takie trudne.

ANNA: Tato, nie mamy już pieniędzy.

FREUD: W sejfie.

Pokazuje w głąb pokoju. Anna podchodzi, zdejmuje obraz i otwiera sejf.

FREUD (*niezwykle uprzejmie*): Nie pomyśleliście o tym?

NAZISTA: Te żydowskie psy zawsze mają gdzieś zagrzebaną jakąś kość na zapas.

FREUD: Złóżcie skargę.

ANNA (*do ojca*): Czemu chcesz im znowu płacić?

FREUD: Żeby żyć w pokoju.

ANNA: To ja już nie pojmuję, jak będzie wyglądać wojna.

FREUD: Zaufaj im – mają większą od ciebie wyobraźnię.

ANNA (*do Nazisty, kładąc pieniądze na stole*): Tu są.

NAZISTA: Ile tego jest?

FREUD: Sześć tysięcy szylingów.

NAZISTA: No proszę!

Gwiżdże z podziwem.

FREUD: No właśnie. Powinien pan być dumny – ja nigdy nie dostałem tyle za jedną wizytę.

NAZISTA (*biorąc pieniądze*): Mierzi mnie u was, Żydów, to, że wy się nawet nie bronicie.

ANNA (*nie potrafiąc już powstrzymać wściekłości*): Teraz, kiedy już pan ma to, czego pan chciał, niech pan milczy i natychmiast stąd wyjdzie.

NAZISTA (*aż podskakuje*): Co proszę?

ANNA: Dość tego! Niech się pan wynosi i powie tym swoim wstrętnym typom, żeby nie obijali karabinami podłogi. Emilia trzy dni musiała doprowadzać parkiet do porządku!

NAZISTA: Ejże, Żydóweczko, myślisz, że do kogo mówisz?

ANNA: Lepiej nie pytaj!

FREUD: Anno!

Nazista zamierza uderzyć Annę, Freud staje pomiędzy nimi – ale nic nie jest w stanie powstrzymać wściekłości Anny.

FREUD: Anno!

ANNA (*do ojca*): Kiedy jakiś kretyn zaczyna wrzeszczeć razem z innymi kretynami, to należy mu na to pozwolić?

FREUD: Anno!

ANNA: Widzisz, tato, jak te cholewy błyszczą? Jak czarny marmur. Musi godzinami je pastować! (*do Nazisty*) Na pewno jesteś szczęśliwy, kiedy już nałożysz pastę i zaczynasz je polerować szczotką?

NAZISTA: Ale...

ANNA: A potem glancujesz je do połysku miękką szmatką. Polerujesz, polerujesz, zaczynają lśnić, rosną. A im bardziej się błyszczą, tym ci lżej na sercu. Od jak dawna się nie kochałeś? Prawda, że z kobietami dużo trudniej ci zabłysnąć?

NAZISTA: Zabieram ją!

ANNA: Ach tak?

NAZISTA: Na gestapo!

ANNA: Chce, żebym mu jeszcze coś powiedziała – ma potrzebę, żeby mu o nim mówiono. (*do Nazisty*) Chcesz, żebym ci wytłumaczyła, dlaczego codziennie rano spędzasz przynajmniej dziesięć minut, żeby rozczesać

sobie, niemal włos po włosie, ten przedziałek na środku. A ta obsesja prasowania! I obgryzione paznokcie! A chcesz może, bym ci wyjaśniła, dlaczego gardzisz kobietami i wolisz popijać piwo w towarzystwie mężczyzn?

NAZISTA (*chwytając ją za ramię*): Na gestapo!

FREUD: Niech pan tego nie robi! Proszę tego nie robić!

ANNA: Daj spokój, tato! Czemu miałabym się bać tej bandy tchórzów?

NAZISTA: Zdajesz sobie sprawę, ile cię może kosztować to, co wygadujesz?

ANNA: Najwidoczniej lepiej niż ty. Mam wrażenie, że wykazuje pan nieco zbyt wiele inicjatywy jak na prostego inspektora gestapo. Powinien pan pamiętać, że martwią się o nas na całym świecie, że Roosevelt, a nawet Mussolini, interweniowali u waszego Führera w naszej obronie, żądając, by nam pozwolono wyjechać.

Nazista zbliża się z uniesioną ręką, chcąc ją uderzyć.

FREUD: Moja córeczka!

ANNA (*kontynuując atak*): Jesteś tylko pionkiem, inspektorze. I do tego pionkiem, który nie zna reguł gry! Nie wiesz o tym, że stąd wyjeżdżamy? Cały świat już o tym wie.

NAZISTA: Na gestapo! Zabieram ją na gestapo!

ANNA: No właśnie, chcesz powiększyć swoje stado, żebyś się poczuł mocniejszy.

NAZISTA (*do Freuda*): Przyjrzyj się jej po raz ostatni, Żydzie.

ANNA: Nie martw się, tato. Chcą cię wystraszyć, ale już za późno. Nic nam teraz nie mogą zrobić.

NAZISTA: Naprawdę? Jest taka brzydka i myśli, że jest inteligentna! Niezłą sobie, Żydzie, córeczkę zmajstrowałeś.

Wyciąga Annę z pokoju, ciągnąc ją gwałtownie za ramię.

ANNA (*w drzwiach*): Ten papier, tato! Po prostu go podpisz! I nic nie mów mamie. Tylko podpisz, bo inaczej nie pozwolą nam wyjechać. (*wyrywając się Naziście*) Zostaw mnie! Ja cię...

Znikają. Nazista zatrząskuje za sobą drzwi.

SCENA 3

FREUD (*przerażony, powtarza machinalnie*): Ten papier, papier!... Anna!... Anna...

Usiłuje się uspokoić za wszelką cenę. Ociera czoło i podchodzi do biurka, na którym panuje spory bałagan.

FREUD (*nadal powtarza machinalnie, ale już spokojniej*): Papier... papier...

Nagle wpada na pewien pomysł. Sięga po telefon i wykręca bez namysłu numer.

FREUD: Halo? Ambasada Stanów Zjednoczonych? Profesor Freud przy aparacie. Czy mógłbym rozmawiać z panem Wileym? Freud! To pilne! (*mija nieco czasu*) Halo? Pan ambasador? Freud przy aparacie. Właśnie zabrali Annę... moją córkę... wzięli ją na gestapo! Proszę coś zrobić! Zróbcie coś, błagam... Tak, tak, obiecuję, podpiszę to oświadczenie...

Tak, czekam, na pański telefon!

Freud, zdenerwowany i pełen lęku, rozłącza się.

FREUD (z rozpędu, w stronę odłożonej słuchawki): Dziękuję!

Po chwili przypomina sobie, o co prosiła go Anna i ambasador.

FREUD: Papier... ten papier...

Znajduje dokument, którego szuka, i siada za biurkiem.

FREUD (czyta głośno): „Ja, niżej podpisany profesor Sigmund Freud, stwierdzam, że po Anschlussie Austrii przez III Rzeszę byłem traktowany przez władze niemieckie – a w szczególności gestapo – z szacunkiem i względami należnymi mi z powodu mojej naukowej reputacji. Mogłem żyć i pracować bez żadnych nacisków oraz kontynuować moje naukowe badania, tak jak sobie tego życzyłem, jednocześnie licząc na poparcie władz. Nie mam zatem żadnych powodów, aby się na cokolwiek skarżyć”.

Wzdycha i zabiera się do podpisania dokumentu, gdy nagle wpada na pewien pomysł i coś dopisuje.

FREUD (czyta): „Z całego serca mogę polecić gestapo każdemu”.

Chce podpisać, bierze do ręki pióro, ale w ostatniej chwili rezygnuje, krzyżąc „Nie!”. Pełen rozpacz chwyta się za głowę.

SCENA 4

Nieznamy rozsuwa nagle podwójne zasłony. Nie było widać, jak wchodzi przez okno. Jego pojawienie się powinno wydawać się zarazem naturalne i tajemnicze.

Jest ubrany elegancko, nawet z przesadą: frak, białe rękawiczki, peleryna, laseczka z gałką – można by

rzec, dandys, który właśnie wyszedł z opery po przedstawieniu.

Spogląda na Freuda z sympatią.

Ten, czując, że ktoś na niego patrzy, odwraca się.

NIEZNAJOMY (*zupełnie naturalnie*): Dobry wieczór.

Freud wstaje raptownie, opierając się o biurko.

FREUD: Co to?! Kim pan jest? (*cisza*) Czego pan chce? (*nieznajomy uśmiecha się, ale nic nie odpowiada*) Po co pan tu przyszedł? (*uznając, że to musi być złodziej*) Nie mam już pieniędzy, za późno pan się zjawił.

NIEZNAJOMY (*krzywiąc się*): Wolałem pana, kiedy zadawał pan pytania.

FREUD: Kim pan jest?

Nieznajomy uśmiecha się, nie bardzo mając ochotę odpowiedzieć.

Freud nie nalega dalej, tylko otwiera szufladę biurka i wyjmuje rewolwer. Ale kiedy ma go wycelować w Nieznajomego, czuje się trochę głupio i chowa go w dłoniach.

FREUD (*wymawiając bardzo wyraźnie*): Kim pan jest?

NIEZNAJOMY (*lekko*): I tak by mi pan nie uwierzył. A ta zabawka panu nie pomoże. (*podchodzi do szeszlona i opada na niego z eleganckim wdziękiem*) Porozmawiajmy – będzie pan tak miły?

FREUD (*odkładając broń*): Nie rozmawiam z ludźmi, którzy włamują się do mojego domu i nie chcą się przedstawić.

NIEZNAJOMY (*wstając*): Znakomicie, jeżeli pan nalega...

Szybko znika za zasłoną okna, pozostaje tam parę sekund, po czym ukazuje się znów – tym razem jest zmordowany, a ubranie ma całe w nieładzie. Na widok Freuda udaje zaskoczenie, podbiega do niego i rzuca mu się do stóp.

NIEZNAJOMY: Błagam pana, niech mnie pan ratuje! Oni mnie gonią, ratuj mnie! (*odgrywa to znakomicie*) Są już blisko... (*podbiega do okna, reagując, jakby zobaczył ludzi na dole*) Gestapo! Widzieli mnie. Wchodzą do budynku! (*znowu pada Freudowi do nóg*) Ratuj mnie, nie mów im!

FREUD (*na chwilę daje się porwać grze*): Gestapo?

NIEZNAJOMY (*błagając nadto już teatralnie*): Ukryj mnie! Ukryj mnie!

FREUD (*otrzeźwiały, odpycha go dosyć gwałtownie*): Zostaw mnie pan w spokoju!

NIEZNAJOMY (*przestaje nagle grać*): Nie ma pan litości dla ofiary?

FREUD: Dla ofiary, tak – ale nie dla fałszywej ofiary.

Nieznamy wstaje z klęczek.

NIEZNAJOMY: Proszę więc ode mnie nie żądać, bym panu opowiadał jakies bajki.

FREUD (*już opanowany, mówi zdecydowanie*): Niech pan posłucha: mogę postawić dwie hipotezy w związku z pańskim wtargnięciem tutaj – albo jest pan złodziejem, albo jest pan wariatem. Jeżeli jest pan złodziejem, wiedz, że pańscy koledzy z gestapo byli tu przed tobą i nie zostawili ani okruszynki. Jeżeli jest pan chory...

NIEZNAJOMY: A jak mogłaby brzmieć trzecia hipoteza?

FREUD: Nie jest pan chory?

NIEZNAJOMY (*dla którego to słowo jest wyraźnie niemiłe*): Chory? Cóż za paskudne słowo – jest jak pomocna ręka, którą zdrowie wyciąga ku śmierci!

FREUD: A po co inaczej miałby pan tu przychodzić?

NIEZNAJOMY (*falszywym tonem*): Tyle jest innych powodów: ciekawość, uwielbienie...

FREUD (*wzruszając ramionami*): Każdy chory tak mówi!

NIEZNAJOMY (*falszywym tonem*): A może przyszedłem tu do kogoś innego...

FREUD (*tym samym tonem*): A to właśnie mówią zaraz potem.

NIEZNAJOMY (*rozdrażniony*): Więc dobrze... przyjmijmy, że pana potrzebuję... Co może mi pan zaproponować?

FREUD: Możemy umówić się na wizytę! (*popycha go w stronę drzwi*). A zatem do zobaczenia wkrótce, mój panie. Umówimy się, kiedy będzie nam to obu odpowiadało, ustalimy razem termin. Za kilka dni.

NIEZNAJOMY (*powstrzymując go*): To niemożliwe. Jutro mnie już tu nie będzie. A pan stąd zniknie za dwa miesiące.

FREUD: Co proszę?

NIEZNAJOMY: Będzie pan w Paryżu u księżnej Bonaparte... a potem w Londynie w Maresfield Gardens... Jeżeli dobrze pamiętam...

FREUD: Maresfield Gardens? Ale przecież... Może pan wygadywać, co tylko pan chce – nic nie wiem o przyszłości. Niczego nie zaplanowałem.

NIEZNAJOMY: Tak, tak. Tam właśnie pan się znajdzie. Spodoba się panu londyńska wiosna. Będą pana fetować w Londynie i zdoła pan skończyć swoją książkę o Mojżeszcu.

FREUD: Widzę, że czytuje pan prasę naukową.

NIEZNAJOMY: Jaki pan jej nada tytuł? Zaraz... *Człowiek imieniem Mojżesz a religia monoteistyczna...* Wolę zresztą nie mówić, co ja o tym myślę.

FREUD (*przerywa mu*): Nie wybrałem jeszcze tytułu! (*powtarza sam do siebie to, co powiedział Nieznajomy*) Mojżesz i monoteizm... czemu by nie? Całkiem zgrabna sugest... Interesuje się pan psychoanalizą?

NIEZNAJOMY: Jedyne panem.

FREUD: Ale kim pan jest?

NIEZNAJOMY (*wraca do swojej poprzedniej wizji*): Ale najdziwniejsze jest to, że zatęskni pan za Wiedniem.

FREUD (*gwałtownie*): Z pewnością nie!

NIEZNAJOMY: Owoc smakuje najlepiej wtedy, kiedy już został zjedzony – a pan należy do ludzi, dla których dostępne są tylko raje utracone. Tak, będzie panu brakowało Wiednia... Już teraz go pan żałuje, bo od miesiąca odmawia pan wyjazdu.

FREUD: To z powodu nadmiernego optymizmu. Miałem nadzieję, że sytuacja jakoś się ułoży.

NIEZNAJOMY: To z powodu nostalgii. Bawił się pan w krótkich spodenkach na Praterze, wygłaszał pan swoje pierwsze teorie w tutejszych kawiarniach, a kiedy dopadła pana pierwsza miłość, włóczył się pan nad brzegami Dunaju i potem chciał pan skończyć w jego

modrych wodach... W Wiedniu pozostawia pan swoją młodość. W Londynie będzie pan już tylko starcem. (*mówi bardzo szybko do siebie*) I jak ja bardzo panu tego zazdroszczę...

FREUD: Kim pan w końcu jest?

NIEZNAJOMY: Nie uwierzyłby pan.

FREUD (*ma tego dosyć*): Więc niech się pan wynosi!

NIEZNAJOMY: Jak bardzo musi pan być znużony światem, żeby się mnie tak prędko pozbywać. Myślałem, że zachowuje się pan nieco bardziej przyjaźnie wobec chorych, doktorze Freud. A pan wyrzuca mnie za drzwi. To tak się teraz leczy neurozy? W sytuacji, gdy jest pan moją jedyną nadzieją? Proszę pomyśleć – kiedy stąd wyjdę, mogę rzucić się pod samochód.

Freud, szczerze zdziwiony jego zachowaniem, opada na szeszląg.

FREUD: Źle pan trafił dziś wieczorem – nie ma już doktora Freuda... Leczenie innych... Myśli pan, że leczenie ludzi chroni mnie przed własnym cierpieniem? Bywają takie wieczory, że mam nieomal za złe moim pacjentom, że udało mi się ich uratować... Ja jestem całkiem sam z moim bólem. Całkiem sam i nie mam się do kogo zwrócić...

NIEZNAJOMY: Ona wróci. (*Freud wykonuje pytający gest*) To znaczy, Anna. Przetrzymają ją krótko. Bardzo dobrze wiedzą, że nie mogą jej uwięzić. I kiedy wróci, będzie pan mógł ją przytulić. I będzie pan ją trzymał w ramionach, pełen tego szczęścia, które jest tak bliskie beznadziei. Z tym uczuciem, że życie trzyma się tylko na cieniutkiej nitce... Bardzo słabej... I że chwilowo udało się zapobiec jej pęknięciu... To właśnie ta

słabość daje siłę, by kochać...

FREUD: Kim pan w końcu jest?

NIEZNAJOMY: Kiedy widzę pana takim jak teraz, bardzo chciałbym to panu wyjawić.

Wyciąga rękę, jakby chciał pogłaskać Freuda po głowie.

Zaskoczony Freud podejmuje nagle decyzję. Wstaje energicznie. Widać, że obudził się w nim terapeuta.

FREUD: Potrzebuje mnie pan?

NIEZNAJOMY *(z lekka zdziwiony)*: Tak... nie... to znaczy... Byłem śmieszny... Nadmierny optymizm zawrócił mi w głowie... Prawdę mówiąc, wydaje mi się wątpliwe...

FREUD: ... żebym mógł panu pomóc. To oczywiste! *(z zadowoleniem, jak zwykle w podobnej sytuacji)* Wszyscy oni wierzą, że są jedyni, kiedy nauka zakłada wręcz odwrotnie. Zajmę się panem, bo i tak tej nocy jestem skazany na czekanie. *(podnosi głowę, spoglądając w stronę Nieznajomego)* Co ciekawe, nie bardzo mam ochotę pana oszczędzać.

NIEZNAJOMY: I ma pan rację.

FREUD *(zacierając ręce)*: Więc zgoda. Zaczynajmy. *(widać, jak się ożywia; wskazuje na szeslong)* Znakomicie, proszę się tam wyciągnąć. Jak się pan nazywa?

NIEZNAJOMY: Uczciwie?

FREUD: To zasada. *(wyczekuje)* Jakie pan nosi nazwisko? Jak się nazywa pański ojciec?

NIEZNAJOMY: Nie mam ojca.

FREUD: Pańskie imię?

NIEZNAJOMY: Nikt mnie nigdy nie woła po imieniu.

FREUD (*zniecierpliwiony*): Ma pan do mnie zaufanie?

NIEZNAJOMY: Oczywiście. To pan mi nie ufa.

FREUD: Dobrze, zmienimy metodę. Proszę mi opowiedzieć swój sen...
Swoj ostatni sen.

NIEZNAJOMY: Ja nigdy nie śnię.

FREUD (*tonem diagnosty*): Blokada pamięci przez autocenzurę – to poważna sprawa, ale dobrze znana. Proszę mi opowiedzieć jakieś swoje wspomnienie.

NIEZNAJOMY: Byle jakie?

FREUD: Byle jaką historię.

Nieznajomy wpatruje się w Freuda, jakby zgłębiał jego duszę. Przez chwilę wydaje się, że czerpie siły z jego spojrzenia, a potem zaczyna mówić.

NIEZNAJOMY: Miałem wtedy pięć lat i w tamtych czasach niebo było zawsze błękitne, słońce pomarańczowe, służące śpiewały od rana do wieczora, a z ich głęboko otwartych dekoltów unosił się zapach wanilii.

Aż pewnego razu znalazłem się w kuchni sam.

Było to obszerne pomieszczenie, w którym wszystkie meble stały pod ścianami i wyglądały, jakby chciały wydostać się z tej wielkiej

przestrzeni, w której białe i czerwone płytki wyznaczały drogi ucieczki we wszystkich kierunkach. Zazwyczaj był to teren moich przygód: można było gonić na czworakach między nogami służby, porwać kawałek boczkę, wylizać dno tacy po cieście... Dlaczego tamtego dnia w kuchni nie było nikogo? Nie mam pojęcia – to są pytania dorosłych, nie zwracałem na to uwagi; po prostu byłem tam, siedziałem na kwadratowych płytkach w kolorze zgaszonej czerwieni i złamanej bieli.

Każda z nich zawierała cały świat. Dla dorosłych płytki tylko służą jako podłoga, ale dla dziecka każda ma swoje własne, szczególne oblicze. Z jednej wyczytać można w nieregularnych liniach i chropowatościach historię smoka z otwartą paszczą, który skrył się w głębi swej jaskini; na innej widać procesję pielgrzymów; na innej znów twarz za zabłoconą szybą, kolejna przedstawia... Tamta kuchnia była niezmiernym światem, pełnym małych światów, wyłaniających się z podłogowych płytek.

A potem nagle coś zawołałem. Nie wiem dlaczego. Może chciałem, by usłyszano, że istnieję i żeby ktoś przyszedł. Krzyknąłem. Odpowiedziała mi jedynie cisza. (*Freud wydaje się coraz bardziej zafrapowany opowieścią*) Płytki na nowo spłaszczyły się i zamilkły.

Piec zapadł w sen. Przypiecek, gdzie zawsze bulgotał jakiś rondel, zdawał się umarły.

Freud, pogrążywszy się we wspomnieniach, porusza wargami w miarę opowieści Nieznajomego.

NIEZNAJOMY: Zacząłem wrzeszczeć. I mój głos, wibrując w pustych ścianach, uleciał przez wszystkie piętra do nieba – ale nie było żadnych uszu, które mogłyby go usłyszeć.

FREUD (*podejmuje opowieść, jakby ją znał na pamięć*): I mój głos wciąż wznosił się

i wznosił... A jego powracające echo pozwalało mi tylko wyraźniej słyszeć ciszę.

NIEZNAJOMY (*kontynuując bez najmniejszej przerwy*): Kuchnia stała się nagle zupełnie obca – jakieś nagromadzenie rzeczy i mebli na idealnie czystej posadzce.

FREUD: Zostałem rozdzielony ze światem – osobno on, osobno ja. Pomyślałem sobie wtedy...

FREUD i NIEZNAJOMY (*Nieznajomy ruchami warg wymawia niemo te same słowa co Freud*): „Jestem Sigmund Freud, mam pięć lat, istnieję – muszę zapamiętać tę chwilę”.

Po chwili milczenia Freud odwraca się powoli w stronę Nieznajomego.

NIEZNAJOMY (*nadal tym samym marzycielskim tonem*): Pomyślałeś też, ale nie ubrałeś tego w słowa: „Krzyczę i płaczę, ale dom jest pusty. Nikt mnie nie słyszy. Cały świat jest jak ten pusty dom, gdzie nikt nie odpowiada, kiedy się woła o pomoc”. (*chwila ciszy*) Przybyłem tu, by ci powiedzieć, że to nieprawda. Zawsze ktoś to słyszy. I ten ktoś się pojawi.

Freud, wystraszony, wpatruje się w Nieznajomego.

Po chwili podchodzi do niego i go dotyka.

Czując, że Nieznajomy istnieje naprawdę, odsuwa się.

FREUD: To niemożliwe. Musiano panu o tym wszystkim powiedzieć. Był pan na gestapo, czytał pan moje akta.

NIEZNAJOMY: A cóż by to dało? Opisał pan już kiedyś to wszystko?

FREUD (*po chwili*): Nie. Nikomu o tym nawet nie wspomniałem. (*po chwili*) Pan

to teraz wymyślił!

Nieznajomy nie odpowiada.

Zbity z tropu Freud zaczyna wątpić we własne słowa. Nagle wpada na pomysł.

FREUD: Proszę się nie ruszać. (*chwyta swoje wahadełko leżące na biurku*) Niech pan się położy, tak, tutaj, proszę się wyciągnąć wygodnie.

Nieznajomy pozwala sobą kierować.

Freud trzyma wahadełko nad twarzą Nieznajomego, wprawiając je w lekki ruch.

FREUD: Jesteś zmęczony, odprężasz się...

NIEZNAJOMY (*z rozbawieniem*): Hipnoza, doktorze? Myślałem, że porzucił pan tę metodę już przed wielu laty.

FREUD: Kiedy pacjent jest zbyt spięty, by zaakceptować rozmowę, nic nie zastąpi mojego starego wahadełka. (*manewrując dalej wahadełkiem, mówi perswazyjnym tonem*) Twoje powieki stają się coraz cięższe... Zасыpiasz... Próbujesz podnieść lewą rękę, ale nie dajesz rady, jest za ciężka... Jesteś bardzo zmęczony... Wyczerpany... Musisz zasnąć. Śpij, tak trze...

Nieznajomy zasypia.

Podczas całej sceny hipnozy słyhać dziwną, bardzo łagodną, niedającą się określić muzykę, która wprowadza atmosferę nierzeczywistości. Również odpowiedzi na pytania Freuda Nieznajomy wypowiada melodyjnym, „muzycznym” głosem.

FREUD: Kim jesteś?

NIEZNAJOMY: Imię nosi się tylko na użytek sobie podobnych. A ja jestem jedyny w swym rodzaju.

FREUD: Kim są twoi rodzice?

NIEZNAJOMY: Nie mam rodziców.

FREUD: Czy nie żyją?

NIEZNAJOMY: Jestem sierotą od chwili urodzenia.

FREUD: Nie masz żadnych wspomnień o nich?

NIEZNAJOMY: Nie mam o nich żadnych wspomnień.

FREUD: Dlaczego nie chcesz mieć wspomnień?

NIEZNAJOMY: Chciałbym mieć wspomnienia. Ale nie mam.

FREUD: Czemu chcesz zapomnieć?

NIEZNAJOMY: Nigdy niczego nie zapominam, ale nie mam wspomnień.

FREUD: Kiedy poznałeś Sigmunda Freuda?

NIEZNAJOMY: Kiedy pierwszy raz go usłyszałem, powiedział: „Jestem Sigmund Freud, mam pięć lat, istnieję – muszę zapamiętać tę chwilę”. Usłyszałem ten drżący, zakatarzony od płaczu głosik wznoszący się pośród zgiełku świata.

FREUD: Ale Sigmund Freud jest starszy od ciebie. Ile masz lat?

NIEZNAJOMY: Ja nie posiadam wieku.

FREUD: Nie mogłeś usłyszeć małego Freuda, bo jeszcze się nie urodziłeś.

NIEZNAJOMY: To prawda: nie urodziłem się.

FREUD: Gdzie byłeś, kiedy usłyszałeś ten głos?

NIEZNAJOMY: Nigdzie. To nie jest ani daleko, ani blisko, ani też gdzie indziej. To jest... Nie da się tego wyobrazić, bo do wyobrażenia potrzeba obrazów, a tam nie ma już niczego – ani łąk, ani chmur, ani lazuruwej przestrzeni. Po prostu nic... Gdzie jesteś, kiedy śniesz?

FREUD: To ja tu zadaję pytania. A co z ludźmi tam, gdzie jesteś? Gdzie znajdują się ludzie?

NIEZNAJOMY: We mnie – to znaczy nigdzie. Tak jak w ludziach mieszkają sny.

FREUD: Gdzie znajdujesz się w tej chwili?

NIEZNAJOMY: W Wiedniu, w Austrii, jest 22 kwietnia 1938 roku, przy Berggasse, w gabinecie doktora Freuda.

FREUD: Kim jest doktor Freud?

NIEZNAJOMY: To człowiek, który spłodził mnóstwo hipotez – zarówno słusznych, jak i niesłusznych. W sumie geniusz.

FREUD: Dlaczego właśnie on?

NIEZNAJOMY: Jasnowidzący utracili wzrok, a proroków zżera rak jamy ustnej. On jest bardzo chory.

FREUD: Czy umrze niedługo?

NIEZNAJOMY: Niedługo.

FREUD: Kiedy?

NIEZNAJOMY: 23 wrze... *(otwierając nagle oczy)* Przykro mi, doktorze, nie odpowiadam na takie pytania.

Muzyka urywa się nagle.

FREUD *(zbity z tropu zarówno nagłym wybudzeniem, jak i odpowiedzią Nieznajomego)*: Ale... ale tak nie wychodzi się z hipnozy... Pan...

NIEZNAJOMY: Gdybym odpowiedział na pańskie pytanie, byłby pan gotów zaraz umrzeć z czystej uprzejmości. Czułbym się winny.

Wstaje i zaczyna radośnie podskakiwać po pokoju.

FREUD *(do siebie)*: Najwyraźniej oszalałem.

NIEZNAJOMY: Mądrość często polega na tym, żeby poddać się szaleństwu, a nie rozumowi. *(wstrząsa rękami i nogami)* Przyjemnie jest mieć ciało, tylko ono tak szybko sztywnieje! Odzwyczailem się. *(przegląda się w lustrze)* Jak mnie pan znajduje? Całkiem przyjemna figura, nie uważa pan? A głowę wzięłem z aktora, który urodzi się, kiedy pana nie będzie już na tym świecie.

FREUD *(spontanicznie)*: Jest pan piękny.

NIEZNAJOMY *(szczerze zdziwiony pochyla się w stronę lustra)*: Naprawdę? Ale to nie ma żadnego związku z tym, kim jestem.

FREUD *(również zbliżając się do lustra)*: Myśli pan, że ja się rozpoznaję w tym brodatym starcu, który na mnie czeka w lustrze? Przyzwyczailem się w końcu, ale nie umiem w nim siebie odnaleźć...

NIEZNAJOMY: Nie lubi pan swojego wyglądu?

FREUD: Ponieważ widzę, jak usta naprzeciw poruszają się jednocześnie z moimi, a ręka odpowiada ręce, mówię sobie, że to ja. Ale „ja” to nie jest przecież ani pomarszczone czoło, ani krzaczaste siwe brwi, ani te wargi z każdym dniem coraz suchsze i bardziej napięte... Moje czoło było kiedyś gładkie, miałem ciemne włosy... Ale wtedy było podobnie... równie dobrze mógłbym nie być tamtym ciałem.

NIEZNAJOMY: Jakie to dziwne: odkrywa pan to, co czuję za każdą inkarnacją. Nigdy nie przypuszczałem, że wy, ludzie, możecie odczuwać to samo.

FREUD (*nadal spogląda w lustro, kontemplując przez chwilę odbicie Nieznajomego*): Proszę mi wybaczyć, nie potrafię uwierzyć, że pan to pan.

NIEZNAJOMY: Wiem. Nie wierzysz we mnie. Doktor Freud jest ateistą. Wspaniałym ateuszem – ateuszem, który potrafi nawracać, katechumenem niewiary.

FREUD: Dlaczego ja? Czemu nie jakiś ksiądz albo rabin?

NIEZNAJOMY (*lekko*): Nie ma nic nudniejszego niż rozmowa z własnym wielbicielem. A poza tym...

FREUD: A poza tym?...

NIEZNAJOMY: Nie jestem wcale pewien, że jakiś kapłan pomógłby mi lepiej niż pan. Ci ludzie tak się przyzwyczaili przemawiać w moim imieniu, reagować zamiast mnie, udzielać rzekomo moich własnych rad... Mam wrażenie, że bym im tylko przeszkadzał.

Słyszcć tupot wojskowych butów i krzyki na ulicy.

FREUD: Ale dlaczego ja? *(po chwili)* Chodzi o to, żeby mnie nawrócić?

NIEZNAJOMY *(śmiejąc się)*: Cóż za pycha! Nie, na to jest już zbyt późno – za kilka miesięcy opublikujesz swojego *Mojżesza*... Nie nawróciłem cię.

FREUD: Ale ja pana widzę.

NIEZNAJOMY: Widzisz tylko jakiegoś człowieka. I nic więcej.

FREUD: Objawił się pan tak nagle...

NIEZNAJOMY: Mogłem wejść przez okno.

FREUD: Wiedział pan, że gestapo zabrało Annę.

NIEZNAJOMY: Wszyscy w całej kamienicy o tym wiedzą.

FREUD: Pan się droczy ze mną... A jak inaczej mógłby mi pan opowiedzieć o tym, co przeżyłem, kiedy miałem pięć lat?

NIEZNAJOMY: Myślisz, że jesteś taki niezwykły? Niektórzy ludzie potrafią opowiadać historie, które wszyscy uważają za swoje – na przykład pisarze. Może nie jestem Bogiem, a tylko niezłym pisarzem? Z całą pewnością nie jesteś jedyny, który siedział na pupie na kuchennej podłodze wyłożonej płytkami i doznawał świadomości istnienia.

FREUD *(usuwając wszystkie swoje wątpliwości za pomocą ataku złego humoru)*: Wiem, czego mam się trzymać!

NIEZNAJOMY *(zbliża się do niego w sposób wzbudzający niepokój)*: Jakie to dziwne,

mój poczciwy Freudzie. Można by pomyśleć, że nagle zapragnąłeś uwierzyć... Wytarzać się w pewności... (*zniecka zadaje pytanie*) Ile miałeś lat, kiedy on umarł?

FREUD: Kto?

NIEZNAJOMY: Twój ojciec.

FREUD: Czterdzieści.

NIEZNAJOMY: Nie udawaj, że nie rozumiesz. Ile miałeś lat, kiedy on umarł w twojej głowie?

FREUD (*wyraźnie nie ma ochoty odpowiedzieć*): To było już tak dawno.

NIEZNAJOMY: Pomyślmy – pewnie z trzynaście. Trzynaście lat tamtego życia, a potem nagle zdałeś sobie sprawę, że twój ojciec może się mylić i że kiedy się myli, upiera się przy swoim. I tak dawny autorytet przemienił się w pełnego złej woli ignoranta. Zauważyłeś, że ma swoje słabości, że bywa nieśmiały, obawia się decyzji, boi się sąsiadów, własnej żony... I w końcu doszło do ciebie, że jego zasady wcale nie są jedyne i wieczne na tym świecie jak słońce ukryte w chmurach – to są tylko jego własne zasady, podobne do starych, wygodnych pantofli. Równie dobre jak inne. To tylko jakieś frazesy, które powtarza w kółko z uporem, jakby od tego mogły stać się absolutną prawdą. Dostrzegłeś, że się starzeje, że coraz bardziej opadają mu ramiona, jego skóra ciemnieje, plecy się garbią, a myśli błądzą po omacku. Krótko mówiąc, nadszedł dzień, kiedy odkryłeś, że twój ojciec jest tylko człowiekiem.

FREUD: Tamtego dnia dorosłem.

NIEZNAJOMY: Naprawdę? To właśnie tamtego dnia stałeś się na chwilę bardziej dzieckiem niż małe dziecko i zwróciłeś się do Boga. Bardzo chciałeś uwierzyć, doktorze – a to z powodu zawiedzionej miłości. Chciałeś wymienić swego naturalnego ojca na nadprzyrodzonego. I umieściłeś go w chmurach.

FREUD: Ale...

NIEZNAJOMY: Nie zaprzeczaj, właśnie o tym opowiadasz we wszystkich swoich książkach. Kiedy umarł dla ciebie twój ziemski ojciec, wysłałeś go do nieba. Stąd przecież, jak twierdzisz, wzięła się idea Boga – człowiek musiał go stworzyć, bo tak bardzo pragnął w niego wierzyć. Normalny ludzki wynalazek. Potrzeba matką wynalazku. (*głośno i dosadnie*) Miałbym być zatem jedynie halucynacją dla waszej satysfakcji? (*krzyczy*) Tak czy nie?

FREUD (*słabym głosem*): Właśnie tak.

NIEZNAJOMY: Jeżeli więc masz rację, doktorze Freud, to znaczy, że w tej chwili śnisz na stojąco. To wszystko. Jestem tylko urojeniem!

Ze schodów dobiega głośny tupot wielu nóg i krzyki żołnierzy.

NIEZNAJOMY: Bo widzisz, dziś wieczór – dlatego że jesteś stary, że na ciebie polują i odebrali ci córkę – dziś wieczór znowu jesteś mały i potrzebujesz ojca. Tak więc załatwia sprawę pierwszy lepszy nieznajomy, który zjawia się u ciebie w nie do końca zrozumiały sposób i mówi bardzo niejasno – zapominasz o wszystkim, co odkryłeś i w co wierzysz.

Hałas się zbliża.

FREUD: Nigdy jeszcze żaden człowiek nie powiedział mi tego, co pan przed chwilą pod hipnozą.

W tej chwili ktoś wali w drzwi. Ogłupiały Freud wpatruje się ze strachem w Nieznajomego, jakby chciał go zapytać, co się dzieje.

NIEZNAJOMY (*szeptem*): No cóż, niech im pan otworzy.

Nieznajomy niknie za kurtyną. W tej samej chwili pojawia się Nazista.

SCENA 5

Wchodzi Nazista, rozglądając się wokół podejrzliwie.

NAZISTA: Nie spieszyło się jakoś. (*Ddaje znak żołnierzom w przedpokoju*)
Kontynuujcie beze mnie.

FREUD: Gdzie jest moja córka?

NAZISTA (*sprawdzając pokój*): Na gestapo.

FREUD: Nie oddacie jej?

NAZISTA: Się zobaczy. Aktualnie trochę się z nią zabawiają. Jest bardzo pociągająca. (*gwałtownie*) Jest pan sam?

FREUD (*poruszony*): Tak, oczywiście. Sam pan widzi.

NAZISTA (*przechodząc obok biurka*): Och, widzę, że się wygrzebało ten papier...
(*sięga po kartkę i rzuca na nią okiem*) No to teraz trzeba grzecznie podpisać.

FREUD (*odwracając głowę*): A moja córka?

NAZISTA (*nalegajaco, podsuwajac papier Freudowi pod nos*): Cierpliwosci, na pewno ja oddamy, jezeli wyjedziecie. Nie przepuscimy okazji, by sie pozbyc kilku Zydow.

FREUD: Oddacie ja... nienaruszona?

NAZISTA (*smiejac sie obleśnie*): Niby czemu? Ma pan jeszcze nadzieje wydac ja za maz? (*staje przed biblioteka*) Dziwne, wyczuwam Zydow na odleglosc, nie widzac ich. Mam dobrego nosa.

FREUD: Naprawde? Mnie tez pan wyweszyl?

NAZISTA (*ze smiechem*): No pewnie!

FREUD: I czym mnie czuc?

NAZISTA (*z prostota*): To nie pan smierdzi, tylko ja, kiedy pan jest blisko.

FREUD: I czym pan zalatuje?

NAZISTA: Gównem.

FREUD (*zszokowany*): Proszę?

NAZISTA: To proste – zawsze tak się ze mną dzieje. Kiedy czuję się brzydki, nędzny, kiedy mówię sobie, że nie mam pieniędzy i to się do jutra nie rozwiąże; kiedy powtarzam sobie, że żadna kobieta już mnie nie zechce – wtedy wystarczy, żebym się odwrócił i zawsze się sprawdza: to znaczy, że jakiś Żyd właśnie mi się przygląda. Każdy Żyd sprawia, że czuję się gównem. I zawsze Żyd jest tego powodem. No bo proszę: w chwili, kiedy tutaj wszedłem i zobaczyłem te wszystkie meble, obrazy,

obicia, to biurko, wszystkie te książki, których nie przeczytałem, poczułem, jak rośnie mi w gardle gula – i już wiem, że jestem u Żyda.

FREUD: To dziwne, ja, kiedy się czuję lichym człowiekiem, mam pretensję jedynie do siebie.

NAZISTA: To normalne, bo pan jest Żydem. To jak węch u psa – mówię panu, ja mam nosa!

Nazista, bez żadnego przejścia, wyjmując z kieszeni dokumenty – prawdziwy powód swojej wizyty.

NAZISTA: Co to jest?

Freud nie odpowiada. Czuje się najwyraźniej zakłopotany na ich widok.

NAZISTA: Aż dziwne, że pan nie skacze z radości... Musiał się pan denerwować, że zaginął?... Testament się przydaje – szczególnie w pańskim wieku... Do tego w takich czasach...

FREUD: Co pan chce przez to uzyskać?

NAZISTA: Myślę, że już uzyskałem. Z pańskiego testamentu wynika, że ma pan konta w zagranicznych bankach. Nieładnie, że nic pan o tym nie wspomniał...

FREUD (*słabym głosem*): A pytał mnie pan?

NAZISTA: To niepatriotyczne, takie lewe zaskórniaki... Okrada pan państwo... Nie myśli pan, że dobrze byłoby sprowadzić te pieniądze z powrotem do ojczyzny? I to jak najszybciej...

FREUD: Są przeznaczone dla moich dzieci...

NAZISTA: Ma pan świętą rację! Bardzo możliwe, że pana córka będzie ich potrzebowała tam, gdzie się właśnie znajduje... Może mogłoby to złagodzić przesłuchania? Kto wie... (*przewrotnie*) Tylko ja znam ten testament. Nie byłoby dobrze, gdybym tam wrócił, na gestapo, i pokazał im ten brzydki papier. Nie, to by nie było dobre, miałyby złe skutki. Dla pana. I dla niej.

FREUD (*ustępliwie*): Co więc, według pana, powinienem zrobić?

NAZISTA: Cóż, najpierw niech pan pomyśli... Zdaje się, że pan to bardzo dobrze robi, profesorze. (*pokazuje testament jedną ręką, trzymając w drugiej niepodpisane przez Freuda oświadczenie*) Bo uczciwie mówiąc, obawiam się, że ten testament wyklucza ewentualne zezwolenie na wyjazd, rozumie mnie pan?

Odwraca się w stronę drzwi i krzyczy do żołnierzy w korytarzu.

NAZISTA: Nikogo tu nie ma. Możemy iść. Następne piętro.

FREUD (*impulsywnie*): Co się dzieje? Szukacie kogoś?

NAZISTA: Nikogo pan nie widział? No więc... (*zatrzymuje się w progu*) niech się pan zastanowi, co pan powinien zrobić. Moim zadaniem lepiej będzie, jeżeli ta sprawa pozostanie między nami... Rozumie pan, co mam na myśli? (*uśmiecha się szeroko*) Jeszcze tu wpadnę...

Wychodzi.

SCENA 6

Nieznajomy wychodzi zza zasłony. Spogląda w dal, jakby miał wizję.

NIEZNAJOMY: Ten człowiek kłamie.

FREUD (*zatraskany*): Na nieszczęście on ma rację – mam konta za granicą.

NIEZNAJOMY: Kłamie w sprawie Anny. Wcale jej nie przesłuchują.

FREUD (*natychmiast ogarnięty niepokojem*): Anna! Co oni jej robią?

NIEZNAJOMY (*opisuje swoją wizję*): Jest na gestapo w hotelu Monopol. Czeka na korytarzu.

FREUD: To dobrze.

NIEZNAJOMY: Wcale nie dobrze. Wie, że jeżeli zostanie na korytarzu i nie pójdzie na przesłuchanie, mogą ją tego wieczoru wysłać z innymi Żydami do obozu... albo rozstrzelać.

Freud wydobywa z siebie zwierzęcy krzyk, podbiega do Nieznajomego i chwyta go za kołnierz.

FREUD: Niech pan coś zrobi!

NIEZNAJOMY: Musi pójść na przesłuchanie.

FREUD: Niech pan jakoś zadziała! Szybko!

Nieznajomy łagodnie go odpycha, nadal opowiadając, co widzi.

NIEZNAJOMY: Anna dotyka czegoś, co ma w kieszeni... Niezbyt dobrze widzę... Jakaś fiolka...

Freud gwałtownie opada na krzesło.

FREUD (*bezbarwnym głosem*): Wiem, co to jest. Weronal. Poprosiła o niego

Schura, mojego lekarza. Chciała, żebyśmy wszyscy popełnili samobójstwo.

NIEZNAJOMY (*odrywając się na chwilę od swojej wizji*): Proponowała to panu?

FREUD: Tak.

NIEZNAJOMY: I co pan jej odpowiedział?

FREUD: Że ponieważ naziści tylko na to czekają, nie zrobimy tego.

NIEZNAJOMY (*powracając do swojej wizji*): Na razie zadowala się ścisaniem fiolki w dłoni, to dodaje jej pewności. W tym momencie podnosi do ust przedramię i...

Wybuch śmiechem.

FREUD: Co ona robi?

NIEZNAJOMY (*wciąż się śmiejąc*): Gryzie się w rękę do krwi... W porządku... krwawi!

FREUD (*oszalały z przerażenia*): Ale co ją napadło?!

Niezajomy porzuca swoją wizję tak nagle, jakby ktoś wyłączył aparat.

NIEZNAJOMY: W porządku. Wszystko odbywa się tak, jak powinno.

FREUD: Wcale nie! Co się tam dzieje dalej?

NIEZNAJOMY (*odpowiada natychmiast*): Przybiegli gestapowcy. Udało się jej – przyciągnęła ich uwagę, będą ją przesłuchiwać. Są gotowi wymordować tysiące ludzkich istnień, ale zawsze pomogą kobiecie, która krwawi

z lekkiej ranki. Nie martw się – masz naprawdę inteligentną córkę, mój Freudzie...

Ostatnie wiadomości bardzo wstrząsnęły Freudem.

FREUD: Mmy... mmy... mmyślę, że powinienem panu wierzyć.

Nieznajomy kiwa potakująco głową. Uśmiecha się, zbliża się do Freuda i ujmując jego dłonie, ściskając je uspokajająco. Podsuwa mu dokument i pióro, chcąc, żeby Freud go podpisał.

NIEZNAJOMY: W ostatnim miesiącu było w Wiedniu pięćset samobójstw. Przede wszystkim Żydzi.

FREUD: Skąd pan to wie?

NIEZNAJOMY: Czytam gazety. Naziści, by to zdementować, zamieścili notkę ze sprostowaniem, że pogłoski te są mocno przesadzone i że jedynie czterysta osiemdziesiąt siedem osób targnęło się z sukcesem na swoje życie. Ci ludzie bardzo cenią sobie dokładność.

Znów słychać tupanie w przedpokoju i głos Nazisty wykrzykującego rozkazy.

FREUD (*przeżony*): Znowu oni! Co ja mu powiem? Jeżeli się zgodzę, nic nam już nie zostanie.

NIEZNAJOMY: Odwróć sytuację.

FREUD: Jak?

Nieznajomy bierze z biurka jedną z fotografii i wręcza Freudowi.

NIEZNAJOMY: Masz, użyj tego.

FREUD: Zdjęcie? A co ja z nim mogę zrobić? Jak pan myśli, co powinienem mu powiedzieć? Niech pan zostanie ze mną, bardzo proszę...

NIEZNAJOMY: Ej, mój Freudzie, bez tej dziecinady. Powinieneś już nabrać do mnie zaufania.

FREUD: Proszę zostać! Proszę z nim porozmawiać!

NIEZNAJOMY: Śmieszne! Zresztą i tak by mnie nie zobaczył. Dziś wieczór widzisz mnie tylko ty.

SCENA 7

Wchodzi Nazista. Nieznajomy wskakuje za zasłonę. Oglupiały Freud nadal trzyma fotografię, którą wręczył mu Nieznajomy.

NAZISTA: I co, profesorze, zastanowił się pan?

FREUD: Tak, rzeczywiście się zastanowiłem.

Usiłuje zyskać na czasie, chodząc po pokoju.

FREUD (*zamyślony, wpatrując się w Nazistę*): Tak, przepraszam, zamyśliłem się...
(*z całych sił próbuje coś wymyślić*) Znalazłem przypadkiem tę fotografię (*podtyka ją Naziście pod oczy*) i tak sobie pomyślałem...

NAZISTA (*nawet nie patrząc na zdjęcie*): Bez tych wybiegów. Jak mi pan przekaże pieniądze?

FREUD (*odnajdując właściwą taktkę*): Za chwilę... o tym za chwileczkę... No więc znalazłem ten portret i patrząc na niego, pomyślałem o tym, co mi pan mówił na temat swojego nosa, który pozwala wytropić Żydów. Nos, o to chodziło? No więc to dziwne, bo pomyślałem sobie... pomyślałem,

że... Och nie!... na pewno się mylę...

NAZISTA: O co chodzi?

FREUD: Nic, nic... Pomyślałem, że ten pański nos...

NAZISTA (*zaniepokojony*): Tak, słucham?

FREUD: Ten pański nos przypomina kropka w kropkę nos mojego wuja Simona, który był rabinem. (*Nazista odruchowo chwyta się za nos*) Co prawda nie jestem zbyt mocny, jeśli idzie o podobieństwa, ale w tym wypadku, naprawdę... To więcej niż rodzinne podobieństwo... To jest... Niech pan zauważy, że mój nos jest o wiele prostszy, mniej garbaty niż pański... Ale to przecież ja jestem Żydem! A przy okazji, wie pan, że nikt mnie nigdy nie widział w synagodze? No ale to ja jestem Żydem! Choć nigdy nic nie zrobiłem, żeby zdobyć pieniądze... Ale to ja tu jestem Żydem! Niemniej ten nos, to bardzo dziwne... Nigdy panu nic nie mówiono na temat pańskiego nosa?

NAZISTA (*wycofując się*): Muszę już iść.

FREUD: Czy przypadkiem któryś z pana przodków...

NAZISTA: Muszę iść.

FREUD: Tak, ma pan rację, polując na Żydów. Trzeba wybrać swój obóz! I ich zlikwidować! Wszystkich bez wyjątku! Bo to, co sprawia, że Żydzi są tak niebezpieczni, to fakt, że człowiek nigdy nie jest pewien, czy nie jest aby jednym z nich! (*przymilnie*) Ale pan, zdaje się, chciał porozmawiać o pieniądzach, które trzymam za granicą?

NAZISTA (*pojmując szantaż*): Nie ma takiej potrzeby.

FREUD: Chodźmy zatem spotkać się z pańskimi szefami – będę miał przyjemność sobie z nimi porozmawiać... O tych pieniądzach i o tym, że zataił pan przed nimi mój testament... No i o moich amatorskich hipotezach z dziedziny fizjonomiki... Troszkę sobie pogadamy...

NAZISTA: Nie ma takiej potrzeby. Ja... ja nigdy nie poznałem treści pańskiego testamentu...

FREUD: A moja córka? Czy niedługo wróci?

NAZISTA: Niedługo.

FREUD (*z ironicznie pokornym uśmiechem*): Bardzo niedługo?

NAZISTA: To możliwe. A wy niedługo wyjedziecie?

FREUD (*nadal z niby pokornym uśmiechem*): Bardzo niedługo.

NAZISTA: Dobranoc.

FREUD: Dobranoc. (*w chwili, gdy Nazista odwraca się, by wyjść*) Aha, panie gestapowcze, odkryłem, co ja mam z Żyda, a czego panu brakuje... My – moja żona, dzieci i ja – za kilka dni podążymy na wygnanie z naszymi walizami i tobołkami. Zostaniemy wyrzuceni. I pewnie właśnie na tym polega bycie Żydem.

NAZISTA (*chłodno*): Dobranoc.

Nazista wychodzi, a Freud nie potrafi się powstrzymać, aby nie zatrzeć rąk z radości – odniósł zwycięstwo. Kieruje się w stronę zasłony, za którą chowa się Nieznajomy, chcąc uczcić je razem z nim. Ale Nazista znów ukazuje się w progu, przypomniawszy sobie, pomimo swych kłopotów, po co przede

wszystkim zjawił się u Freuda.

NAZISTA: Przy okazji, nie widział pan tu nikogo?

FREUD (*zaskoczony, zaprzecza automatycznie*): Nikogo.

NAZISTA (*zadowolony*): To świetnie.

FREUD: A kogo miałbym zobaczyć?

NAZISTA (*odwracając się*): Nie ma znaczenia, bo i tak pan nikogo nie widział.

FREUD (*podchodząc nieco zbyt spiesźnie do Nazisty*): Ale co się dzieje? Kogo mógłbym zobaczyć?

NAZISTA: To nic takiego, doktorze. Chodzi tylko o zbiega. Skrył się w którymś z domów przy Berggasse. Szukamy go od godziny.

FREUD (*odpowiada natychmiast ze strachem*): Tu go nie ma.

NAZISTA: Wierzę panu. Dobranoc.

Nazista ponownie zbiera się do wyjścia

FREUD: Co to za człowiek? Skąd uciekł? Z więzienia?

NAZISTA: Z domu wariatów. To wariat. Niektórzy twierdzą, że widzieli go koło pańskiego domu. Przeszukujemy piętro po piętrze.

FREUD: Ale co mu dolega? Histeria? Stany lękowe? Psychoza?

NAZISTA (*z profesjonalną pewnością*): Po prostu stuknięty. (*po chwili*) Ale nie jest niebezpieczny. Myślę, że to jeden z tych, którzy wmawiają sobie różne

historie. Wie pan – ci, co się uważają za Goethego albo i Napoleona...

FREUD (*zaniepokojony*): To mitoman!

NAZISTA: Dobranoc. I niech pan na wszelki wypadek dobrze zamknie okna i drzwi...

Wychodzi.

SCENA 8

Freud, załamany, przybity tym, iż utracił swoją świeżą wiarę, stoi nieruchomo.

Nieznajomy powoli wyłania się zza zasłony i zamyka okno.

Odwraca się i kłania się nisko Freudowi.

NIEZNAJOMY: Walter Oberseit.

FREUD (*zgaszony*): Proszę?

NIEZNAJOMY: Walter Oberseit – nazwisko człowieka, którego szukają.

FREUD: To znaczy pańskie.

Nieznajomy nie zaprzecza. Milczy przez chwilę.

NIEZNAJOMY: Walter Oberseit. Nieszczęśnik, który pierwsze dwanaście lat życia spędził zamknięty w piwnicy. Do chwili, kiedy go znaleziono, nigdy nie widział dziennego światła ani nie słyszał żadnego głosu. Znał jedynie ciemność. Następnie całymi miesiącami pozostawał w skrajnym nerwowym i psychicznym wyczerpaniu, aż uznano, że jest imbecylem. A potem, kiedy nauczono go mówić, zaczął wymyślać rozmaite historie

i w swych opowieściach umieszczał się w najrozmaitszych rolach, jakby chciał nadgonić całe swoje utracone życie – uznano więc, że jest mitomanem. (*Freud cierpi tak bardzo, że nie chce tego słuchać*) Nikt nie wymarzył dla niego życia. Nikt nie pochylał się nad jego kołyską, obiecując mu świetlaną przyszłość, sukcesy i najpiękniejsze miłości. Wszyscy wariaci to dzieci, dla których życia nikt nie wymarzył. (*po chwili*) On jest mi bardzo bliski.

FREUD (*spokojnie*): To dziwne. Oszukał mnie pan, a ja nawet nie mam panu tego za złe. (*podchodzi do okna i je otwiera*) Przeciwnie, jakbym odczuł ulgę, jakbym pozbył się bólu, tak jak wtedy, kiedy wyciągnie się cierń...

NIEZNAJOMY: To było zwątpienie.

FREUD (*stojąc przy otwartym oknie*): Dziś wieczór świat jest chory. (*słychać z oddali śpiewy nazistów*) Wokół rozbrzmiewają pieśni nienawiści, zabrano moją córkę, a ja po raz pierwszy w życiu nie mam ochoty leczyć... (*odwraca się do Nieznajomego*) Bo nie będę pana leczył. Ani dziś, ani jutro. Nie wierzę już w psychoanalizę. Nie w tym świecie... (*mówi do siebie*) Czy należy ratować róże, gdy płoną lasy? Jak mógłbym jeszcze uwierzyć w terapię? Przecież to śmieszne leczyć jednego człowieka, kiedy cały świat zwariował?... (*po chwili*) To prawda, że nikt pana nie kochał?

NIEZNAJOMY (*nagle wzruszony*): Naprawdę mnie kochał? Nie wiem...

FREUD (*nie odwracając się*): Gdy nie ma miłości, pozostaje już tylko samotność. (*Nieznajomy jest zbyt poruszony, aby odpowiedzieć*) Czy umiałbym dalej żyć, gdybym nie kochał Anny, Marty, moich synów?

NIEZNAJOMY: Ale w tym, co pan nazywa swoją miłością, jest też ich miłość – ta, którą panu dają w zamian...

FREUD: To prawda.

NIEZNAJOMY: Lecz jeśli kochasz tylko ty, wyłącznie ty...

FREUD (*odwraca się i niezręcznie chwyta Nieznajomego za rękę*): Nie mam do pana pretensji, że mnie pan okłamał. Ale dziś wieczór mogę tylko czekać na moją Anię. Nic innego nie potrafię zrobić. Proszę przyjść jutro. Porozmawiamy... Może... może nie będę umiał pana... pana pokochać, ale będę pana leczył, a to też jest jakiś rodzaj miłości... (*podejmuje decyzję*)
Zajmę się panem.

Nieznajomy nadal trzyma rękę Freuda w dłoniach, a Freud, choć czuje się skrępowany, nie ma sił, by mu na to nie pozwolić.

FREUD: Sam pan widzi, nie ma tu nic więcej oprócz nas dwóch i cierpienia... I dlatego Bóg nie istnieje... Niebo to tylko dach ponad ludzkim cierpieniem – wyżej jest już tylko pustka...

NIEZNAJOMY: Tak pan uważa? Naprawdę?

FREUD: Rozum przegnał duchy... Od tej pory nie będzie już świętych, jedynie lekarze. To człowiek musi zająć się człowiekiem. (*po chwili*) Będę pana leczył.

NIEZNAJOMY (*konfidencyjnym tonem*): Proszę mi powiedzieć... Pan przed chwilą naprawdę uwierzył, że ja jestem... (*wskazuje w górę*)... Nim?

FREUD (*zawstydzony*): Straciłem grunt pod nogami.

NIEZNAJOMY (*rozbawiony*): Ale już pan odzyskał? (*Freud potakuje głową*) Czyli łatwiej uwierzyć panu w Waltera Oberseita niż w Boga?

FREUD: Wie pan, panie Oberseit, jestem starym człowiekiem. Całe życie spędziłem, próbując obronić rozum przed głupotą, leczyć, walczyć z ludźmi o ludzi, bez chwili rozejmu, bez odpoczynku, i co mi z tego tytułu przysługuje? Bywają dni, że moje gardło śmierdzi tak strasznie, że nawet mój pies Toby już się do mnie nie zbliża, tylko siedzi gdzieś w kącie, patrząc na mnie nieszczęśliwym wzrokiem... Chciałbym mieć śmierć zdecydowaną, krótką, a przypadła mi w udziale powolna agonია. Mógłbym przecież tysiące razy szeptem przywoływać imię boże, tysiące razy zapragnąć napić się nektaru boskiego pocieszenia, tysiące razy zatęsknić za wiarą, która dodałaby mi sił w cierpieniu i umieraniu – za każdym razem jednak się opierałem. To by było zbyt proste. Teraz, przed chwilą, uległem, bo to strach myślał zamiast mnie.

NIEZNAJOMY: Trzeba było się poddać.

FREUD: Dość już biorę środków odurzających, więcej mi nie potrzeba.

NIEZNAJOMY: Ale dlaczego nie ten?

FREUD: Bo on usypia ducha.

NIEZNAJOMY: Ale jeżeli pański duch tego właśnie potrzebuje...

FREUD: To nie mój duch tęskni za wiarą, tylko zwierzę, które we mnie mieszka. To moje ciało nie chce pocić się ze strachu – to pragnienie osaczonego zwierzęcia, spojrzenie jelenia, którego dopadła sfora i który

szuka jeszcze drogi ucieczki... Bóg jest krzykiem rozpacz, buntem naszego ciała!

NIEZNAJOMY: Nie chce pan zatem uwierzyć, bo mogłoby to panu pomóc?!

FREUD (*gwałtownie*): Nie wierzę w Boga, bo wszystko we mnie się do tego skłania! Nie wierzę w Boga, bo pragnę w niego uwierzyć! Nie wierzę w Boga, bo gdybym uwierzył, byłbym zbyt szczęśliwy!

NIEZNAJOMY (*nadal nieco figlarnie*): No ale w końcu, doktorze Freud, jeżeli ma się takie pragnienie, dlaczego je odpychać? Po co się pan kontroluje? Gdyby sięgnąć do pańskich prac...

FREUD: To jest niebezpieczne pragnienie!

NIEZNAJOMY: Dlaczego niebezpieczne? Dla kogo?

FREUD: Dla prawdy. Nie można dać się zwieść iluzji.

NIEZNAJOMY: Prawda jest bardzo surową nauczycielką.

FREUD: I wymagającą...

NIEZNAJOMY: I rozczarowuje!...

FREUD: Zadowolenie nie jest miarą prawdziwości. (*wyjaśnia dalej, zatopiony we własnych myślach*) Człowiek żyje w podziemiach, panie Oberseit. Jedyne światło daje mu pochodnia, którą zmajstrował ze strzępków płótna i odrobiny oleju. Wie, że nie będzie świecić wiecznie. Człowiek wierzący posuwa się do przodu, ufając, że na końcu tunelu znajdzie drzwi otwierające się na światłość... Ateista wie, że nie ma tam żadnych drzwi

i że nie ma innego światła niż to, które udało mu się rozpać dzięki swej zaradności... Że na końcu tunelu czeka na niego tylko jego własny koniec... To oczywiste, że to jego bardziej boli, kiedy obija się o ściany... Że to on odczuwa większą pustkę, kiedy straci dziecko... Trudniej mu prowadzić się właściwie... Ale to robi! W jego oczach otaczająca go noc jest okrutna, bezlitosna... Ale on wciąż dąży do przodu. Jego ból staje się coraz bardziej bolesny, przerażenie coraz bardziej przeraźliwe, a śmierć ostateczna... Życie jawi mu się już tylko jako śmiertelna choroba...

NIEZNAJOMY: Ten pański ateista to człowiek, który stracił wszelką nadzieję. Pozostała mu tylko rozpacz.

FREUD: Znam inne miano rozpacz: odwaga. Ateista nie ma już złudzeń – oddał wszystkie w zamian za odwagę.

NIEZNAJOMY: A jaka jest jego nagroda?

FREUD: Szacunek dla samego siebie.

Chwila ciszy.

Nieznamy zbliża się do Freuda. Jest delikatny i wydaje się szczery.

NIEZNAJOMY: Za bardzo jesteście zakochani w tej swojej odwadze.

FREUD: Proszę nie zwracać się do mnie *per ty*.

Milczenie.

NIEZNAJOMY: Gniewa się pan na mnie?

FREUD: Za bardzo boli mnie wszystko, co tylko może mnie boleć, żebym mógł odczuwać gniew.

Nieznajomy znowu bierze go za ręce.

NIEZNAJOMY: Dziękuję. *(po chwili)* Ma mi pan za złe, że dopiero teraz przybyłem. Ale gdybym nawet wcześniej się panu ukazał, nic by to nie zmieniło. Pańskie życie byłoby takie samo – godne, piękne, szczodre...

FREUD *(ze znużeniem)*: Panie Oberseit, niech pan przestanie uważać się za Boga. To, co w głębi pana pozostało zdrowe, bardzo dobrze wie, że to nieprawda.

Uwalnia ręce.

NIEZNAJOMY *(podsumowuje z uśmiechem)*: Tak zatem nie wierzy pan w Boga, tylko w Waltera Oberseita. *(z nutą szacunku)* To dla niego nader pochlebne. *(z rozbawieniem)* Ale skąd pan wie, że Walter Oberseit istnieje?

FREUD: Jestem zmęczony.

NIEZNAJOMY: Nie, nie jest pan zmęczony, myśli pan bez przerwy o Annie. Byłoby to wzruszające, gdyby tak pana nie rozpraszało...

FREUD *(w przypiływie wściekłości)*: W każdym razie dziś wieczór lepiej dla pana, że jest pan tym, kim jest – uzurpatorem... Bo gdyby pan był Bogiem...

NIEZNAJOMY *(z wielkim zainteresowaniem)*: Tak?

FREUD *(wstając)*: Gdyby pan był Bogiem... Bardzo niedobry wieczór pan sobie wybrał... Tak, gdyby tylko Bóg istniał... i stał teraz tutaj przede mną!...

NIEZNAJOMY: Gdyby Bóg istniał?

FREUD: Och, nie na pana jestem wściekły, ale na Boga... Gdyby tylko wylazł z tej nicości, w którą go zesłałem, ja...

NIEZNAJOMY: Gdyby więc stanął pan z Bogiem twarzą w twarz?

FREUD: Gdyby tu stanął przede mną, zażądałbym, żeby zdał rachunek. Zapytałbym go...

Freuda ogarnia coraz większa wściekłość.

NIEZNAJOMY (*zachęcająco*): Zapytałby go pan...

FREUD: Powiedziałbym mu... (*porywczo*) Kazałbym mu wyściubić nos przez okno! Czy Bóg wie, że zło w wysokich podkutych butach przemierza ulice Berlina i Wiednia, a niedługo panoszyć się będzie w całej Europie? Czy Bóg wie, że nienawiść ma teraz własną partię, w której skupiły się wszystkie inne nienawiści? Nienawiść do Żydów, Cyganów, homoseksualistów, do każdego, kto się jej sprzeciwia.

NIEZNAJOMY (*do siebie*): Czyżby naprawdę nie rozumiał?

FREUD: Ale zło nie musiało wcale wylec na ulice, sięgnąć po broń i unurzać się we krwi – dostrzegałem je wszędzie od chwili, gdy siedziałem na pupie na posadzce kuchni i wołałem o pomoc do świata, w którym nie było nikogo, kto by mi odpowiedział. (*podchodząc do Nieznajomego*) Gdybym miał przed sobą Boga, rzuciłbym mu w twarz, że kłamał, obiecując tak wiele.

NIEZNAJOMY: Kłamał, obiecując tak wiele?

FREUD: Zło – to przyrzeczenie, którego się nie dotrzymuje. (*myśli na głos*) Bo

czymże jest śmierć, jeśli nie obietnicą życia, które pulsuje w mojej krwi, pod moją skórą? Obietnicą, która została złamana? Kiedy się dotykam lub daję się porwać upojeniu ducha, czystemu szczęściu istnienia, nie czuję się śmiertelny. Nigdzie tam nie ma śmierci. Nie czuję jej ani w brzuchu, ani w głowie – ja tylko wiem, że istnieje, bo o niej słyszałem, bo o niej mówią. Czy w ogóle wiedziałbym o śmierci, gdyby mi nikt o niej nie powiedział? A ona atakuje znienacka, od tyłu. Ja przecież wyruszałem w inną drogę – na początku myślałem, że jestem nieśmiertelny. Śmierć nie dlatego jest złem, że oznacza nicość – jest złem, bo przedtem obiecano mi życie wieczne, by tego nie dotrzymać. I to jest wina Boga!

A czym jest ból, jeśli nie zaprzeczeniem nienaruszalności ciała? Tego doskonale skończonego ciała, stworzonego do biegania i zabawy, które nagle staje się niepełne, otepiałe, popsute. Zostało oszukane. Nie, ból wcale nie mieszka w ciele. Każda rana zadawana jest duszy – a każda rana to właśnie niedotrzymana obietnica. I to jest wina Boga!

A cierpienia psychiczne? – to zło, którym ludzie wzajemnie się torturują – czy to nie jest zerwanie pokoju? Bo gdzie to życie, które obiecywały ciepłe piersi matki, kiedy wtulałeś w nie głowę? Gdzie tamta czułość w jej głosie, kiedy jeszcze nie rozumiałeś znaczenia słów? Gdzie ta jedność ze światem, którą poznajemy najpierw – wtedy, kiedy świat ogranicza się do dwóch pełnych miłości dłoni, pieszczących nas, podających smoczek, usypiających nas? Dokąd odeszło to wszystko? Co jest powodem tej wiecznej wojny? Niedotrzymana obietnica! I znowu winien jest Bóg!

Ale największe zło – tak, najdotkliwsze ostrze zła, całe istnienie nie ukoji zadanych nim ran – to ten tak ograniczony umysł bez polotu, ogłupiony właśnie zdolnością myślenia. Mogłoby się zdawać, że Bóg wyposażył nas w umysł tylko po to, żebyśmy mogli poznać, jak bardzo

rozum jest ograniczony – Bóg dał nam pragnienie, ale odmówił napoju. Wierzmy, że w końcu zrozumiemy wszystko i wszystko poznamy; wierzymy, że zdolni jesteśmy do najbardziej niebywałych odkryć, do budowania najsubtelniejszych konstrukcji, ale umysł porzuca nas po drodze. Nie dowiemy się wszystkiego i niewiele z tego zrozumiemy. Nawet gdyby przyszło mi żyć jeszcze trzysta tysięcy lat, nadal niezliczone gwiazdy pozostałyby zupełnie nieznanymi, a ja dalej szukałbym odpowiedzi, co właściwie robię na tej ziemi, tkwiąc nogami w błocie! Ograniczenie naszego umysłu – oto ostatnia z jego niespełnionych obietnic.

Życie byłoby piękne, gdyby nie okazało się oszustwem...

Byłoby łatwe, gdybym nie uwierzył w to, że powinno być długie, spełnione, szczęśliwe...

NIEZNAJOMY: Zbyt wiele oczekiwałeś.

FREUD: Trzeba mnie było uczynić głupszym, żebym nie oczekiwał... I tak to, panie Oberseit, jeżeli Bóg by istniał, okazałby się kłamcą. Obiecowałby, a potem odbierał! Czyniłby zło. Bo złem jest właśnie obietnica, której się nie dotrzymuje.

NIEZNAJOMY: Proszę mi pozwolić wyjaśnić.

FREUD: Wyjaśnianie tego to absurd – nie chcę żadnych wyjaśnień. Gdyby Bóg był zadowolony ze swojego dzieła, byłby osobliwym Bogiem – okrutnym, podstępny, zbrodniczym sprawcą ludzkich nieszczęść! Byłoby wtedy lepiej dla niego samego, żeby nie istniał. Prawdę mówiąc, gdyby Bóg istniał, mógłby być tylko diabłem...

Nieznajomy nagle się wzdraga.

NIEZNAJOMY: Freud!

FREUD: Walterze Oberseit, jesteś szarlatanem – oszustem godnym podziwu. Ale musisz uznać wyższość prawdziwego mistrza w tym względzie – Pana Boga.

NIEZNAJOMY: Pan bredzi.

FREUD: Gdyby więc Bóg stanął przede mną dziś wieczór, w ten wieczór, gdy świat zalewa się łzami, a moja córka wpadła w szpony gestapo, wolałbym mu rzucić w twarz, że nie istnieje: „Nie ma cię! Jeżeli to prawda, że jesteś wszechmocny, to znaczy, że jesteś zły. A jeśli nie jesteś zły, to znaczy, że niewiele możesz. Obojętne, czy jesteś zbrodniarzem, czy brak ci siły – i tak jesteś Bogiem, który nie dorasta do swej roli. Nie ma potrzeby, byś istniał. Atomy, ich zderzenia, przypadek w zupełności wystarczą, aby wytłumaczyć tak nieudany świat. Jesteś co najwyżej bezużyteczną hipotezą”.

NIEZNAJOMY (*tagodnie*): A wtedy Bóg odpowiedziałby panu tak: „Gdybyś mógł – jak ja teraz – zobaczyć nadchodzące lata, stałbyś się jeszcze bardziej zjadliwy, ale skierowałbyś swoje oskarżenia pod adresem prawdziwego winowajcy”. (*mrużąc oczy*) Gdybyś potrafił zajrzeć w przyszłość... (*głosem wizjonera pogrążonego w transie*) Ten wiek będzie jednym z najdziwniejszych, jakie przeżyła ta ziemia. Będą go nazywać wiekiem człowieka, ale to będzie wiek wszelkich plag. Na Wschodzie pojawi się zaraza czerwona, a tu, na Zachodzie, brunatna. Rozprzestrzenia się już pośród murów Wiednia, a to tylko pierwsze jej wypryski; wkrótce obejmie niemal cały świat, prawie nie napotykając oporu. Wyrzucają stąd pana, doktorze Freud? Niech się pan uważa za szczęśliwca! Ci, co tu

zostają – twoi przyjaciele, uczniowie, twoje własne siostry i tylu innych niewinnych ludzi – oni wszyscy zginą. Setka za setką, tysiąc po tysiącu, pod fałszywymi prysznicami, z których zamiast wody będzie dobywał się gaz. I to ich bracia uprzątną trupy i wrzucą do dołów. A wie pan – naziści z ich tłuszczu będą wyrabiać mydło... Przyzna pan, że to dziwne, podmywać się czymś, czego się nienawidzi?

I nadejdą jeszcze inne zarazy, a u źródeł ich wszystkich stoi jeden bakcyl: ten sam, który nie pozwala ci uwierzyć we mnie – pycha! Nigdy jeszcze ludzka pycha tak się nie rozdeła. Był czas, że zadowalała się rzuceniem wyzwania Bogu, dziś jednak chce go zastąpić. A jest w człowieku coś z Boga – i to właśnie to pozwala mu teraz zaprzeczać boskiemu istnieniu. Tylko to może was zadowolić. Oczyszciliście plac: teraz świat jest już tylko dziełem przypadku, bezładnym pomieszaniem molekuł! A jako że nie ma żadnego władcy, to wy stanowicie prawa. Zapanować nad światem! – nigdy więcej to szaleństwo nie będzie już tak gwałtowne jak dziś! Chcecie panować nad naturą – i skalacie ziemię, a chmury staną się czarne od dymu! Chcecie panować nad materią – i sprawicie, że zatrzęsie się Ziemia! Chcecie politycznej władzy – i stworzycie totalitaryzm! Chcecie panować nad życiem – i będziecie wybierać sobie dzieci z katalogu! Chcecie władzy nad własnym ciałem – i tak wystraszyście się choroby i śmierci, że za wszelką cenę będziecie woleli wegetować niczym warzywa w szklarni! Chcecie panowania nad duchem – uznacie zatem, że to ludzie ustalają prawa i że w gruncie rzeczy wszystko jest tyle samo warte, a to znaczy, iż nie ma już żadnych wartości! Bóg – jedyny, który przetrwa – obróci się w pieniądź i zbudują mu w miastach niezliczone świątynie. I od tej pory, pod nieobecność Boga, ludzie będą się mogli oddawać głębokim rozmyślaniom.

Najpierw pogratulujecie sobie, że udało się wam zabić Boga. Bo

jeżeli nic mu już nie jesteście winni, wszystko należy się człowiekowi. Na początku pycha niczego się nie boi. Przypiszecie sobie na wyłączność zdolność myślenia. Nigdy jeszcze historia nie zaznała filozofów równie ponurych, a jednocześnie tak uszczęśliwionych.

Ale, mój Freudzie – i ty tego jeszcze nie dostrzegasz – świat sam pozbawi się światła. Kiedy jakiś młody człowiek, którym targać zaczną wątpliwości – bo tak to już jest w tym wieku – zapyta starszych: „Proszę, powiedzcie mi, jaki jest sens życia” – nikt nie będzie potrafił dać mu odpowiedzi.

I to będzie wasze dzieło.

Twoje i wielu innych.

Oto, czego dokonacie wy, wielcy tego świata: wytłumaczycie życie przez życie i człowieka przez człowieka. I co z niego pozostanie? Szalencie zamknięty w celi, samotnie rozgrywający partię szachów pomiędzy swą nieświadomością a świadomością! Po tobie ludzkość ostatecznie pozostanie sama w swym więzieniu. Ty, ty jeszcze jesteś upojony zdobyczą, jak ci, którzy karczują ugór, budują fundamenty... Ale pomyśl o innych, o tych, którzy nadejdą potem – jaki świat im pozostawisz? Objawiony ateizm! Przesąd jeszcze głupszy od wszystkich poprzednich!

FREUD (*wstrząśnięty*): To nie tego chciałem...

Freud zdaje sobie nagle sprawę, że właśnie rozmawiał z Nieznajomym, jakby tamten był Bogiem. Chwyta się rękami za głowę, wzdycha i usiłuje się opanować.

FREUD: Walterze Oberseit, jest pan nadzwyczaj inteligentny i bez wątpienia bardzo nieszczęśliwy. Ale ja zupełnie nie jestem specjalistą od przepowiadania przyszłości i, prawdę mówiąc, niezbyt w tym gustuję... Myślę, że byłoby lepiej, gdyby pan wrócił do siebie.

NIEZNAJOMY: Do domu wariatów?

FREUD: Zobaczymy się jutro, obiecuję panu.

NIEZNAJOMY: Proszę mnie zatem dostarczyć swojemu przyjacielowi
Naziście – będzie szczęśliwy, że udało się mnie złapać, a pan urośnie
w jego oczach!

FREUD: Nie, pan sam tam wróci, do swojego pokoju...

NIEZNAJOMY (*prostuje*): Do celu! (*po krótkiej chwili*) Fakt, że dzisiaj uznanie za
wariata zapewnia chwilowe bezpieczeństwo.

Zapada cisza. Bardzo zdenerwowany Freud sięga po cygaro, mimo iż pali go w gardle. Nieznajomy przygląda się z czułością, jak to robi, a potem siada przed nim.

NIEZNAJOMY: Ale czemu pan sobie na to nie pozwala?

FREUD (*odruchowo*): Pozwolić sobie? Nigdy! A właściwie na co?

NIEZNAJOMY: Nie pozwala sobie na to, by uwierzyć.

FREUD (*niemal obsesyjnie*): A co by ze mną było, gdybym sobie pozwolił?
Stałbym się małym żydowskim lekarzyną na emeryturze. Przez całe życie
leczyłbym tylko katary i zwichnięcia! (*wstaje*) Nie potrzebuję wiary.
Potrzebuję pewności. Pozytywnych rezultatów. I nie wystarczy, żeby
jakiś szaleniec, nawet najbardziej błyskotliwy, wygłosił mowę, która...
(*nagle coś wpada mu do głowy*) Jest pan Walterem Oberseitem – tak czy nie?

NIEZNAJOMY: A jak pan przypuszcza?

FREUD: Postawiłem panu pytanie. Czy jest pan Walterem Oberseitem?

NIEZNAJOMY: Skłaniałbym się do odpowiedzi przeczącej. Ale Walter Oberseit też by zaprzeczył.

FREUD (*odnajdując energię*): Świetnie. Podaje się pan za Boga? Niech pan to udowodni.

NIEZNAJOMY: Proszę?

FREUD: Jeżeli jest pan Bogiem, niech pan to udowodni! Ja wierzę tylko w to, co zobaczę.

NIEZNAJOMY: Przecież pan mnie widzi.

FREUD: Widzę tylko jakiegoś człowieka.

NIEZNAJOMY: Musiałem się w coś wcielić. Gdybym się pojawił jako pająk albo, nie przymierzając, nocnik, do niczego byśmy nie doszli.

FREUD: Niech pan zrobi cud.

NIEZNAJOMY: Pan żartuje?

FREUD: Niech pan zrobi jakiś cud!

NIEZNAJOMY (*wybuchając śmiechem*): Freud, doktor Sigmund Freud, jeden z największych umysłów tego wieku i w ogóle ludzkości, prosi mnie o cud... Życzy pan sobie, przyjacielu, żebym w co się zamienił? W szakala? W słońce? W krowę? W Zeusa na tym jego tronie z chmur? W Chrystusa krwawiącego na krzyżu? W Dziewicę Marię w grocie? Zakładałem dotąd, że moje cuda zarezerwowane są dla prostaczków...

FREUD (*z wściekłością*): Głupcy wszędzie widzą cuda, trudniej jest zwieść

naukowca. Doprawdy szkoda, że Bóg jakoś nigdy nie uczynił cudu na Sorbonie czy w jakimś laboratorium.

NIEZNAJOMY (z sarkazmem): Cudem byłoby, gdyby pan mi wierzył.

FREUD (*sucho*): No to proszę: oto cud!

NIEZNAJOMY: Śmieszne! (*nagle się zgadza*) Więc niech tak będzie! (*wygląda na to, że się zastanawia*) Jest pan gotów? Może pan potrzymać moją laseczkę?

Wyciąga laskę w stronę Freuda, który odruchowo ją chwyta; w tej samej sekundzie laska zmienia się w bukiet kwiatów.

Zaskoczony Freud na moment zastyga w osłupieniu.

Widząc jego minę, Nieznajomy wybucha śmiechem.

Freud pojmuję, że to sztuczka i jak groteskowe było jego żądanie. Rzuca bukiet na ziemię.

FREUD: Proszę natychmiast stąd wyjść! Nie tylko jest pan mitomanem, ale ma pan do tego sadystyczne skłonności. Jest pan po prostu sadystą!

Nieznajomy śmieje się nadal, co jeszcze bardziej irytuje Freuda.

FREUD: Sadystą, który korzysta z okazji i rozkoszuje się chwilą mojej słabości!

Nieznajomy nagle przestaje się śmiać i staje się niemal surowy.

NIEZNAJOMY: Gdyby nie twoja słabość, to jak miałbym się tu dostać?

FREUD: Wystarczy! Nie chcę więcej słyszeć! Skończmy z tym raz na zawsze! Wyłaź przez to okno i wracaj do siebie!

Słychać uprzejme pukanie do drzwi.

FREUD (*rozjaśnia się*): Tak!

SCENA 9

Nazista wchodzi nieomal z szacunkiem.

Nieznajomy, widząc go, kryje się szybko w ciemnym kącie gabinetu. Freud patrzy na to z sarkazmem.

NAZISTA (z uniżeniem): Pozwoliłem sobie tylko, panie profesorze, wpaść tutaj, bo chcę zwrócić ten dokument... Pański testament... którego zresztą nigdy nie miałem w ręku.

Spogląda na Freuda pytająco, by sprawdzić, czy Freud jest gotów podtrzymać jego wersję.

FREUD: Gdzie jest moja córka?

NAZISTA: Właśnie ją przesłuchują, ale to już nie potrwa długo. Czysta rutyna, tak myślę. W każdym razie pozwoliłem sobie użyć moich wpływów w tej sprawie.

W odpowiedzi Freud wyciąga rękę, by odebrać od niego testament.

FREUD: Bardzo dobrze. Nie zatrzymuję pana.

Nazista niezręcznie wykonuje ruch, jakby chciał zaszalutować i próbuje wyjść.

NAZISTA: Aha, chciałem jeszcze panu powiedzieć, że ten wariat... ten, który uciekł... Znaleźliśmy go.

FREUD: Co proszę?

NAZISTA: No wie pan, ten obłąkany, który uciekł z azylu... Schował się za śmieciami na waszym podwórzu. Odwieźliśmy go do czubków.

FREUD: Czemu pan mi o tym mówi?

NAZISTA: Proszę wybaczyć, zdawało mi się, że to pana interesuje.

Znowu zbiera się do wyjścia.

FREUD: Jest pan tego zupełnie pewien?

NAZISTA: A o co chodzi?

FREUD: O wariata. Czy to na pewno był on?

NAZISTA: Z całą pewnością.

FREUD: Walter Oberseit?

NAZISTA: Jakoś tak się nazywa... Znał go pan? W każdym razie w azylu byli bardzo zadowoleni, że tak szybko udało się go odszukać. Podobno, jak jest w formie, każdemu potrafi wmówić absolutnie wszystko!... No, ale sprawa skończona, znalazł się w zamknięciu – my się jednak znamy na swojej robocie. Dobranoc.

FREUD (*przybity*): Dobranoc.

Nazista wychodzi.

SCENA 10

Freud zapala ogromne cygaro, chcąc opanować wzburzenie.

Nieznajomy, który znów się ukazał, spogląda na niego ze współczuciem. Podchodzi do Freuda i delikatnie wyjmuję mu cygaro z dłoni.

NIEZNAJOMY: Śmierć cię już spala. Nie ma sensu dolewać oliwy do ognia...

Freud pozwala sobie odebrać cygaro. Wydaje się uspokojony.

Chwila ciszy.

Freud zaczyna wpatrywać się intensywnie w Nieznajomego.

FREUD: Dlaczego przyszedłeś?

NIEZNAJOMY (*z lekkim zakłopotaniem*): Mówi pan to, bo pan uwierzył, czy znowu chce pan mnie się pozbyć?

FREUD: Dlaczego pytasz?

NIEZNAJOMY (*wymijająco*): Nie wydaje mi się pan szczery.

FREUD (*łagodnym, autorytatywnym głosem wybitnego terapeuty*): To pan nie jest ze mną szczery. Dlaczego pan tu przyszedł? Nie powinien pan ukrywać przede mną prawdy.

NIEZNAJOMY: Niech będzie. Chcę pana...

Nieznajomy zachowuje się nagle, jakby dopadł go nagły atak choroby.

NIEZNAJOMY (*z przerażeniem*): Doktorze! Puchnie mi gardło...

FREUD (*spokojnie*): Widzę – i strasznie pan poczerwieniał.

NIEZNAJOMY: W głowie mi szumi... co się ze mną dzieje?

FREUD: To tylko wstyd.

NIEZNAJOMY: Zawsze tak jest, kiedy zamierza się powiedzieć prawdę? Rozumiem teraz, dlaczego ludzie tak często kłamią. (*rozbawiony*) Tak to bywa, jeżeli się za dobrze wcielić!

FREUD (*wpatrując się w niego intensywnie*): Dość tych wykrętów. Dlaczego pan tu

przyszedł?

NIEZNAJOMY (*zdecydowanie*): Nie po to, by pana nawrócić.

FREUD: No więc?

NIEZNAJOMY: Z nudów.

FREUD: Żartuje pan...

NIEZNAJOMY: Niech się pan strzeże najprostszych wyjaśnień – często okazują się prawdziwe. (*po chwili, z lekka prowokująco*) Nie, nie chodzi o nudę – to tylko złość. Po prostu wam zazdroszczę.

FREUD: Czego?

NIEZNAJOMY (*niczym dandys z Oscara Wilde'a*): Tego, że jesteście ludźmi. Że jesteście zwierzętami, jesteście ograniczeni i głupi. Myśli pan, że być Bogiem to los godny pożądania? (*siada, elegancko zakładając nogę na nogę*) Mam wszystko, jestem wszystkim i wszystko wiem. Jestem spełniony, nasycony, pełen jak jaje, spasiony do granic, zdegustowany od zarania świata! Bo czegoż mógłbym pragnąć, czego bym nie posiadał? Niczego – oprócz końca! Bo ja nie mam końca... Nie mam prawa do śmierci ani do tego, co potem... Nic mi nie pozostało... Nie mogę nawet w nic wierzyć, pominąwszy siebie... Zdajesz sobie sprawę, jak to jest być Bogiem? To jedyne więzienie, z którego nie ma ucieczki.

FREUD: A my?

NIEZNAJOMY: Co: my?

FREUD: Ludzie. (z wahaniem) Czy aby... Czy my aby nie jesteśmy twoją zabawką?

NIEZNAJOMY: Czytuje pan swoje książki? (*Freud przecząco kręci głową; Nieznajomy podsumowuje świat*) Nic ponad tobą – wszystko pod tobą. Robię, co mogę, ale gdziekolwiek się udam, spotykam tylko siebie i dzieła mojego stworzenia. Ludziom nawet nie przyjdzie do głowy, że Bóg jest skazany na tak marne towarzystwo! Bycie wszystkim to potworna nuda... I samotność...

FREUD (*łagodnie*): Samotność władcy...

NIEZNAJOMY (*w zamyśleniu, jak echo*): Samotność władcy...

Z ulicy dochodzą odgłosy pościgu. Naziści ścigają jakichś ludzi. Krzyki trwogi uciekinierów. Wrzaski nazistów.

NIEZNAJOMY (*nagle*): Wierzy mi pan?

FREUD: Absolutnie nie.

NIEZNAJOMY (*z ulgą*): Ma pan rację.

Na ulicy zatrzymano kobietę i mężczyznę. Słysząc, jak krzyczą pod uderzeniami. Staje się to nie do zniesienia.

Freud wstaje pośpiesznie, chcąc podejść do okna.

Nieznajomy staje przed nim, broniąc mu dostępu.

NIEZNAJOMY: Nie, proszę!

FREUD: I pan im na to pozwala!

NIEZNAJOMY: Uczyniłem człowieka wolnym.

FREUD: Wolnym w czynieniu zła!

NIEZNAJOMY (*nie pozwala mu przejść; krzyki wzmagają się*): Wolnym zarówno w tym, co dobre, jak i w tym, co złe – nie może być innej prawdziwej wolności.

FREUD: Więc to nie pan za to odpowiada?

Za całą odpowiedź Nieznajomy odsuwa się nagle; Freud podchodzi spieszenie do okna.

Krzyki cichną. Słychać tylko oddalający się stukot butów o bruk.

Nieznajomy opada na krzesło.

FREUD: Aresztowali dwoje ludzi. Zabierają ich z sobą... (*odwraca się w stronę Nieznajomego*) Dokąd ich zabierają?

NIEZNAJOMY (*bezsilnie*): Do obozu koncentracyjnego...

FREUD: Do obozu?

Freud, wstrząśnięty tą wiadomością, zbliża się do Nieznajomego, który zdaje się jeszcze bardziej przygnębiony niż on.

FREUD: Niech im pan nie pozwoli! Niech pan im nie pozwala na to wszystko! Jak pan sobie wyobraża, że po tym będzie jeszcze można wierzyć w Boga! Dostyc tego!

Chwyta Nieznajomego za kołnierz.

NIEZNAJOMY: Nie potrafię.

FREUD: No już! Niech pan coś zrobi! Natychmiast trzeba powstrzymać ten koszmar!

NIEZNAJOMY: Nie mogę. Już za późno!

Uwalnia się z rąk Freuda, zbiera siły i idzie zamknąć okno – nie słysząc już przynajmniej stukotu butów o bruk.

Wyczerpany opiera się o szybę.

FREUD: Jesteś wszechmogący!

NIEZNAJOMY: Nie. W chwili, kiedy dałem ludziom wolną wolę, przestałem być wszechmocny i wszechwiedzący. Mógłbym wszystko kontrolować i wiedzieć wszystko z góry, gdybym stworzył automaty.

FREUD: Więc po co było stwarzać ten świat?

NIEZNAJOMY: Z tego samego powodu, który jest przyczyną wszystkich głupot... Który jest przyczyną wszystkiego, bez którego nie istniałoby nic... Z miłości.

Patrzy na Freuda, który zdaje się czuć nieswojo.

NIEZNAJOMY: Nie umiesz mi spojrzeć w oczy, mój Freudzie. Nie chcesz tego, co? Nie chcesz Boga, który kocha? Wolałbyś Boga, który grzmi, mściwie stroszy brwi, marszczy czoło, a w ręku trzyma piorun? Wy, ludzie, wolicie takich bogów – strasznego Ojca, zamiast takiego, który by was kochał...

Zbliża się do siedzącego Freuda i pada przed nim na kolana.

NIEZNAJOMY: A dlaczego miałbym was stworzyć, jeśli nie z miłości? Ale wy nie chcecie boskiego współczucia, nie chcecie Boga, który potrafi płakać... który cierpi... (z czułością) Tak, tak – pragnąłbyś Boga, przed którym bije się czołem, a nie takiego, który przed tobą pada na kolana...

Kłęczy przed Freudem, trzymając go za rękę. Freud wstydliwie odwraca wzrok.

Nieznamy podnosi się i zbliża do okna, zza którego dochodzi muzyka. Kiedy otwiera okno, słysząc hitlerowskie pieśni.

NIEZNAJOMY: Pięknie śpiewają, prawda?

FREUD: Niestety. Gdyby głupota zawsze była brzydka...

NIEZNAJOMY: Piękno... Wy, ludzie, bardzo to lubicie.

FREUD (*zaskoczony*): A pan nie?

NIEZNAJOMY: Och ja!... (*przypomina sobie*) Tak, kiedyś sam byłem zaskoczony... Pewnego razu zdarzyło się... (*podnosi głowę i głęboko wdycha powietrze; jednocześnie słychać narastający, niewyraźny z początku śpiew. Freud nadstawia ucha*) Znam szepty obłoków, pieśń dzikich gęsi, kiedy lecą w kluczu do Afryki, znam marzenia kretów, miłosne krzyki dżdżownic i przeszywający dźwięk komety przecinającej niebo, ale to... (*śpiew staje się coraz wyraźniejszy*) tego nie znałem. (*muzyka jest coraz głośniejsza – to aria Hrabiny Dove sono i bei momenti z Wesela Figara*) W pierwszej chwili pomyślałem, że to jeden z ziemskich wiatrów zabłąkał się gdzieś na Drodze Mlecznej... Uwierzyłem nagle, że miałem kiedyś matkę, która gdzieś w największej głębi nieskończoności czekała na mnie z otwartymi ramionami... Zdawało mi się...

FREUD: Co to jest?

NIEZNAJOMY: Mozart. Żeby łatwiej było panu uwierzyć w człowieka...

Muzyka trwa. Freud siedzi przy biurku z głową opartą na rękach i słucha Mozarta z zamkniętymi oczyma.

Nieznajomy znika za zasłoną; Freud tego nie dostrzega.

Anna wpada raptownie do pokoju. Zatrzymuje się na widok ojca siedzącego przy biurku. Freud jeszcze jej nie zauważył.

Anna staje przed nim i mówi z przejęciem.

ANNA: Tato!

Muzyka cichnie.

Freud budzi się z rozmarzenia, wydając z siebie chrapliwy krzyk, w którym wielki ból miesza się z wielką radością, a potem szepce:

FREUD: Anna...

Rzucają się sobie w ramiona.

Freud, ze łzami w oczach, przytula ją jak małą dziewczynkę.

FREUD: Moja Ania... Moje szczęście, moje strapienie, moja duma i podpora...

Anna przytula się mocniej do niego.

FREUD: Nie zrobili ci krzywdy?

ANNA: Nawet mnie nie dotknęli.

Freud jeszcze wzmaga uścisk.

ANNA: Przesłuchiwali mnie w sprawie naszego towarzystwa... Chcieli wiedzieć, czy Międzynarodowe Stowarzyszenie Psychoanalityczne ma charakter polityczny... Udało mi się ich przekonać, że jest wręcz odwrotnie... Tato, to o ciebie się martwię... (*Freud lekko rozluźnia uścisk*) Opisałam im nas jako bandę nieszkodliwych amatorów... Wstyd mi za to... (*zapanowuje nad sobą*) Nie możemy czekać ani sekundy. Słyszałam tam straszne rzeczy: zdaje się, że wywożą Żydów do obozów, a potem nie ma o nich już żadnych wiadomości...

FREUD (*ponuro*): Wiem.

Anna spogląda na niego ze zdziwieniem, ale mówi dalej.

ANNA: Jest jeszcze coś gorszego, tato – Żydzi milczą. Pozwalają się zamknąć na gestapo i czekają godzinami bez najmniejszego protestu. Wyzywają ich, plują na nich, wysyłają do obozu, a oni nic nie mówią. (*krąży po pokoju z wściekłością*) Zachowują się, jakby byli winni! Co oni zrobili, żeby na to zasłużyć? Chodzi o to, że są Żydami? A co to za zbrodnia? Co oni zawinili? A mała Masza, twoja świeżo narodzona wnuczka – czemu niby jest winna? Że się urodziła? Że żyje?

Freud bierze do ręki swoje oświadczenie.

FREUD: Tak, wyjeżdżamy.

ANNA: Wyjedziemy i powiemy, co widzieliśmy. Powiemy o tym całemu światu.

FREUD: Wyjedziemy i będziemy milczeć, bo w Wiedniu zostają moje siostry – to one by za to zapłaciły... Tutaj zostaną Żydzi, na których oni zemściliby się za nasze zuchwalstwo...

ANNA: Ty też? Ty też zamierzasz milczeć?!

FREUD: Ja w każdym razie noszę już moją śmierć w gardle.

Anna rzuca się w jego ramiona.

FREUD: Wyjeżdżamy, córeczko.

Otwiera wieczne pióro i zabiera się do podpisania dokumentu, ale nagle dostaje ostrego ataku kaszlu.

ANNA: Palłeś!

FREUD: Czekałem na ciebie.

ANNA: I co z tego? Nie wolno ci palić!

Freud łapie się za gardło, które go w tej chwili bardzo boli.

FREUD: Pętla się zaciska, Aniu. *(zbierając siły)* Wyjeżdżamy. Zachowałem się nieodpowiedzialnie – naraziłem cię na wielkie niebezpieczeństwo, zostając tutaj. Myślałem tylko o mojej starej wiedeńskiej skórce... A ona tak mało już znaczy...

Nagle zdaje sobie sprawę, że Nieznajomy zniknął; zastyga z piórem w powietrzu.

FREUD: Ale gdzie on się podział? Chcę, żebyście się poznali. Był tu jeszcze przed chwilą...

ANNA: O kim ty mówisz?

FREUD *(idzie zajrzeć za zasłonę)*: Miałem wizytę, kiedy ciebie nie było. Niezwykłą wizytę, która przywróciła mi nadzieję...

ANNA: Kto tu był?

FREUD *(triumfalnie)*: Nieznajomy! Odwiedził mnie ktoś, kogo warto poznać. Nic więcej nie mogę ci powiedzieć. *(szukając wszędzie Nieznajomego)* Ale zastanówmy się, przecież nie wyszedł... Ani przez okno, ani przez drzwi... Rozmawialiśmy, kiedy wróciłaś.

ANNA: Byłeś sam.

FREUD: Musiał się schować, kiedy cię zobaczył. Właśnie się spieraliśmy.

ANNA *(łagodnie)*: Tato, kiedy weszłam, siedziałeś za biurkiem w pozie,

w jakiej zwykle drzemiesz.

FREUD (*poruszony*): Nie spałem. To niemożliwe.

ANNA: No więc gdzie jest ten twój gość?

Freud uderza gwałtownie w zasłony.

FREUD: Nie spałem, wcale nie spałem! Nie słyszałaś tamtej muzyki?

ANNA: Zaparzę nam ziółka i opowiesz mi swój sen.

Wychodzi.

SCENA 12

Nieznajomy wchodzi drzwiami dosłownie po kilku sekundach od jej wyjścia.

Ze wzruszeniem, doprawionym odrobiną kpiny, przypatruje się Freudowi, który nadal go szuka.

NIEZNAJOMY: Chciałbym jednak przerwać te poszukiwania.

FREUD (*odwracając się*): Gdzie pan był?

NIEZNAJOMY: Pewna potrzeba, związana z fizycznym wcieleniem...

Freud nie rozumie – Nieznajomy pokazuje gestem, że musiał się wysiusiać.

NIEZNAJOMY: Niesłychane zjawisko! Miałem wrażenie, że jestem fontanną.

FREUD: Proszę zostać. Anna musi pana zobaczyć.

NIEZNAJOMY: Nie.

FREUD: Tak...

NIEZNAJOMY: Opowie jej pan o mnie...

FREUD: Ona też pana potrzebuje. Szczególnie dziś wieczorem.

NIEZNAJOMY: Jeżeli jest równie uparta jak pan, to może być bardzo długi wieczór...

FREUD: Bardzo pana proszę...

NIEZNAJOMY (*zgadza się*): Na pańskie ryzyko...

SCENA 13

Wchodzi Anna, niosąc na tacy bogaty zestaw do parzenia ziółek.

Z początku nie dostrzega Nieznajomego.

Rozgrywa się pantomima, podczas której Freud usiłuje umieścić Nieznajomego w jej polu widzenia, podczas gdy Anna bez przerwy odwraca się plecami w ostatniej chwili.

W końcu zdesperowany Freud się odzywa.

FREUD: Nie widzisz mojego gościa?

Anna się odwraca i na widok Nieznajomego mówi spokojnie, niemal żałobnym tonem.

ANNA: Ach, to pan? (*z wymuszoną uprzejmością*) Proszę usiąść. Zechce się pan zapewne napić z nami? Przyniosę filiżankę.

Wychodzi, zostawiając ich, oniemiałych ze zdziwienia.

SCENA 14

Freud, oszołomiony zachowaniem Anny, zwraca się do Nieznajomego z pytaniem.

FREUD: „Ach, to pan”! Jak to: „Ach, to pan”? Wy się znacie?

NIEZNAJOMY: Zapewniam pana, że nie. Nie mam pojęcia, o co jej chodzi.

Anna wraca.

SCENA 15

Anna przynosi gorącą wodę i dodatkową filiżankę.

FREUD: Znasz... znasz tego pana?

ANNA: Tak, oczywiście. Z widzenia...

FREUD: A za kogo go uważasz?

ANNA: Proszę?

FREUD: Myślisz, że kto to jest?

ANNA: Uważam go za tego, kim jest.

FREUD (*rozdrażniony*): A poza tym?

ANNA: Ojczy, nie chcę być niegrzeczna wobec twego gościa.

FREUD: Anno, kim, według ciebie, jest ten pan?

ANNA: To człowiek, który od dwóch tygodni co dzień lezie za mną, kiedy po południu idę do przedszkola. Nigdy nie zapomina obdarzyć mnie

uśmiechem, na który nie odpowiadam, i mrugnając do mnie okiem – oczywiście udaję, że tego nie widzę. Krótko mówiąc, ten pan jest źle wychowany.

NIEZNAJOMY: Zapewniam panią, że nigdy...

ANNA: Niech pan przestanie. Nie mogę powiedzieć, żeby w ogóle mi się pan szczególnie podobał, ale podoba mi się pan jeszcze mniej, kiedy napastuje pan mojego ojca, aby dotrzeć do mnie. Męczy go pan i nic pan przez to nie zyskuje. Raczej odwrotnie.

NIEZNAJOMY: Zapewniam panią, że to nie jestem ja.

ANNA: Więc ma pan sobowtóra! Doskonałego sobowtóra. To prawdziwy cud, mieć takiego sobowtóra. Zostawiam cię, tato – wrócę, kiedy twój gość wreszcie sobie pójdzie.

Wychodzi.

SCENA 16

Freud jest jak sparaliżowany.

Nieznajomy, niezbyt tym wszystkim przejęty, nalewa sobie filiżankę naparu.

FREUD: Żądam wyjaśnień! Mógł ją pan uprzedzić! Mógł ją pan uprzedzić, albowiem pan może wszystko.

NIEZNAJOMY (*lekkim tonem*): Ależ skąd.

FREUD: To zaczyna być nie do zniesienia.

NIEZNAJOMY: I stało się, doktorze Freud – zwątpienie! Znowu wątpisz. (płaczliwie) Mam nadzieję, że nie zaczniesz od nowa? (podaje mu bardzo elegancko filiżankę, udając panią domu) Z pewnością zechce się pan odprężyć. (śmieje się; mija nieco czasu) Mnie nikt nie widzi – każdy nadaje mi taki wygląd, jaki mu odpowiada albo go prześladuje. Bywałem już biały, czarny, żółty, brodaty, łysy, dziesięcioreki... Zdarzało mi się być kobietą... Myślę, że w głębi duszy ta twoja Ania nie uważa wcale, że ten nieznajomy jest aż tak odrażający...

FREUD (odbierając machinalnie filiżankę): Pewnie ma pan rację.

Pije.

Nieznajomy nie potrafi ukryć chichotu.

FREUD: Czemu pan się śmieje?

NIEZNAJOMY: Zastanawiam się, czy z tego, co teraz piję, dam radę znowu zrobić fontannę. (wciąż chichocząc, spogląda na Freuda) Doktor Freud ma mnie za dzieciaka. Człowiek zawsze jest dzieckiem, kiedy zachwyca się światem.

NIEZNAJOMY: Odchodzę, doktorze Freud. Nie posiadam ani ojca, ani matki, ani płci, ani podświadomości – nic pan nie jest w stanie dla mnie zrobić. Ale zechciał mnie pan wysłuchać – dziękuję!

FREUD: Opuszcza mnie pan?

NIEZNAJOMY: Nigdy cię nie opuściłem.

FREUD: I nigdy już pana nie zobaczę?

NIEZNAJOMY: Kiedy tylko zechcesz. Ale nie za pomocą oczu.

FREUD: Więc jak?

NIEZNAJOMY (*kładąc mu palec na sercu*): Tam byłem, doktorze – zawsze tam byłem ukryty. Ale ty nigdy mnie nie odnalazłeś. I nigdy mnie nie zgubiłeś. A kiedy słyszałem, jak mówisz, że nie wierzysz w Boga, miałem wrażenie, jakby słowik skarżył się, że się nie zna na muzyce. (*podsuwa mu oświadczenie i pióro*) Doktorze Freud, wyjeżdża pan. Niech pan weźmie z sobą, kogo tylko się da. Niech ich pan ratuje.

Freud podpisuje w końcu oświadczenie. Wydaje się, że Nieznajomy odczuwa ulgę, iż udało mu się w końcu do tego doprowadzić. Odwraca się, sięga po swoją elegancką pelerynę i kieruje się w stronę okna.

NIEZNAJOMY: Dobranoc.

FREUD: Ale... ale ja się nadal nie dowiedziałem... (*nagle staje się agresywny*)
Stop! Chwileczkę!

NIEZNAJOMY (*spokojnie*): Życzyłem ci już dobrej nocy, doktorze Freud.

Freud zasłania ciałem okno, żeby Nieznajomy nie mógł wyjść.

FREUD: Nie ma mowy!

NIEZNAJOMY: Okazujesz słabość, mój Freudzie.

FREUD: Nie wyjdzie pan oknem jak byle człowiek albo złodziej. Zniknie pan! Tu, na moich oczach!

NIEZNAJOMY (*uśmiechając się*): Zwątpienie. Wciąż to zwątpienie.

Podchodzi do okna i wpatruje się uporczywie w Freuda, co sprawia, że ten się odsuwa, jakby działała nań jakaś niewidzialna siła.

NIEZNAJOMY: Dobrej nocy!

Freud odzyskuje zmysły, chwyta rewolwer pozostawiony na biurku i wyciąga rękę, przykładając lufę do policzka Nieznajomego.

FREUD: Będę strzelał!

NIEZNAJOMY (z uśmiechem): Ach, tak?

FREUD: Będę strzelał.

NIEZNAJOMY: Oczywiście. *(po chwili)* Ale jeżeli jestem tym szaleńcem, który dziś uciekł... Tym Walterem Oberseitem – albo tym mężczyzną, który wytrwale chodzi za Anną co dzień po południu – będzie trup. Kula równa się nieboszczyk! Niech pan pomyśli, doktorze Freud: stracić jednocześnie wiarę i wolność, a potem umrzeć w więzieniu? Czy to jest tego warte?

FREUD *(roztrzęsiony)*: Wierzę, że nie. Nie zginie pan.

NIEZNAJOMY: No cóż, niech pan przy tym pozostanie. Wiara powinna się żywić wiarą, a nie dowodami.

FREUD *(drży mu ręka)*: Czemu pan ze mnie drwi? Gdybyś był diabłem, robiłbyś to samo.

NIEZNAJOMY: Bóg, który objawiłby się jako Bóg, nie pozostawiając żadnych wątpliwości, przestałby być Bogiem – byłby jedynie panem świata. Ja chowam się w ciemnościach, potrzebuję tajemnicy. Bo jaki wybór by wam pozostał? *(przykładając lufę do swojej piersi)* Ja jestem tajemnicą, doktorze, a nie zagadką.

FREUD: Nie udało ci się mnie nawrócić.

NIEZNAJOMY: Tylko ty możesz sam się nawrócić – masz wolny wybór! To zawsze człowiek sprawia, że przemawiają głosy...

FREUD: Nic nie zyskałem.

NIEZNAJOMY: Aż do tego wieczora uważałeś, że życie jest absurdem. Teraz już wiesz, że jest tajemnicą.

FREUD: Pomóż mi...

NIEZNAJOMY (*przekładając nogę przez okno*): Do zobaczenia, doktorze Freud!

Znika.

SCENA 17

Freud chce złapać Nieznajomego, ale ów się wymyka.

FREUD: Zniknął? (*wychyla się przez okno*) Ach, wciąż kpisz sobie ze mnie!... Nie chcesz zniknąć... (*ogarnia go wściekłość*) Złazisz po rynnie jak złodziej! To nie przejdzie!

Podbiega do biurka, porywa rewolwer i wraca do okna. Zamyka oczy i strzela w stronę Nieznajomego. Kaszle, podrażniony dymem wystrzału, po czym wychyla się przez okno, by sprawdzić efekt.

FREUD: Pudło!

Koniec

Knebel

MONOLOG

Dawid wbiega na ciemną, pustą scenę. Zadyszany, zdaje się ścigać niewidocznego rozmówcę. Prowadzi go punktowe światło, niczym palec, który wskazuje go i jednocześnie izoluje.

DAWID: Proszę pana! Proszę pana... Przepraszam!... *(staje nagle)* Pan... Pan się zatrzymuje?... Tak?... *(ze zdziwieniem)* A ja właśnie miałem pana o to prosić... *(napięta cisza. Nie wie, co powiedzieć dalej. Do siebie)* Zatrzymał się... *(do niewidocznego mężczyzny)* Zdecydował się pan to zrobić, zanim poprosiłem? Nie, niech pan nie odpowiada... Proszę mi wybaczyć, że tyle gadam – przyzwyczałem się mówić do siebie. Tutaj się monologuje.

Tak właśnie – niech pan sobie usiądzie. *(poprawiając się)* Usiądźmy? *(po chwili)* I oddajmy się wspomnieniom. Tutaj się tylko wspomina. I to się dobrze składa, zawsze brakowało mi wyobraźni.

Przeżyłem, widzi pan, kawał życia, nie zdając sobie z tego sprawy. Rano wstawałem, wieczorem kładłem się do łóżka, co dzień szedłem uprawiać rolę, od czasu do czasu na odpust. Odpust – tak u nas mówią na każde wiejskie święto. Ale nawet nie wiedziałem, co robię. Nigdy nie pomyślałem sobie: „No popatrz, jesz sobie jabłko” albo: „Ubłociłeś sobie buty” – nie, ja tylko to robiłem i na tym koniec. Rozpuszczałem się w tym, co robiłem, jak cukier w wodzie. No i dopiero dzisiaj zyskałem świadomość, ale jest już za późno.

Na pewno nigdy nie stawiałem sobie żadnych pytań. Miałem ojca i matkę, ale ich nie osądzałem. Podczas przesłuchania na pewno powiedziałbym, że to najlepszy z ojców i najlepsza z matek, bo sami tak o sobie twierdzili. Zawsze brak mi było wyobraźni. Matka wyciągała do mnie ręce, kiedy ją ojciec prał po twarzy, bo za dużo wypił, a potem brała mnie w ramiona, mocno przytulała i krzyczała do mnie, patrząc na tatę: „Ty nie będziesz taki jak on, prawda? Ty nie uderzysz kobiety. Nie zrobisz jej krzywdy”. Ale wystarczyło, żeby się ojcu zaświeciły oczy i dał znak, że ma za nim iść do sypialni, a już wyrzucała mnie na pole albo do

stajni, dochodząc nagle do wniosku, że nic w jej objęciach nie mam do roboty. Jakoś tam czułem, że nic po mnie, ale to było takie niewyraźne, to uczucie – jak para z ust we mgle...

Ciemno tu, prawda? A ta szarość, to nie wiadomo, czy od światła, czy od mroku.

Pochyla się troszkę, by zobaczyć twarz mężczyzny, ale natychmiast się prostuje, zawstydzony swą śmiałością.

Nie, nie, proszę tylko nie zdejmować kapelusza. Ale czemu ja właściwie do pana mówię, skoro nie mam nic do powiedzenia? Nie zawsze taki byłem. Przyjmijmy, że to wszystko dzieje się wcześniej...

Któregoś dnia zaczęło się od sufitu. Sufitu w moim pokoju. Pęknięcia i belki, które zachowywały się spokojnie od czasu, jak zbudowano fermę, zaczęły nagle wędrować raz niżej, raz wyżej. Pęczniały, miękły, wykręcały się, nie wytrzymując już ciężaru piętra – aż wreszcie wygięły się pośród jęków i trzasków, a potem nagle odnalazły w sobie pewnego ranka siły, żeby wrócić na miejsce. I znowu były proste, nietknięte jak dawniej – nawet wtedy, gdy się je zaskoczyło, otwierając zniecka oczy.

A potem ta moja lampka. Lampka przy łóżku – każdy by uznał, że nic w sobie nie ma niezwykłego, ale ja odkryłem, że się umie przeobrażać. Wiedział pan, że lampa może zmienić się w kapelusz, w baobab, a nawet w...? ... Musiałem czekać dwadzieścia lat, aby w końcu zdać sobie sprawę, że przedmioty mają swoje własne życie. Sekretne życie, którego ludzie, o dziwo, nie zauważają, bo są zbyt zajęci czym innym i niczego od nich nie oczekują poza tym, do czego służą. A ja odkryłem ten ich drugi, zmienny świat i obserwowałem go cierpliwie ze swojego łóżka. Bo wtedy nie opuszczałem już mojego pokoju.

Matka nazywała to moim pobudzeniem. To moje pobudzenie było dla

niej prawdziwym szczęściem. Dawało jej okazję, by praktykować mogła swoją dobroć, swoje poświęcenie – nowe dla niej uczucia, którymi zdawała się upajać. Stawała nad łóżkiem i uważnie się we mnie wpatrując, szukała raczej spustoszeń, jakie poczyniła choroba, niż objawów tego, że zdrowieję. Wdychała łakomie nozdrzami jej postęp, sama przed sobą odgrywając spektakl o czułości matczynego serca. Miło mi było, że choć troszeczkę mogłem się przyczynić do tak silnych wzruszeń.

Próbuje znowu dostrzec rysy nieznanego.

Pan tu chyba nowy? Często ci, co niedawno przybyli, nie mają odwagi pokazać twarzy – myślę, że nie mogą się pogodzić z tym, że się tu znaleźli. A może to był wypadek? Jest pan pokiereszowany? *(obawiając się, że nieznanomy go opuści)* Przepraszam bardzo za te nietaktowne pytania.

Wróciłem do pracy po kilku tygodniach. Ale sufity znowu zaczęły opadać, tak samo było z drzewami. A motyka w warzywniku zaczęła się skracać.

Lekarz wezwał mnie do siebie do miasta, kazał mi siadać i oparł się swobodnie o stół. Trzymał w ręku cieniutki, szeleszczący papier, który mu przysłano z ważnego laboratorium – pomyślałem, że w taki papier pakują czasem pomarańcze.

A potem powiedział mi, że jestem wybrańcem śmierci i że niewiele już pozostawiła mi czasu – najwyżej kilka miesięcy.

I wie pan, co ja wtedy zrobiłem? Uściskałem tego człowieka o smutnej minie, ze słuchawkami dyndającymi smętnie u szyi i z tą biedną, łysą czachą, typową dla doktorów w mieście. Bardzo byłem rad, wychodząc od niego. Ta ulga, jakiej doznałem na wieść, że już wkrótce

umrę! Nagle poczułem się pełen życia – czułem się w samym środku wydarzeń, w świecie pełnym smaków, na które nabrałem nagle wielkiego apetytu. Łysa pała otworzył mi oczy: właśnie udało mu się przywrócić mi życie. Dał mi tę siłę, jakiej nabierasz, kiedy zdasz sobie sprawę, że jesteś śmiertelny – a to przecież znaczy, że żyjesz... Żał mi było innych, że cieszą się chwilą, a nie mają o tym pojęcia – dla mnie moje limitowane, dobiegające kresu życie stało się bezcenne. Jak długie od tamtej chwili stały się upływające dni, miesiące, minuty. I jaką poczułem w sobie siłę! Śmierć obudziła mnie do życia.

Pan mnie słucha? Zanudzam pana? To normalne... Ale tu człowiek przyzwyczaja się do wszystkiego, nawet do nudy. A może raczej brakuje mu punktów odniesienia, zważywszy, że nic się tu nie dzieje...

Wróciłem więc do domu i im powiedziałem – to znaczy rodzicom – wolno, spokojnie, wyważonym głosem, którego nie znałem dotychczas, prawie naukowo... Powiedziałem im o tej chorobie, jak się nazywa, i powiedziałem, że na pewno umrę w najbliższych miesiącach, nawet jeśli trudno w to uwierzyć, bo człowiek nie wierzy w to, czego nie ma, a co istnieje mniej od śmierci? Ojciec pił, a matka milczała. Potem wysyczała przez zęby, przerywając ciszę: „Jak ty mogłeś złapać to świństwo, co? Jak ty to mogłeś złapać?”.

Jak już panu mówiłem, zawsze brakowało mi wyobraźni.

Kiedy latem wyganiałem bydło na pastwisko, kiedy kosiłem trawę, kilka razy spotkałem tam pewnego mężczyznę. Był drwalem, ale pomagał nam, kiedy trzeba było z hal zebrać siano. Miał szerokie barki i grube, muskularne bicepsy – tak pełne siły, że kiedy je zginał, zdawało się, że nie da rady dotknąć dłonią ramienia. Czy była to sprawka słońca, zmęczenia, wysokości? Nie wiem, ale jakiś niepokój ogarniał moje ciało,

gdy spoglądałem na człowieka z lasu, kiedy tak obok mnie wywijał kosą. Zawsze wtedy przebiegało mnie lekkie drzenie. Uśmiechał się częściej niż mężczyźni w naszych górach – nawet kiedy u kresu dnia był zmęczony po robocie. I pewnego razu, kiedy sam na sam siedzieliśmy obok siebie, nie potrafiłem się powstrzymać, żeby nie dotknąć jego ramienia, obmacać je, zważyć w dłoni jak kawał mięsa – nic przecież złego nie zrobiłem? A potem, coraz bardziej przybliżając się do niego, poczułem ciężkie ciepło jego spoconego ciała, które przenikał upajający zapach przejrzalej gruszki. No i potem, kiedy dotykałem jego gładkiej skóry – jak była gładka, najlepiej było widać wokół blizn – nie umiałem powstrzymać drzenia, którego echo wyczuwałem w nim pod moimi palcami. To on nas rozebrał i ułożył mnie na mchu. Ale to to drzenie nas połączyło.

Za każdym razem, kiedy leżeliśmy wyczerpani jeden na drugim, przytulałem się do jego piersi – jak do mamy, kiedy byłem mały. Zaczynał wtedy oddychać wolniej i słyszałem, jak jego wielkie serce pompuje z mocą krew w jego żyły. Nareszcie czułem, że znalazłem się na właściwym miejscu. Nie rozmawialiśmy wiele, bo myślę, że nie potrzebowaliśmy słów, żeby odnaleźć do siebie drogę. Nie wyobrażałem sobie zimy. Wiedziałem, że będę cierpiał... No, nie wiem... Zawsze brak mi było wyobraźni.

I teraz odpowiedziałem na pytanie matki. Jej przekleństwo zabrzmiało ostro jak strzał z bicia. Ojciec splunął na podłogę. Poszedłem do swojego pokoju, bo wyczerpała mnie wyprawa do miasta.

Zdejmuje pan kapelusz? Nie znam pana... Łatwiej było mi mówić, kiedy mnie chronił przed panem, ale powinienem chyba opowiadać dalej, prawda? W każdym razie – bo tak to już tutaj jest – nigdy nie dowiem się, czy pan mnie w ogóle słuchał.

Patrzyli, jak zaczynam naprawdę chorować. Zabronili mi wychodzić z domu i kiedy rano mi się przyglądali, szukali zniszczeń, jakie przyniosła noc – sprawdzali postępy mego wychudzenia i upewniali się, że moja pościel przesiąknięta jest potem. Dostrzegali we mnie już tylko moją chorobę.

Obcinał pan sobie kiedyś paznokcie? No tak, jaki jestem głupi... Więc może zastanowiło pana kiedyś, czy obcięty kawałek zrogowaciałej skóry, który spada na ziemię, to część pana, czy on tylko jest pański? Czasami myślę sobie, że moje paznokcie to ja i że to absurd, a nawet zbrodnia, żeby tak amputować sobie kawałek ciała – bo dlaczego niby mam się nienawidzić, zabijać siebie pod postacią paznokci? One są mną dokładnie tak samo jak moja twarz lub rękę. Kiedy indziej znów myślę, że one są moje jedynie przejściowo – to tylko narośl, pasożyt, taki jak mech albo huba porastające pień – i bardzo mocno czuję, że muszę się ich pozbyć. Bo widzi pan, postawiłem sobie podobne pytanie w związku z moją chorobą; „jego choroba” – tak o tym mówili rodzice... Jeśli więc „moja choroba” była mną, nie powinienem jej nienawidzić – nie jestem przecież wrogiem samego siebie. Jeżeli jednak wtargnęła we mnie z zewnątrz siłą, powinienem ją uważać za wroga. Ale moja choroba była mną, bo otrzymałem ją z miłości. Nie byłem więc wrogo nastawiony do tego, co oni nazywali moją chorobą.

Ale nie rozumiałem – nigdy nie miałem wyobraźni – że oni wstydzą się tej mojej choroby i woleliby, żebym nareszcie umarł. Niecierpliwili się, nie dostrzegali mnie już, wlepiali oczy w cień czatujący za moimi plecami – ja stałem się dla nich przejrzysty. Denerwowało ich, kiedy lepiej się poczułem – zbyt wolno to szło. Moje życie (przepraszam: moja agonia – tak to nazywali) stało się dla nich nie do zniesienia. Myślę – bo

to nie są źli ludzie – że czekali, aż umrę, żeby móc wreszcie mnie żałować. Pewnego wieczora usłyszałem wrzask ojca: „Wyrzucę go za drzwi! Wyrzucę go stąd!” – jeden z sąsiadów troszkę za bardzo się uśmiechnął, mijając go na drodze.

Zebrałem wtedy wszystkie moje siły i poszedłem jeszcze raz go zobaczyć – tego człowieka z lasu – i powiedziałem mu, że kiedy się ze mną kochał, ofiarował mi również śmierć. Nie wiedział o tym. Dopiero ja mu powiedziałem. I zaczęliśmy od nowa. Ale byłem już bardzo słaby i musiał mocno trzymać mnie w ramionach.

Nie próbował mnie leczyć. Żyliśmy obok siebie; czasem razem. Nie opuszczałem już łóżka, ale on przychodził do mnie.

Czasami krzyczałem. Nie ze strachu – ja jestem pozbawiony wyobraźni. To krzyczało moje ciało, to głupie zwierzę we mnie, usta ściągnięte skurczem, najeżona sierść i spocona skóra wstrząsana dreszczami. I wtedy, żeby uciszyć mój krzyk, przyciskał do moich ust swoje usta jak knebel. I tak, przez długie godziny mojego umierania, jego wargi tłumiły moje krzyki. A potem, w ostatniej chwili – skąd on to wiedział? zawsze o mnie wiedział wszystko – kiedy moje oczy uciekły w głąb czaszki, oderwał wargi i wyszeptał: „Do zobaczenia wkrótce – dołączę tam do ciebie”.

Widzi pan, od czasu, jak tu jestem, nic nie idzie dobrze. Wciąż cierpię. Bo cierpienie to nie jest ból – nie, tak myślą tylko weterynarze – cierpienie to sprawa wyobraźni!

Nabawiłem się wyobraźni. Przez cały czas myślę o tym, że kiedy on będzie umierał – samotny, otwierając pełne bólu usta – mnie tam nie będzie, żebym ja z kolei mógł z jego warg spijać ból, posłużyć mu za knebel...

Szatańska filozofia

OSOBY:

LEKARZ

MAJORDOMUS

DIABEŁ

AGALIAREPT

SARGATANS

NEBIROS

CHARON

Ciemności.

Słyszcąc krople ściekające z niewidocznych murów.

Ciężkie wrota zamykają się z dźwiękiem przypominającym uderzenie dzwonu; szybkie kroki z dwóch stron po mokrym, metalowym podłożu, odbijające się głośnym echem w stalowej katedrze.

Kroki z prawej strony spotykają się z krokami z lewej – Lekarz staje przed Majordomusem.

MAJORDOMUS: I co?

LEKARZ: Stan stabilny.

MAJORDOMUS: Temperatura?

LEKARZ: Tysiąc.

MAJORDOMUS: Tysiąc? Czyli normalna?

LEKARZ: Normalna.

MAJORDOMUS: Jaki puls?

LEKARZ: Zero uderzeń.

MAJORDOMUS: A zatem w normie?

LEKARZ: W normie.

MAJORDOMUS: Jak brzmi pańska diagnoza?

LEKARZ: Depresja.

MAJORDOMUS: Ale zupełnie nie widzę powodów, dla których miałby popaść w depresję. Wszystko idzie przecież jak najgorzej.

LEKARZ: Jest pan pewien?

*Aby nadać wagi swoim słowom, Majordomus sięga po wielki zwój papieru, wypełniony informacjami.
Komentuje:*

MAJORDOMUS: W skali globalnej mamy w tej chwili ponad piętnaście wojen, mocno wyniszczających dzięki postępowi technicznemu. Co najmniej milion napiętych sytuacji, co daje całkiem przyzwoitą ilość zabitych i ciężko rannych w ciągu miesiąca. Trzy trzęsienia ziemi, dwa cyklony, pięćdziesiąt powodzi i jedną przewlekłą suszę. Połowa ludzkości zdycha z głodu, a druga połowa z przeżarcia – tych, co ocaleją, wykańcza medycyna. Na Ziemi grasuje jeszcze sto dwadzieścia pięć śmiertelnych chorób. Więzienia pękają w szwach – podobnie galery i getta. Kara śmierci triumfuje, tortura miło pomrukuje we wrzącym oleju, a obojętność stała się najwyższą cnotą. Policzkują dzieci, biją je, zabijają, gwałcą – religie zachęcają do nadużyć i zbrodni na tle seksualnym... Krótko mówiąc, doprawdy nie widzę tu nic, co mogłoby go wpędzić w taki stan!

Diabeł, przygnieciony nieszczęściem, wylania się z cienia.

DIABEŁ: Same banały. Drepjemy w miejscu – wpadam w rutynę, duszę się!

MAJORDOMUS: Nie powinienes tak mówić, Wasza Diabelskość. Wszystko zmierza ku najgorszemu w najgorszym z możliwych światów.

DIABEŁ: Nie ma już dla nas przyszłości. Koniec ze złem.

MAJORDOMUS: Ależ, panie, jest dokładnie odwrotnie! Nie możesz zaprzeczyć nieoczekiwanym posiłkom, jakich dostarcza nam ostatnio nauka! Postęp, Wasza Diabelskość, ze wszystkim tym, na co teraz pozwala ludziom fizyka i chemia, daje nam okazję, by zdziesięciokrotnie naszą aktywność. To prawda, że głupota jako taka nie wzrosła, ale dzięki

pomocy rozumu zabija teraz o wiele lepiej niż przedtem.

DIABEŁ: Och, to nie ma większego znaczenia!

MAJORDOMUS: Ależ panie! Liczby mówią same za siebie!

DIABEŁ: To bzdety, jakieś bzdury! Tak naprawdę zło kręci się na jałowym biegu i przysypia. Musimy koniecznie wymyślić coś nowego.

MAJORDOMUS: Przejrzałeś, panie, opracowania, które ci dostarczyłem? Twoi eksperci, jak sobie tego życzyłeś, przedstawili kilka konkretnych propozycji, które wydają się dosyć interesujące.

DIABEŁ: Same wyświechtane pomysły! Czysta rutyna! Jakieś nowe armie, nowe epidemie, holokaust, dwie wojny światowe... W gruncie rzeczy nic nowego – stosowałem to już z tysiąc razy. Ci pańscy eksperci to żadni eksperci tylko historycy. Nie mianowałbym ich zresztą ekspertami, gdyby byli w stanie coś wymyślić.

Wielki hałas i poruszenie.

Pojawiają się gwałtownie Agaliarept, Sargatans i Nebiros – trzech namiestnicy piekła. Lekarz ucieka.

AGALIAREPT: Panie!

Stają na baczność.

DIABEŁ: Uff! Nareszcie ten słodki piekielny odór! Nareszcie jakiś uspokajający smród!

AGALIAREPT: Wasza Diabelskość, myślę, że udało nam się znaleźć rozwiązanie!

MAJORDOMUS: Przedstawcie to na piśmie, przeanalizujemy.

DIABEŁ: Mów zaraz!

MAJORDOMUS: Wybraliśmy się na Ziemię obejrzyć, jak się sprawy mają: ludzkość to kloaka, jest źle, nic się nie poprawia, ale też zło wcale nie wzrasta. Miałeś, panie, rację – trzeba podjąć odpowiednie działania.

DIABEŁ (*do Majordomusa*): No i widzisz!

MAJORDOMUS: Słowa dworaka!

DIABEŁ (*do Agaliarepta*): Mów dalej.

AGALIAREPT: Wszystkie nasze pomysły w ostatnich wiekach to amatorszczyzna.

MAJORDOMUS (*obrazony*): Nie zgadzam się! A proch, armaty, bomba atomowa?

AGALIAREPT: Amatorszczyzna!

MAJORDOMUS: A globalizacja ekonomiczna? A eskalacja konfliktów?

AGALIAREPT: Amatorszczyzna! Poszerzyliśmy tylko trochę granice wioski, a nam trzeba prawdziwej rewolucji!

MAJORDOMUS: Rewolucja? Jeśli dotychczas nie zorganizowałem dziesięciu tysięcy rewolucji, to znaczy, że musiało ich być więcej.

SARGATANS: On nic nie rozumie, Wasza Diabelskość. Trzeba uderzyć tam, gdzie ludzie już się nas nie spodziewają – zaatakować rozum!

DIABEŁ: Więc co proponujecie?

SARGATANS: Trzeba zmienić ich rozumienie zła.

DIABEŁ: To znaczy?

SARGATANS: Przede wszystkim musisz zniknąć, panie.

MAJORDOMUS: Co proszę?!

SARGATANS: Nie będzie się już więcej wspominać o diable ani o nas, twoich wiernych sługach. Żeby to zadziało, musimy zniknąć z widoku.

DIABEŁ: Nie pojmuję...

SARGATANS: Trzeba sprawić, aby zło stało się nierzeczywiste – żeby go nie było widać, żeby uwierzono, że wcale nie istnieje. Proponujemy, panie, trzy różne strategie. Twoja kolej, Nebirosie.

NEBIROS: Wedle pierwszej z teorii zło nie istnieje. Każdy zawsze chce uczynić coś dobrego. Ale nawet jeżeli nie chodzi o dobro samo w sobie, każdy pragnie czegoś dobrego dla siebie. Tak zatem dobro – i to co dobrze służy osobiście – to jedyne dwa cele ludzkiego osobnika. Zechciej to sobie wyobrazić, Wasza Diabelskość: od chwili, kiedy człowiek zaczyna tak rozumować, zło staje się tylko wypadkiem przy pracy, efektem złej oceny sytuacji, drobną przewiną, przejściowym zaburzeniem, muchą, którą się odgania. Zło przestaje się liczyć, traci swoją wagę, staje się tylko złudzeniem. A winowajca pozostaje niewinny.

DIABEŁ: Znakomicie! I jak coś takiego nazywasz?

NEBIROS: Idealizmem. Wierz mi, panie, że jeśli świadomość ludzka ugrzęźnie w celebracji samej siebie, będziemy mogli wnikać w nią

z łatwością, opanować ją, a potem zabrać się do ciężkiej pracy.

Diabeł uśmiecha się i zwraca do Sargatansa.

DIABEŁ: A ty co powiesz, Sargatansie?

SARGATANS: Ja zajmuję się teorią, która głosi, że każde zło jest zawsze mniejszym złem. Jedna ofiara jest lepsza od stu nieboszczyków, mała wojna lepsza niż wielka, egzekucja zakładnika lepsza niż otwarty konflikt. Śledzę zło pospolite, zło profilaktyczne: wyrok śmierci, nawet gdy oskarżony jest niewinny, ma siłę odstrasżającą; teatr sprawiedliwości jest ważniejszy niż sama sprawiedliwość. Prawda się nie liczy – jedynie wiarygodność wyroku. Umywam ręce. Czynię zło, by uniknąć większego zła. Rozpuszczam je w oceanie względności – to ja o nim rozstrzygam, ja ważę je w rękę, ja je minimalizuję. To się daje skalkulować. Nie ma już zła – istnieją tylko liczby, strategie. Analizuję to całkiem na zimno, nie obchodzi mnie moralność, jestem...

DIABEŁ: Tak?

SARGATANS: Pragmatystą.

DIABEŁ: Jesteś pewien, że starczy tego na wiarygodną doktrynę?

SARGATANS: Jestem pewien. Oziębłość i brak uczuć u człowieka łatwo da się sprzedać jako system etyczny.

DIABEŁ (*do Agaliarepta*): A ty?

AGALIAREPT: Reprezentuję teorię, wedle której zło nigdy nie jest rozmyślne, lecz pochodzi ze źródeł zewnętrznych.

DIABEŁ: Tutaj przesadziłeś, to nie jest wiarygodne.

AGALIAREPT: Ależ tak. Prawdziwe przyczyny złych uczynków czają się ukryte w ciemnych zakamarkach duszy – w mrokach podobnych do miejsca, gdzie się właśnie znajdujemy. Można by to nazwać nieświadomością. Jeżeli człowiek zabija czy kradnie – czyni tak z braku miłości. Posiada bowiem z tyłu mózgu niezbadany splot, przez który przebiegają gwałtowne impulsy, a niektóre z nich powodują po prostu niewłaściwe efekty. Człowiek będzie przekonany, że to nie on, nie jego świadomość nim kieruje, ale nieświadomość – plugawa bestia, która w nim mieszka.

DIABEŁ: Zręczne, ale zanadto poetyckie – to nigdy nie chwyci.

AGALIAREPT: Ależ chwyci! Ludzie uwielbiają się usprawiedliwiać. Będą się uznawali za anioły – anioły o z lekka pomiętych skrzydłach, które tylko cierpią na lekką niestrawność.

DIABEŁ: I jak to nazywasz?

AGALIAREPT: Psychologizmem.

Diabeł wybuchą śmiechem. Odwraca się w stronę Majordomusa.

DIABEŁ: Charon! Wezwijcie natychmiast Charona!

Majordomus wybiega w pośpiechu. Diabłu najwyraźniej ulżyło. Namiestnicy triumfują.

AGALIAREPT: Stare, dobre sumienie jest w zaniku.

SARGATANS: Człowiek stroi się w nową samoświadomość – jego sumienie nabiera wysoce intelektualnej natury.

NEBIROS: Deklaruje, że już nigdy więcej nie będzie czynił zła. Nigdy więcej żadnej winy. Żadnej odpowiedzialności. Człowiek umyty do czysta. Niewinny jak noworodek na ołtarzu.

DIABEŁ: Brawo, Agaliarepcie, Sargatansie i ty, Nebirosie! Zrozumiałem i akceptuję wszystkie wasze propozycje – a więc znikam w niewidzialnym świecie i tam się na dobre zadomowię.

AGALIAREPT: Być niewidocznym, Wasza Diabelskość, to najlepsze rozwiązanie!

SARGATANS (*nietaktownie*): Tak właśnie – niewidzialnym, jak ten tam na górze!

Chwila zawieszenia.

DIABEŁ (*urazony*): Już lepiej siedźcie cicho.

Zapada krępująca cisza.

DIABEŁ: No dobrze, bierzmy się do roboty. Ale nie możecie tak się tam udać.

Charon pojawia się na scenie razem ze swą łodzią; za nim podąża Majordomus.

DIABEŁ: Charonie, weź ich i niech płyną z powrotem. Ale najpierw musimy ich trochę zmienić.

Trzej diabelscy namiestnicy nikną za parawanem; po chwili zza parawanu wychodzi troje dzieci – trójka nadzwyczaj ślicznych, prawie gołych dzieci, delikatnych i wzruszających. Charon pomaga im wsiąść do łodzi.

DIABEŁ: Jakież one piękne! A ile zła narobią...

Charon zaczyna wiosłować po gładkich i spokojnych wodach wyimaginowanego Styksu. Dzieci stoją

w łodzi – są urodziwe aż nie do zniesienia.

DIABEŁ (z czułością): Do zobaczenia, moje maleństwa! Do zobaczenia wkrótce. Tylko nie wracajcie za prędko!

Diabeł, śmiejąc się naturalnie sardonicznym śmiechem, macha ręką na pożegnanie rozpromienionym dzieciom na łodzi.

Wchodzi Lekarz i trafia na ową osobliwą scenę. Widząc, że Diabeł znowu się śmieje, wzdycha z ulgą i pyta Majordomusa:

LEKARZ: Co tu się wyrabia? On się śmieje?

MAJORDOMUS: Tak, Jego Diabelskość całkowicie odzyskał radość życia.

Spoglądają na troje dzieci odpływających łodzią Charona.

LEKARZ: Co on im wysyła? Jakąś nową zarazę? Wojnę światową? Klęskę żywiołową?

MAJORDOMUS: Lepiej. (po chwili) Myślicieli.

Spis treści

[Okładka](#)

[Karta tytułowa](#)

[Noc w Valognes](#)

[Gość](#)

[Knebel](#)

[Szatańska filozofia](#)

[Karta redakcyjna](#)

Tytuł oryginału

Théâtre. La Nuit de Valognes, Le Visiteur, Le Bâillon, L'école du diable

Copyright © Editions Albin Michel – Paris 1999

Copyright © for the translation by Wawrzyniec Brzozowski 2013

Projekt okładki

Katarzyna Borkowska

kb-design@o2.pl

Opieka redakcyjna

Jakub Kulasa

Ewa Polańska

Korekta

Katarzyna Onderka

ISBN 978-83-240-2433-9

znak

Książki z dobrej strony: www.znak.com.pl

Społeczny Instytut Wydawniczy Znak, 30-105 Kraków, ul. Kościuszki 37

Dział sprzedaży: tel. [12 61 99 569](tel:126199569), e-mail: czytelnicy@znak.com.pl

Plik opracował i przygotował Woblink

woblink
woblink.com

ERIC-EMMANUEL
SCHMITT

Trzy
Nagrody
Moliera

INTRYGANTKI

znak litera
nowa